

JERRY AHERN

ODWET

CYKL: KRUCJATA TOM 11

(PRZEŁOŻYŁA: ELŻBIETA BIAŁONOGA)

JERRY AHERN

ODWET

CYKL: KRUCJATA TOM 11

(PRZEŁOŻYŁA: ELŻBIETA BIALONOGA)

Dla Dona i Tope'a - wszystkie wasze dobre pomysły są w tej książce, przyjaciele...

ROZDZIAŁ I

Otworzył oczy, ale zaraz je zamknął; niebieskawe światło raziło go boleśnie. Po chwili znowu spróbował unieść powieki. Poruszył głową. To kolejny sen. A jednak odrętwienie szyi było aż nadto realne. Przecież oczy miał naprawdę otwarte. Spojrzał w górę, w prawo na mały ekran. "Czas minął" - oznajmiały litery. Nad tym napisem znajdował się elektroniczny wyświetlacz. Mężczyzna z wysiłkiem odczytał: "Lata - 501, Miesiące - 3, Dni - 30, Godziny - 14, Minuty - 6, Sekundy - 19". Ostatnia liczba zmieniła się na "20", gdy mrugnął oczami.

- Boże, a więc stało się. - Jego głos był tak chrapliwy, że sam z trudem go rozpoznał.

Napiął mięśnie i spróbował usiąść. Pokrywa kapsuły bez najmniejszego oporu uniosła się. Wolno i ostrożnie przełożył nogi przez krawędź legowiska. Siedział teraz na małej, płytkiej ławeczce. Ramiona, nogi, kark, szyję, całe ciało miał sztywne i obolałe. Na półce pod wyświetlaczem zauważył ulotkę w plastikowej, przezroczystej okładce. Sięgnął po nią.

Uwaga! Przeczytaj uważnie, natychmiast po przebudzeniu ze snu narkotycznego. - Przeniósł wzrok na ostatnie linijki druku. - Dla uzyskania szczegółowych informacji zapoznaj się z instrukcją TM-86-2-1, którą znajdziesz po lewej stronie komory kriogenicznej.

Wzruszył ramionami, zabolalo. Pochylił się i zajrzał do głównej kabiny. Z daleka zobaczył, że niektóre lampki kontrolne pulpitu sterowniczego pogasły. Nie działał też centralny monitor komputera. Mężczyzna spojrział na stojącą obok kapsułę. Pokrywa też się podnosiła, budził się leżący pod nią człowiek. Jak upiór unoszący wieko trumny. Przypominały mu się sceny z oglądanych w dzieciństwie horrorów Bali Lugosiego.

Spróbował wstać i podejść, by zajrzeć do kapsuły, poczuł zawroty głowy. Poczekał, aż pokrywa komory zupełnie odsłoni wnętrze.

Zaschło mu w gardle, więc mówił z trudem:

- Craig, hej, hej. Craig, Craig Lerner, hej, to się stało. Zgodnie z rozkazami. Mogli nas odwołać, ale nas nie odwołali. Stało się, Chryste, to naprawdę się stało!

Lerner popatrzył na niego szeroko otwartymi oczami.

- Stało się, Craig, trzecia wojna światowa, słodki Jezu... - urwał w pół zdania. Wyglądało na to, że Lernerowi chce się płakać, ale łzy nie napływają mu do oczu. Minęła godzina, sprawdził to na jednym z pokładowych zegarów.

Dodd poruszał się sztywno, nienaturalnie. Pierwszy oficer Craig Lerner szedł za nim. Zatrzymali się przy iluminatorze pozwalającym zajrzeć do ładowni. Mężczyzna wcisnął guzik. Zaskoczyło go, że przesłona iluminatora wciąż działa. Płytki rozsunęły się promieniście jak rozkwitający pąk tulipana. Przywarł czołem do pleksiglasu. Ciężko oparł się o ścianę. Brak grawitacji sprawił, że znów poczuł

się źle. Patrzył na dwadzieścia komór kriogenicznych, takich samych jak ta, którą niedawno opuścił. Mniejsze kapsuły zawierały embriony zwierząt.

Odchylił się od okienka i chwycił za poręcz biegnącą wzdłuż kadłuba.

- Budzimy ich, kapitanie? - odezwał się Lerner.

- Do cholery z tym "kapitanem". Chyba nie zamierzasz mnie tak nazywać po pięciu wiekach...

- Budzimy ich, Tim?

- Nie. Tylko oficera naukowego. Ta dwudziestka zostaje. Obudzimy ich, jak tylko się przekonamy, że jest sens. Jeśli nie, hm... W przeciwnym razie... - nie dokończył. - Idź obudzić... no...

- Jeffa? Jeffa Stylesa?

- Tak, do diabła! - Timothy Dodd potrząsnął głową. - Cholera, nic nie pamiętam. Muszę na chwilę usiąść.

- W porządku, Tim.

Patrzał za Lernerem, gdy ten podszedł do trzeciej, wciąż zamkniętej kapsuły. Znowu potrząsnął głową.

- Jeśli tam, na dole jeszcze coś istnieje, to reszta... reszta...

Nie puszczając się poręczy, doszedł do fotela pilota i usiadł z ulgą. Zapiął pasy. Walczył z nieprzyjemnym drżeniem żołądka. Wydawało mu się, że Lerner doszedł do siebie bez podobnych problemów. Dodd zastanawiał się, czy to kwestia wieku. Lerner miał trzydzieści trzy lata, a Dodd czterdzieści cztery. Wzruszył lekko ramionami, pamiętając, że musi do minimum ograniczać gwałtowne ruchy.

Zwlekał z odsłonięciem ekranu widokowego. Przeczytał kopię TM-86-2-1, którą dostał od Lenera. Instrukcja mówiła, że należy powstrzymać się od picia i jedzenia kilka godzin po przebudzeniu. Informowano, że po pierwszym posiłku może wystąpić rozstrój żołądka i nudności. Sama myśl o tym sprawiła, że kapitanowi zebrało się na wymioty. Po pięćsetletnim poście nie miał jednak czym wymiotować. Znowu potrząsnął głową, kiedy patrzał na dwadzieścia komór w ładowni. Mógł też zobaczyć swoje odbicie w iluminatorze. Twarz miał szczuplejszą niż zwykle, okoloną bujnym, wyglądającym na trzytygodniowy, zarostem. A teraz, gdy siedział przypięty pasami do miękkiego fotela, czuł, że jego ramiona są słabe i bezwładne, a palce sztywne. W tym TM-86-2-1 wspomniano o możliwości wystąpienia podobnych objawów.

Usłyszał głos Lenera. Zbyt szybko odwrócił się w stronę oficera i żołądek znowu podszedł mu do gardła. Dodd zamknął oczy.

- Kapitanie, obudziłem Stylesa. Czuje się tak samo podle, jak ty. Ale to nie potrwa długo.

Dowódca miał w zasięgu ręki specjalne woreczki. Wziął jeden i podniósł do ust, ale nie wymiotował.

Lerner zajął fotel z prawej strony stanowiska pilota. Styles stanął za nimi. Obrócili się na fotelach ku niemu. Był już w niezłej formie i mógł rozmawiać.

- Nie mogę uwierzyć, że to wszystko dzieje się naprawdę. To znaczy... Czy żadnemu z was nie przyszło do głowy, że to sen, nasz wspólny sen?

- We śnie się nie wymiotuje - mruknął Dodd.

- Jesteś oficerem naukowym. Co, u diabła, masz właściwie na myśli? - spytał Lerner.

- To tylko sugestia. - Styles rozłożył ręce. - Według jednej ze szkół filozoficznych, cała rzeczywistość jest w gruncie rzeczy czystą fantazją, a wszystkie doświadczenia są tworem wyobraźni.

- To szmatławie teorie, w takich okolicznościach mogą łatwo doprowadzić cię do obłądu. Daj sobie z nimi spokój. Do diabła, nikt jeszcze nie znalazł się w podobnej sytuacji.

- Tim ma rację, Jeff. Ten sen wygląda cholernie realistycznie.

Dodd roześmiał się, widząc, że Craig Lerner uszczyptał się mocno na wszelki wypadek i skrzywił z bólu. Styles też był tym ubawiony.

- W porządku, to nie sen. Mówiłem, że to tylko sugestia. Co teraz robimy, Tim? Ty jesteś tu kapitanem.

- A ty oficerem naukowym, Jeff, i moim doradcą - odparł Dodd.

Styles zmrużył oczy i zaczął przerzucać laminowane strony notesu. Był to gruby kołonoatnik, zamykany na mocny suwak. W końcu Jeff znalazł stronę, której szukał.

- Napisali, że najpierw powinniśmy ustalić pozycje pozostałych statków floty. Wystartowaliśmy razem z pięcioma innymi, zgadza się?

- Taaak... - Dodd obrócił się na fotelu w stronę pulpitu sterowniczego. Włączył jakiś przycisk. Rozległ się monotony hałas urządzeń pneumatycznych.

- Roje meteorów, awaria baterii słonecznych, uszkodzenie komputera pokładowego, czyżby... - zaczął Styles.

Dwie części przesłony ekranu widokowego rozsunęły się bezgłośnie. Styles zapomniał, co chciał powiedzieć, a Dodd głośno westchnął.

- Oni wszyscy... - zaczął Lerner, ale i on urwał.

Po obu stronach ich promu pięć innych statków sformowało szyk zbliżony kształtem do niesymetrycznego klina. Na prawo od nich panowała jasność, a poniżej mogli widzieć coś, co mogło być tylko Ziemią. Lerner przy pomocy komputera pokładowego ustalił położenie statków w Układzie Słonecznym. Tak, to była Ziemia. Ale to nie była ta sama błękitna kula, którą można było oglądać z Księżyca. Ile lat temu? Czy czas wciąż miał jakieś znaczenie? Widzieli plamy zieleni i, większe od nich, plamy błękitu, ale kształty kontynentów różniły się od tych, do których przywykli.

- To Ameryka, Stany Zjednoczone - wyszeptał Lerner.

- Ale, Jezu, nie widzę Florydy. I... Zachodnie Wybrzeże... ono jest...

Dodd odwrócił wzrok od swego rodzinnego ładu i popatrzył na pozostałe statki floty. Wyglądały na nie uszkodzone. Zakładał, że na każdym z nich odzyskało świadomość po trzech członków załogi i że po dwudziestu spoczywa bezpiecznie w chłodnych ładowniach promów. Zamknął oczy.

- Myślisz, że tam na dole, jest wciąż jakieś życie? Nie ma miast, to pewne, komputer nie zanotował żadnego promieniowania podczerwieni. Instrumenty wskazują, że warstwa atmosfery jest teraz bardzo cienka. Styles odebrał jakieś sygnały przez radio, ale są zbyt słabe, żeby je rozszyfrować. Może pochodzą z naturalnego źródła.

Dodd spojrział na Lenera. Potem krzyknął do prowadzącego nasłuch Jeffa:

- Jeff, przełącz się na częstotliwość gradową, nie śpimy już od kilku godzin...

- Od trzech godzin i czterdziestu dziewięciu minut, kapitanie. Na Ziemi jest teraz czwarta rano czasu wschodnioeuropejskiego.

- No właśnie. Musimy połączyć się z innymi promami. To znaczy, weźmiemy się w końcu do roboty.

- Racja, Tim. Nie ma na co czekać.

Timothy Dodd podniósł mikrofon - wolał to niż laryngofon.

- Tu "Eden jeden", wzywam flotę "Edenu". "Eden jeden" wzywa flotę "Edenu", ogólne

wywołanie! Odbiór!

Przez chwilę panowała cisza. Przerwał ją kobiecy głos:

- Tim, tu Jane Harwood. Mój pierwszy oficer właśnie wstał, ale choruje. Obudziłam się jakieś trzy godziny temu. Jestem tylko trochę sztywna, odbiór.

- Zrozumiałem cię, "Eden trzy". Pozostań na linii. Powiedz swojemu oficerowi, żeby zjadł trochę krakersów, ma normalne objawy. Czy ktoś jeszcze nie śpi? Odbiór!

- "Eden dwa" gotów do działania, kapitanie. Pozwoliłem sobie obudzić sekcję ładowniczą i zaczęliśmy sprawdzać system zwany EML. Co to takiego, u diabła? Odbiór!

- Pamiętasz Moduł Eksploatacji Księżyca, "Eden dwa"? Tym razem to Moduł Eksploatacji Łądu, podlega moim rozkazom. Wyobrażasz sobie, że po prostu wylądujemy? - Zrezygnował ze zbędnej teraz radiowej procedury. - No, słucham?

- No cóż, kapitanie, w każdym razie doktor Halverson i porucznik Kurinami nie mogą się już doczekać akcji. Wyłączam się.

- Ale też nie schodź z linii. Niech twoja ekipa kontynuuje przygotowania. Czekam na następne zgłoszenia.

Było trochę zakłóceń, ale odezwały się kolejne głosy. Zegar pokazywał, że od przebudzenia minęło dwanaście godzin. Dodd doszedł do wniosku, że wszystko przebiega zgodnie z planem. Przez chwilę obserwował siedzącego obok Lerner. Ten zdejmował właśnie z komputera jakieś zaciski.

- Uruchomiłem ostatni z systemów, kapitanie. Kilka diod się przepaliło, ale można je łatwo wymienić, to zwykła kosmetyka. Lekkie uszkodzenie kadłuba, prawdopodobnie roje meteorów. Później przejrzę bank danych, postaram się odszukać nagrania. Na szczęście zewnętrzna powłoka jest wciąż szczelna, choć nie mam pojęcia, jak znieśie powrót na Ziemię. Nie można, niestety, sprawdzić, czy to przetrzyma.

- Jeśli ekipa zwiadowcza stwierdzi, że nie zdołamy przystosować się do życia w warunkach panujących teraz na Ziemi, nie będziemy musieli w ogóle tego sprawdzać.

- Odnalazłeś je?

- Dalsze plany naszej wyprawy? Zgadłeś! Przejrzałem dosłownie wszystko i w końcu przyszedł mi do głowy plan "Alfa", jedyny odpowiadający naszej sytuacji. Jeśli nie będziemy mogli wylądować, pozostaniemy w kosmosie. Całą flotą wchodzimy na jedną orbitę okołoziemską, wyłączamy wszystkie systemy i znów idziemy spać. Następne ampułki dadzą nam kolejne pięćset lat snu. Budzimy się i ponownie sprawdzamy warunki na Ziemi. Jeśli i tym razem są niekorzystne, powtarzamy procedurę. Z tym, że to już ostatnie dawki środka usypiającego i ostatnie pięćset lat snu. I to jest pewien problem: dysponujemy tylko jednym modułem badawczym, więc jeśli skończy się nam surowica kriogeniczna, będziemy musieli lądować bez względu na warunki panujące na dole. Dopiero teraz zaczynam rozumieć ich cholerne wykręty. Wolałbym wiedzieć o wszystkim dużo wcześniej.

- Po starcie czytałeś przecież rozkazy.

- Wiem teraz, dlaczego nie pozwolili mi przeczytać wszystkich od razu, cholera! - Dodd spojrzął na Lerner, potem na Stylesa.

- Jeff, co z ładownikiem?

- Kurinami i Halwerson są już na jego pokładzie. Sprawdzają ostatnie obwody.

- W porządku. - Dodd podniósł mikrofon. - Tu "Eden-jeden", "Eden dwa", Ralf, zgłoś się, odbiór!

- Tak jest, kapitanie, tu "Eden dwa".
- Chcę słyszeć twoje odliczanie. Kiedy będziecie gotowi do wystartowania MEL?
- Jeśli wszystkie systemy są sprawne, wystartujemy za dwadzieścia pięć minut.
- Zgłoś się do mnie za dziesięć, Ralf. Wyłączam się. Dodd odstawił mikrofon i spojrzał w stronę Ziemi. Poczł dreszcz.

ROZDZIAŁ II

Do startu pozostało pięć minut.

- Doktor Halwerson, tu Timothy Dodd, nigdy się nie spotkaliśmy. Odbiór!

- Tak, kapitanie, chce pan nam życzyć powodzenia? Odbiór!

- Kobieta? - Dodd przysłonił ręką mikrofon i pytająco spojrział na Stylesa.

- Elaine Halwerson. Chcesz zobaczyć wykaz jej kwalifikacji?

- A kim, u diabła, jest ten Kurinami?

- Pilot japońskiej marynarki wojennej. Jeden z najlepszych na świecie, tak przynajmniej mówią dane komputerowe.

- Podaj mi je - parsknął Dodd, wrywając wydruki z rak Stylesa. Pióro Jeffa poszybowało w powietrze, Lerner chwycił je w locie.

- Jest pan tam, kapitanie? - odezwał się głos Elaine Halwerson. Była Murzynką, Dodd odczytał to z danych personalnych.

- Tak... eee... tak, doktor Halwerson. Ja... eee... nie spodziewałem się kobiety, nawet mi o pani nie wspomniano, odbiór!

- Może jestem tu w charakterze symbolu, czarna kobieta...? W każdym razie, zanim zostałam włączona do tego programu, poproszono mnie o zmianę nazwiska na inne, brzmiące bardziej łacińsko, z odcieniem żydowskim. Ale myślę, kapitanie, że i tak by mnie przyjęto, odbiór!

- Spryciara. - Dopiero po tym komentarzu Dodd wcisnął guzik przekaźnika. - Doskonałe poczucie humoru, doktor Halwerson, podziwiam pani odwagę. I zgadła pani, rzeczywiście chciałem pani i porucznikowi Kurinamiemu życzyć powodzenia. Będziemy się za was modlić. Bez odbioru.

Przekreślił wyłącznik głośnika. Nie będzie słuchał odliczania. Część kuli ziemskiej pogrążona była teraz w cieniu. Nie rozjaśniały go żadne światła, jak gdyby ludzie nigdy nie zbudowali elektrowni.

Kapitan znów włączył mikrofon, zagłuszając monotonne odliczanie. Start miał nastąpić za około trzy minuty.

- Doktor Halwerson, to znowu Timothy Dodd. Ja naprawdę tak myślałem, życzę wam wszystkiego najlepszego, tobie i... jak on się nazywa?

- Tu ten, o kogo pan pyta - odpowiedział męski głos. Mężczyzna mówił z lekkim japońskim akcentem, ale jego angielski był perfekcyjny.

- Dziękujemy, MEL. Bez odbioru.

- Mam nadzieję, że wkrótce do was dołączymy. Niech Bóg ma was w swojej opiece. Bez odbioru.

Zdecydował się słuchać dalszego odliczania. Był świadom swych urzędzeń, ale zamknął oczy i zaczął się modlić za oboje, bo jeśli się okaże, że lądowanie promów na Ziemi jest niemożliwe, Murzynka i japoński pilot będą skazani na nieuchronną śmierć.

ROZDZIAŁ III

- Doktor Halwerson? - Głos Kurinamiego zabrzmiał nienaturalnie przez hełmofon.

Rozejrzała się, gruby kombinezon próżniowy krępował jej ruchy. Czowała, że po wielowiekowym śnie, po szybkim starcie i lądowaniu na Ziemi, wciąż stoi niepewnie na zeszywniałych nogach. Latała kiedyś własnym samolotem i osiągnęła klasę pilota maszyn dwusilnikowych, ale nie uważała się za eksperta w sprawach pilotażu. A jednak lecąc z Akiro Kurinamim odniosła wrażenie, że ma do czynienia z prawdziwym mistrzem.

- O co chodzi, poruczniku? - Głos powrócił do niej, odbity od ścian kasku. Pomyślała, że taki sam efekt musi wywoływać mówienie w brzuchu wieloryba.

Kurinami niezgrabnie schodził po drabinie.

- Jest pani pewna, że podano nam właściwe współrzędne?

- Mów mi Elaine... Może w tej chwili jesteśmy jedynymi ludźmi na Ziemi. I jeśli nie będziemy mogli oddychać w nowej atmosferze, wkrótce umrzemy. Zostańmy przyjaciółmi.

- Mam na imię Akiro, Elaine.

Czowała się dziwnie w kosmicznym kombinezonie. Japończyk skłonił się przed nią.

- A wracając do twojego pytania - powiedziała. - Współrzędne były właściwe. Razem z siostrą dorastałyśmy w Georgii. Poznają te góry. I sygnał radiowy pochodził gdzieś z tej okolicy, jeśli naprawdę był jakiś sygnał. Ta wysoka o dziwacznym kształcie, to Góra Jonah.

- Zawsze myślałem, że Georgia to oaza zieleni, a tu pustynia.

- Na północy wydaje się pustynią. Południe jest bardziej zielone, roślinność tworzy naturalną granicę. - Kobieta nie wiedziała, jak to teraz wygląda. Miała wiele specjalności, między innymi była klimatologiem, ale nie dysponowała żadnymi nowymi danymi.

- Przyrządy działają?

- Poziom wszelkich możliwych rodzajów napromieniowania sprawdziłem już przedtem, Elaine. - Japończyk stanął tuż za nią.

- Promieniowanie jest chyba normalne. Zawartość tlenu w powietrzu też wydaje się wystarczająca do oddychania. Moja niefachowa, Akiro, opinia brzmi następująco: jeśli na Ziemi panują odpowiednie warunki życia i sześć statków kosmicznych będzie w stanie wylądować, przetrwamy. Jeśli nie, po prostu zginiemy. Nasze instrumenty i maszyny potrafią robić wszystko to, co my sami, i same będą mogły przekazać zebrane informacje. Proponuję, żebyśmy zdjęli nasze hełmy. Jeśli to przeżyjemy, wyjdziemy również z kombinezonów i rozpoczniemy badania.

- Zgoda. - Odniosła wrażenie, że pilot znów się jej lekko uklonił. - Pozwól jednak, że zrobię to pierwszy. Ty tu dowodzisz, ale przede wszystkim jesteś kobietą.

- Zrobimy to razem. - Skinęła głową, uderzając czołem w przezroczyste pleksi.

- W takim razie liczymy do trzech.

- Dobrze. Raz...

- Dwa...

- Trzy! - zawołali jednocześnie i Elaine zaczęła zdejmować hełm, obserwując Akiro, który robił to samo.

Potrząsnęła głową, włosy rozsypały się jej na ramiona. Marzyła tylko o tym, żeby je umyć. Głęboko odetchnęła. Zakrztusiła się, ostre powietrze podrażniło jej gardło. Ciągle żyła.

- Żyjemy i byliśmy naprawdę dzielni, Elaine. - Kurinami roześmiał się.

”Ma miłe oczy” - pomyślała. Zdradzały szczerą radość.

- Ile masz lat?

- Pięćset i dwadzieścia cztery, Elaine. - Znów się roześmiał.

- A ja...

- Jesteś kobietą i nie musisz mówić...

- Pięćset i trzydzieści trzy. - Tym razem ona się roześmiała. - Mniej więcej, oczywiście. - Położyła hełm na ziemi. - Dopiero co lepiej się poznaliśmy, a już będę się przy tobie rozbierać. Mam na myśli kombinezon, rzecz jasna! - Obserwowała jego twarz. Nie mógł powstrzymać uśmiechu. Obydwoje naprawdę żyli. - Szerokie nozdrza to zaleta mojej rasy, mogę wciągać na raz więcej powietrza.

Elaine obserwowała Kurinamię sapiącego ze zmęczenia. Podniosła dłonie i przeczesала palcami czarne loki. Jej włosy nie były brudne, tak jej się tylko wydawało. Zerknęła na wodoszczelnego rolexa. Niedługo miał zapaść zmierzch. Potwierdzało to położenie słońca na niebie. Męski rolex był zbyt dużym zegarkiem dla kobiety, ale takie nosili wszyscy członkowie ”Projekt Eden”. Przed opuszczeniem ”Edenu Dwa” z danych personalnych wyczytała, że jeden z członków załogi ukończył specjalny kurs zegarmistrzowski. Miał też na promie, na wszelki wypadek, wszystkie narzędzia oraz części zamienne, i jego obowiązkiem było utrzymanie wszystkich zegarów w idealnej sprawności.

Elaine nie ustawała w marszu. Było jej trochę zimno bez kombinezonu, ale szła dziarskim krokiem i czuła, że wracają jej siły. Podobnie jak Kurinami, miała na sobie jednoczęściowy uniform i specjalną bieliznę, przystosowaną do każdej temperatury. Na tym wszystkim zaś nosiła bardzo szczelną arktyczną kurtkę. W plecaku miała poza tym grubą podpinkę do kurtki. Ubrana w ten sposób mogła znieść nawet siedemdziesięciopięciostopniowy mróz. Nie wiedziała, co ich czeka w nocy. W razie potrzeby mogła też naciągnąć na nogi ocieplacze, a pończochy podłączyć do małych baterii i podgrzewać elektrycznie.

- Idziemy godzinę, a wydaje się, że minęło co najmniej sześć razy tyle - odezwał się Kurinami.

- Tak, bo powietrze jest rozrzedzone. Przyzwyczajamy się. Dawniej wielu ludzi mieszkało na olbrzymich wysokościach i cieszyło się doskonałą kondycją tam, gdzie inni nie potrafiliby złapać tchu.

- To musiało być coś więcej niż wojna nuklearna. Jak wynika z moich map, lądując powinniśmy widzieć Atlantę, Greenville i Południową Karolinę. Nie widziałem niczego.

- Masz rację. Ja też myślę, że po wojnie nuklearnej wszystko wyglądałoby inaczej. A może się mylimy, może właśnie dlatego zostaliśmy stąd odesłani.

Kurinami wzruszył ramionami i nie odpowiedział.

”Zbyt długo już odpoczywamy - pomyślała. - Piętnaście minut”.

Kiedy spojrzała na zegarek, odwróciła rękę i zaczęła studiować wnętrze swej lewej dłoni. Próbowwała przypomnieć sobie, co mówiła jej kiedyś babcia o tego rodzaju wróżbach. ”Gdzie jest linia życia?” Nie mogła jej znaleźć, na pewno dlatego, że była ignorantką w tej dziedzinie. Przecież musiała ją mieć.

Uśmiechnęła się, uświadamiając sobie, że odruchowo pociera lewe ucho. Ten nawyk pozostał jej z czasów dzieciństwa, kiedy przekłuto jej uszy i zgubiła lewy kolczyk. Potem ciągle sprawdzała, czy ma go na miejscu. Ale już od dawna nie nosiła kolczyków i dziurki w uszach zarosły. Zauważyła też, że znikła brzydka blizna na lewym nadgarstku po skaleczeniu się pękniętą szklanką. Elaine próbowała złapać spadające naczynie i szkło nie wytrzymało. Omal się wtedy nie wykrwawiła.

- Może damy radę wspiąć się na tamto wzgórze? Moglibyśmy użyć naszych lornetek, żeby poszukać jakichś śladów życia. Jeśli się pospieszymy, zdążymy wrócić na noc do lądowiska. Zrywa się silny wiatr.

- Masz rację - odparła. - To dobry pomysł. Kapitan Dodd czeka na wiadomości. Bez nich nie będą w stanie wyznaczyć właściwego miejsca na lądowisko. Po zniknięciu Florydy i Kalifornii straciliśmy dwa obszary, które się do tego nadawały. Zmierzymy się więc z tym wzgórzem.

Kiedy wstała, poczuła lekki zawrót głowy. Szybko jednak przysła do siebie i podążyła za Japończykiem, który tym razem ją wyprzedził.

- Daj mi ją na chwilę, Akiro - wysapała. Jej głos zabrzmiał dziwnie szorstko. - Myślę, że coś zobaczyłam. - Popatrzyła na lotnika, gdy podawał jej swoją lornetkę.

- Nic nie przeżyło.

- Nie wierzę w to. - Zaczęła uważnie regulować ostrość obrazu. W odległości około dwustu jardów, w miejscu, gdzie trawa i piach graniczyły ze sobą, zauważyła coś, co ją zaintrygowało. - Dzisiaj jest Wigilia, wiedziałeś o tym?

- Zobaczyłaś świętego Mikołaja? - Roześmiał się. Nawet na niego nie spojrzała, śledząc przez lornetkę żółto-zieloną granicę.

- Wyciągnij swoją lornetkę i popatrz tam, gdzie ja.

- Ty masz moją lornetkę, wezmę twoją - odparł. Wciąż nie odrywała wzroku od czegoś, co wyglądało jak odcisk opon. Ale nie samochodowych. Ślad był pojedynczy. Motocykl...

- Jeśli to jakiś dowcip, Elaine, nie sądzę, żeby wydał mi się zabawny.

- To nie dowcip. Patrz tam, gdzie kończy się piach, a zaczyna trawa. Wiem, że mam rację, ale to chyba niemożliwe.

- Człowiek! - Po raz pierwszy, odkąd opuścili ładownik, w głosie Kurinamiego odezwały się emocje.

Nie przestawała obserwować. Na szczycie wydmy w odległości około czterystu jardów od nich stał duży, czarny motocykl. Przy motocyklu stał mężczyzna. Prawdziwa istota ludzka! Pod pachami w skórzanych kaburach tkwiły dwa pistolety. Trzeci nosił na biodrze. Ale to nie wszystko. Przez prawe ramię miał przewieszony duży karabin. Oczy ukrył za ciemnymi okularami. W lewym kącie ust trzymał papierosa. Uśmiechał się. Miał mocne, białe zęby, ciemnobrązowe włosy, twarz jakby wykutą w kamieniu. Rzeźbiarz potrafi zaznaczyć w rysach siłę charakteru i inteligencję. Na szyi nieznamy nosił zieloną lornetkę. Obserwował ich, tak jak oni jego. Dopiero po chwili to sobie uświadomiła.

- On coś mówi! - zawołał Kurinami. - Widzę, jak porusza wargami. Musiał nas dostrzec przez

swoją lornetkę. Cholera, jest pierwszym człowiekiem, którego tu spotykamy, wita nas, a my nie wiemy nawet, co do nas mówi!

Elaine Halwerson nie drgnęła.

- Moja siostra była głucha od urodzenia. Nauczyła się języka migowego i czytania z ruchu warg. Ja też to potrafię.

Mężczyzna w okularach odwrócił się, ale Murzynka wciąż na niego patrzyła. Poprowadził motocykl pod górę, maszyna błyszczała, jakby ją przed chwilą wypolerowano.

- Jeśli to prawda, co, u diabła, powiedział, Elaine?

- To skur...

- Tak powiedział? Powiedział "skur..."? - Kurinami urwał w pół słowa.

- Nie, to nie on powiedział, ja to mówię! Mężczyzna z cygarem cały czas prowadził swój motocykl pod górę. W pewnej chwili odwrócił się w ich stronę, potrząsnął głową i machnął ręką w kierunku odległego granatowego szczytu.

- Coś nam pokazuje. Co takiego powiedział, Elaine? Nie męcz mnie.

Mężczyzna wszedł na motocykl i pojechał prosto w stronę zachodzącego słońca. Wielka, żółta kula zawisała tuż nad horyzontem i Elaine musiała zmrużyć oczy porażone blaskiem.

- Drań! - wymamrotała.

- Co powiedział, gdy nas zobaczył? Odpowiedziała dopiero po długiej chwili.

- Powiedział: "Tam mieszkam". Tylko to powiedział, skurwysyn!

ROZDZIAŁ IV

Ściemniało się. Padał śnieg, ale było wystarczająco jasno, żeby iść dalej. Kurinami uparł się, więc ustawili znacznik, określili swoje położenie i podążyli za motocyklistą. W razie, gdyby zgubili ślad, mieli wrócić do lądowiska.

Nagle Elaine usłyszała głośny warkot silnika, a zaraz potem drugi, identyczny. Na horyzoncie coś się poruszało.

- Uważaj, Elaine! - Kurinami dał jej znak, żeby się schyliła. Sam wysunął do przodu M-16. Ona też sięgnęła po pistolet. Nigdy dotąd z niego nie strzelała, poza krótkimi treningami. "Nie można przewidzieć, co się wydarzy w czasie zwiadu kosmicznego" - mówiono jej na szkoleniu, ale wówczas traktowała to jako teoretyczne wywody.

Patrząc do góry, mogła teraz wyraźnie zobaczyć dwa motocykle. Pojedyncze reflektory świeciły w jej oczy tak ostro, że poza nimi widziała tylko czarne kontury pojazdów.

- Jesteśmy uzbrojeni! - krzyknął Kurinami. Odezwał się obcy głos. Elaine instynktownie zgadywała, był to głos mężczyzny w okularach: niski, trochę arogancki, ale wzbudzający zaufanie. Brzmiał w nim dobry humor.

- Jesteśmy komitetem powitalnym, a ten M-16 wygląda bardzo nieprzyjaźnie, chociaż i ja nie chodziłbym po tej okolicy w nocy bez broni.

Hałas silnika ustał. Mężczyzna wysunął się przed swój motocykl. Elaine obserwowała ostry zarys sylwetki nieznanego na tle silnego światła. Był wysoki i smukły. Wiedziała na pewno, że to ten sam człowiek, którego widzieli przedtem. Na jego uzbrojenie składało się dużo więcej niż karabin.

- Moja przyjaciółka i ja przyszliśmy tu tylko po to, żeby was powitać - ciągnął obcy. - Odezwij się, Natalia.

- Halo!

- Jesteście z "Projektu Eden"?

- Skąd...? - zaczęła Elaine Halwerson. Ale mężczyzna przerwał jej:

- A tak przy okazji: Wesołych Świąt. Moja córka ścięła małą sosnę i dekoruje ją teraz razem z moją żoną. Mój syn, Michael, kazał im już wyciągnąć indyka z zamrażarki. Michael robi, co prawda, swoją nalewkę zbożową, ale mamy też spore zapasy autentycznej whisky. Dziewczyna mojego syna przyrządza sos o zapachu nie z tej ziemi, nie ma w tym cienia przesady. A Paul Rubenstein pokazał mojej córce, Annie, jak się robi bombki z niczego, nie zabraknie więc nawet świecidełek. Natalia zaś, ta tutaj, sam nie miałem pojęcia, że tak doskonale gotuje. Jest wspaniała. Zrobiła zapiekankę na słodko...

ROZDZIAŁ V

- Jeśli uznacie, że to nie jest aż tak ważne, możemy wrócić do lądownika po kolacji - powiedział John Rourke. Opierał się o kuchenny blat i popijał podwójnego drinka, sącząc whisky przelewającą się między licznymi kostkami lodu. - Indyk jest już prawie gotowy. - Spojrzał Murzynce prosto w oczy i roześmiał się. - Ciągłe mi jeszcze nie dowierzasz?

Podeszła do blatu i wzięła drinka, którego dla niej przygotował. Akiro Kurinami wyszedł z Paulem i Michaeliem, żeby zapoznać się z tutejszym systemem hydroelektrycznym. Natalia, Annie, Sarah i Madison stały za plecami Johna jak milczący kwartet.

Elaine pociągnęła łyk ze swej szklaneczki.

- Ciągłe czekam, aż pojawi się tutaj Rod Sterling i...

- Odpręż się - wtrącił Rourke.

- Ależ... - Jednym gestem ogarnęła cały pokój. - Ta broń, telewizja i to stereo, indyk, elektryczność...

- Jeśli chcesz, zajrzę po obiedzie do naszej taśmoteki i może znajdę w niej twój ulubiony film. Mam na kasetach ponad tysiąc godzin nagrań wideo. - Rourke minął ją i podszedł do wieży stereofonicznej stojącej w rogu pokoju. - Muzyka to jest to, co lubię.

- Chcesz, żebym zaczęła uważać cię za szaleńca?

- Nie, źle zrozumiałaś. Nigdy nie czułem się dobrze w roli gospodarza, a tu nagle mam dwoje niespodziewanych gości i stu trzydziestu sześciu następnych w drodze. Doskonale!

Wyciągnął płytę z zakurzonej okładki i ostrożnie położył ją na talerzu odtwarzacza. Uśmiechnął się zadowolony.

- Antonio Carlos Joabim. Nic nie zrelaksuje cię tak jak samba. - Pociągnął łyk trunku i poszedł w stronę sofy. Usiadł obok szafki na broń.

- Jakim cudem uniknąłeś wojny? To znaczy, tu była jakaś wojna, zgadza się?

- Och, tak! Naturalnie, że była wojna. A potem jej następstwa. Jonizacja atmosfery, płonące powietrze, zagłada wszelkiego życia na całej planecie.

- A jednak, och, Boże, to chyba nie...

- Co, nie jestem mówiącym nieboszczykiem? Nie żartuj. To długa historia, bardzo, bardzo długa. Jestem tak samo żywy, jak ty. Potem to sobie wyjaśnimy, po obiedzie, jak już skontaktujemy się z promami "Edenu". Mam nadzieję, że nie jesteście zbyt zmęczeni po waszym śnie. Ja też nie jestem senny. Więc zostawmy sobie moją opowieść na później.

- Ojciec, podano do stołu.

- Dziękujemy, kochanie! - odkrzyknął Rourke swej córce. Spojrzał na Elaine i dodał: - Nigdy nie

miałem tu porządnego stołu. Zawsze wolałem jeść w kuchni. Pójdę po porucznika Kurinamięgo i innych. Przepraszam na moment.

Przeszedł na ukos przez pokój, minął kuchnię i skierował się w stronę pracowni, w której zniknęli przedtem Michael, Paul Rubenstein i Akiro Kurinami. Zza pleców dobiegł go głos Elaine:

- Może przyda się moja pomoc, całkiem nieźle radzę sobie z gotowaniem.

John Rourke szczerze się roześmiał.

ROZDZIAŁ VI

- Wszystko się zgadza: właśnie skończyliśmy kolację wigilijną. Był indyk, doskonały. Odbiór! - mówiła Elaine.

John Rourke obserwował kobietę. W jego oczach widać było coś więcej niż zwykłe zainteresowanie innym człowiekiem, z tego samego co on czasu. Ona otrząsnęła się już z pierwszego wrażenia. Udało jej się nawet potraktować całe wydarzenie z humorem. Była bardzo ładna. Rourke przypuszczał, że Elaine była też trochę młodsza od niego. Jej skóra miała czekoladowy odcień. Gęste, czarne jak węgiel, kręcone włosy chyba sporo jej urosły w ciągu pięciuset lat, bo Murzynka bez przerwy niecierpliwie odrzucała je na plecy, jakby jej przeszkadzały.

- To radio jest chyba uszkodzone, doktor Halwerson. Znów usłyszałem coś o indyku i wigilijnej kolacji - odezwał się głos z radiostacji.

- Nie ma w tym żadnej pomyłki. Odbiór!

- Proszę o wyjaśnienia, doktor Halwerson. Czy jest tam Kurinami?

- Z nim wszystko w porządku, jest w Schronie doktora Rourke'a. On i jego rodzina przeżyli wojnę nuklearną i zagładę planety. On sam twierdzi, że najgorsze minęło: całkowita jonizacja atmosfery i pożar powietrza, który w ciągu dwudziestu czterech godzin spalił na Ziemi wszystko, co było do spalania. Uratowali się tylko oni i młoda dwudziestoletnia dziewczyna.

- Dziewiętnastoletnia - pedantycznie poprawił ją Rourke.

- Powiedziano mi właśnie, że ma dziewiętnaście lat. W każdym razie, oprócz niej, cała grupa przetrwała tylko dlatego, że miała dostęp do takich samych jak nasze komór kriogenicznych i do gazu narkotycznego. Dziewczyna natomiast, dla mnie samej nie wszystko jest tu oczywiste, pochodzi z jakiejś innej grupy ocalańców. Ta druga grupa od pięciuset lat żyje pod powierzchnią Ziemi. Dziewczyna należy do mniej więcej dwudziestego piątego powojennego pokolenia starej populacji. John Rourke, który jest doktorem medycyny, nie zauważył w niej niczego szczególnego. Ale jest bardzo prawdopodobne, że pochodzi ona z kazirodczego związku. Doktor Rourke przywiózł mnie tutaj swoim motocyklem. Po skończeniu rozmowy wrócę z nim do Schronu. Zaproponował, że wymontuje radio z lądownika i zainstaluje je u siebie. W ten sposób będziemy mogli utrzymywać stałą łączność radiową. Odbiór!

Usłyszeli szumy i trzaski.

- Wygląda na to, że ten doktor jest gdzieś koło ciebie. Zapytaj go, czy nie ma tam w pobliżu jakiegoś lądowiska. Odbiór!

- Trzymaj. - Elaine Halwerson wręczyła mikrofon Johnowi Rourke. - Sam z nim porozmawiaj.

- Czy dobrze usłyszałem nazwisko, kapitan Dodd? - spytał Rourke.

- Zgadza się, Timothy Dodd. Rourke zbliżył mikrofon do ust.

- Kapitanie Dodd, tu doktor Rourke. Doktor Halwerson stwierdziła, że powinniśmy porozmawiać. Odbiór!

- Tu Dodd, doktorze. Pan założył w tym rejonie coś w rodzaju bazy. Ponieważ straciliśmy dwa zaplanowane lądowiska, chętnie skorzystam z pańskich wskazówek. Rozwahałem już różne możliwości. Spróbować w Hiszpanii? Bóg raczy wiedzieć, co byśmy tam zastali. A może w innym rejonie Stanów Zjednoczonych? Nasuwa się na myśl pustynne Południe, ale lądowanie w piachu wybrałbym w ostateczności. Teraz sądzę, że najlepiej byłoby znaleźć coś bliżej pańskiej bazy, najbliżej, jak to możliwe. Odbiór.

Rourke bawił się zapalniczką. Stał na zewnątrz ładownika, przy drabince prowadzącej do wnętrza. Elaine siedziała na skraju wjazdu. Rourke zaciągnął się cygarem, wypuszczając dym, wcisnął guzik nadajnika.

- Część międzystanowego systemu dróg jest prawie nie uszkodzona. I nie trzeba się będzie martwić liniami wysokiego napięcia. Nie dysponujemy odpowiednim sprzętem do budowy nowego lądowiska. Być może główny pas lotniska w Atlancie byłby dla was odpowiedni, chociaż wątpię. Poziom napromieniowania w tamtej okolicy jest chyba wciąż zbyt wysoki. Większa część miasta wyparowała. - Rourke uświadomił sobie, że głośno myśli: - Bóg jeden wie, jakie izotopy powstały po ataku pociskami samosterującymi. Jeszcze przed Nocą Wojny, tak nazwano trzecią wojnę światową, ustalono, że niektóre izotopy mogą być radioaktywne nawet pięćset tysięcy lat po napromieniowaniu. Ale mam pewne konkretne sugestie. Odbiór!

Zakłócenia, potem głos Dodda:

- Słucham, doktorze.

Rourke wypuścił kolejny kłęb dymu, obserwując, jak chmurka rozplywa się w powietrzu. Śnieg gęstniał. Wciąż była Wigilia, jeszcze przez jakieś dwie godziny.

- Zorientowałem się, że nie będziecie mieli gdzie lądować i przygotowałem niezbędne dane. Jest dobrze zachowany odcinek na autostradzie numer szesnaście w Okręgu Bulloch, łączącej Macon i Savannah. Z Macon niewiele pozostało, ale Savannah nie jest zniszczone, to znaczy, nie od bombardowań. Poza tym droga, o której myślę, omija obydwa miasta. Wytypowany przeze mnie fragment ma dziesięć mil długości, jest prawie idealnie prosty i dałby wam możliwość lądowania na utwardzonym pasie szerokości ponad stu stóp. Na tych dziesięciu milach znajdują się dwa wiadukty przerzucone przez autostradę górą. Będzie je trzeba usunąć. Na południe rozciąga się pustynia, więc nadlatując nie musicie obawiać się drzew. Dojazd zajmie mi kilka godzin. Mogę tam w każdej chwili pojechać i bardziej szczegółowo sprawdzić nawierzchnię. Zewnętrzna warstwa z pewnością się wypaliła, ale betonowy podkład powinien być w dobrym stanie. Pas może być gdzieś zasypany piachem. Poradzę sobie z tym, wykorzystam pług śnieżny, który mocuje się do ciężarówki. Doktor Halwerson wie, czego będziecie potrzebować, będzie moją prawa ręką, Kurinami pomoże mojemu synowi. Jest jeszcze mój przyjaciel Paul, no i ja sam, plus cztery panie z naszej grupy. Powinniśmy sobie poradzić.

W eterze zapanowała długa cisza przerywana radiowymi zakłóceniami.

- Zdaje pan sobie sprawę, doktorze, że wyjście z orbity będzie dla nas procesem nieodwracalnym. Odbiór! - odezwał się po chwili Dodd.

- Jak najbardziej, kapitanie. Jeśli ma pan do zaproponowania inne rozwiązanie, oczywiście służę pomocą, jeśli będę mógł się przydać. Musi pan jednak wiedzieć, że w razie lądowania poniżej

Missisipi, będziemy mieli problem z przrzuceniem ludzi i sprzętu w inny rejon wzdłuż rzeki. Tam miały miejsce najcięższe bombardowania. Ten obszar będzie skażony promieniotwórczo przez kilka tysięcy lat. Jeśli zaś staniecie po drugiej stronie rzeki, będziecie musieli pogodzić się ze znacznie gorszymi warunkami klimatycznymi niż panujące tutaj. Na przykład, sezony wegetacyjne są tam krótsze. Tutaj wciąż mamy dwa takie sezony. Poza tym, jak zrozumiałem z tego, co mi powiedziała doktor Halwerson, podziemne składy, do których mieliście się dostać po powrocie, znajdują się na wschodzie. Powinniście więc chyba wylądować jak najbliżej nich. Lądowanie w Zachodnim Teksasie wydaje się być idealnym pomysłem, ale jego następstwa mogą być opłakane. Nie mogę za was decydować. Po prostu chcę wam pomóc. Jeśli jednak naprawdę skierujecie się poniżej Missisipi, dopóki nie doprowadzę do porządku jakiegoś samolotu, nikt z nas nie będzie w stanie do was dotrzeć. Odbiór!

- Doktorze, z orbity, po której krążymy, możemy obserwować dziewięćdziesiąt procent powierzchni globu. Pozostaniemy tu jeszcze trochę i przypatrzymy się pasowi pańskiej autostrady. Proszę tylko o dokładne współrzędne. Jutro wieczorem powrócimy do naszej rozmowy. Odbiór!

Rourke sięgnął do przewieszanej przez lewe ramię torby i wyciągnął mały notes w skórzanej okładce. Przez chwilę wertował go przy świetle zapalniczki. W końcu znalazł właściwą stronę.

- To dane ze zwykłego atlasu. Powinniście mieć taki w komputerze. Autostrada numer szesnaście łączy się z drogą międzynarodową nr 3-0-1 na zachodzie i drogą stanową numer sześćdziesiąt siedem na wschodzie. Podaję położenie geograficzne: droga numer sześćdziesiąt siedem: trzydzieści dwa stopnie, piętnaście minut i dwadzieścia trzy sekundy i osiemdziesiąt jeden stopni, czterdzieści dwie minuty, czterdzieści pięć sekund na zachód; droga numer 3-0-1: trzydzieści osiem stopni, osiemdziesiąt minut, dwadzieścia osiem sekund na północ i osiemdziesiąt jeden stopni, pięćdziesiąt dwie minuty, dwadzieścia osiem sekund na zachód. Przypuszczam, że nagrywacie to, co mówię. A może powtórzyć? To najdokładniejsze dane, jakie mogę podać.

Spojrzał na Elaine, uporczywie mu się przyglądała.

- Oddaję głos doktor Halwerson, kapitanie.

Rourke podał kobiecie mikrofon i oddalił się od drabinki, kiedy tamci zaczęli ze sobą rozmawiać. Następnego wieczora dowie się od Dodda, czy z kosmosu zauważono jakieś inne ślady życia na Ziemi.

John spojrzał w niebo. Gwiazdy były ledwie widoczne za chmurami niosącymi śnieg. Zastanawiał się czy tam, w górze, też istnieje jakieś życie. Ze smutkiem zdał sobie sprawę, że on nigdy się o tym dowie. Po wylądowaniu floty promów żaden człowiek nie polecą w kosmos. Nie ma fabryk, w których można by odbudować pojazdy, przygotować nowe zbiorniki paliwa i zapalniki, nie ma sposobu na skonstruowanie stacji orbitalnych i platform kosmicznych.

“Jestem przykuty do Ziemi” - pomyślał Rourke. Popatrzył na czubek cygara jarzący się pomarańczowo w ciemnościach. Ziemia była zupełnie nową planetą. Nieważne, jakie dane miał o niej John w swoim notatniku. Kryła przed nim niezliczone sekrety. Elaine opowiedziała mu o podziemnych magazynach z żywnością, składanymi domkami, pojazdami i sprzętem, wszystko przygotowane na Noc Wojny. Ona sama dowiedziała się o tym już po przebudzeniu, po zapoznaniu się z dalszymi instrukcjami dla członków misji. Mieli tam znaleźć również samolot albo choćby jego części. John złożyłby z nich własną maszynę.

Zamknął oczy. Za kilka tygodni przeprowadzi u Madison test ciążowy. Powiedziała, że ostatnio dziwnie się czuje. Uśmiechnął się do swoich myśli. Był zbyt młody, żeby zostać dziadkiem, ale

pewnie niedługo nim zostanie. Poczekaj do narodzin dziecka. Naucz Michaela czegoś więcej z medycyny. Na szczęście w ekipie "Projekt Eden" też są lekarze.

Sarah mówiła o stracie. On też czuł, że coś traci. Nie tylko córkę, coś więcej. Annie poślubi jego najlepszy przyjaciel, Paul. "Być może jedyny prawdziwy przyjaciel w moim życiu" - pomyślał. To wydawało się oczywiste. Pobiorą się i będą mieli dzieci. Dla niego, Rourke'a, znaczyło to utratę kogoś, z kim miał poznawać nową Ziemię, i samotną walkę z przeciwnościami.

Sarah, odkąd wrócili do Schronu, ani razu go nie pocałowała, nawet się do niego nie uśmiechnęła. W czasie obiadu z Halwerson i Kurinami prawie się nie odzywała. Jej złość nie malała, ani serce nie zmiękło.

- Natalia... - Rourke otworzył oczy.

Najpierw trzeba bezpiecznie sprowadzić na ziemię statki "Edenu". Potem dokładnie zbadać spadochronowe znalezisko Michaela i odnaleźć wrak samolotu. Może będzie można go naprawić albo chociaż dowiedzą się czegoś więcej o pochodzeniu pilota.

- Jestem gotowa, doktorze Rourke. John odwrócił się na dźwięk głosu Elaine.

- Doskonale. Zabierzmy się więc do tego radia.

Mężczyzna wyrzucił niedopalone cygaro i podszedł do ładownika. Zakładał, że wymontowanie aparatu i zapakowanie niezbędnych części na harley'a nie zajmie mu więcej niż czterdzieści pięć minut.

Powinni wrócić do domu przed końcem Wigilii.

ROZDZIAŁ VII

Jego rodowód sięgał daleko przed Erę Zagłady. Od pełnych glorii lat trzydziestych i czterdziestych dwudziestego wieku, poprzez wydarzenia zwane Nocą Wojny (uśmiechnął się, kiedy o tym pomyślał) ciągnął się aż do dzisiaj. Był wdzięczny losowi, że urodził się w czasach, gdy życie na powierzchni Ziemi było znów możliwe. Nie zniósłby zamknięcia w podziemiach Complexu - z czym musiało pogodzić się ponad dwadzieścia pokoleń jego przodków - ciągłej pracy i przygotowań do ewentualnego powrotu do dawnej świetności.

Dżungla odrodziła się taka sama, jaką znał z fotografii i filmów wideo. I od wczesnego dzieciństwa, odkąd po raz pierwszy wyszedł z rodzicami na zewnątrz Complexu, pokochał dżungłę prawie tak mocno, jak Wielki Cel.

- Helmut, o czym myślisz? Jesteś przy mnie tylko ciałem, twój duch jest gdzieś daleko stąd.

Spojrzał na nią.

- Myślałem właśnie, że uwielbiam dżungłę. Jej piękno jest porównywalne tylko z pięknem twojej twarzy, twojego ciała. Wyobrażam sobie, jaka była wspaniała, zanim została zniszczona.

Uśmiechnęła się. Jej zielone oczy promieniały miłością. Wiedział, że miłością do niego. Oparła głowę na jego ramieniu. Jej włosy słodko pachniały wonią leśnych kwiatów. Tulił ją w milczeniu. Patrzył na świat, który ich otaczał. Tak musiał wyglądać mityczny Raj znany z judeochrześcijańskiej tradycji.

Po chwili Helena podniosła głowę, usiadła prosto z rękami na kolanach. Nie powiedziała ani słowa. On wstał. Czuł, że jest przez nią obserwowany, kiedy obciągał bluzkę koloru khaki. Poprawił pas, przy którym nosił pistolet.

- Czasami... - nie dokończyła.
- Helmut Sturm obrócił się, żeby na nią popatrzeć. Nagle zaciekawilo go, jak wyglądałoby bardziej doskonale kobiece ciało, jeśli takowe w ogóle przetrwało. Jak to jest być kobietą, nie mieć jasnych włosów, ale mieć ciemne oczy i wiotkie ciało. - Czasami - podjęła jego żona - życzyłabym sobie... czasem... czasem wołałabym, żeby nie było naszym historycznym przesłaniem... - Znów nie wypowiedziała swej myśli do końca. Helmut Sturm podszedł do niej. Spuściła wzrok. Czubkami palców uniósł jej brodę i mógł teraz zajrzeć w oczy kobiety. - Heleno, przecież żyjemy tylko dla Wielkiego Celu, planowaliśmy go, marzyliśmy o nim. Spotkało nas to szczęście, że po dwudziestu pięciu pokoleniach ciągłych przygotowań, właśnie nasza generacja ma wypełnić misję naszego narodu. Dziecko, które nosisz w swoim łonie, będzie uczestnikiem nowej ery w dziejach Ziemi. Spojrzała na swój nabrzmiący brzuch, pełen nowego życia. - Boję się o ciebie, o mojego brata Zygryda i wszystkich innych, którzy z wami pójdą. Kto wie, jakie niebezpieczeństwa na was czyhają. Zginęło już dwóch pilotów... Helmut delikatnie położył palec na jej wargach. - Kochanie. - Osunął się przed nią na kolana. - Od

pięciuset lat nasi ludzie żyją tylko dla Wielkiego Celu. Poświęcili się całkowicie. Dzięki ich wysiłkom jesteśmy wybrańcami losu. Nie możemy ich zawieść. Pięćset lat rozwoju nauki, techniki i przemysłu zbrojeniowego. Jesteśmy już gotowi do zapanowania nad całym światem.

- Ciągłe klęcząc trzymał jej dłonie w swoich. Odwrócił głowę. Poczł wzbierającą dumę, kiedy jego wzrok padł na brązowe popiersie wieńczące wysoką kolumnę u głównego wejścia do Complexu, nowej ojczyzny Niemców. "Byłoby wspaniale żyć w tych samych czasach, co on, Fuhrer" - pomyślał. Tego jednego zazdrościł swoim dalekim przodkom, że mogli znać Fuhrera osobiście.

ROZDZIAŁ VIII

Władimir Karamazow przyjechał dużym pojazdem zwanym "arktycznym kotem". Wsiadając poczuł się dziwnie, gdy dotknął stopami twardego, kamienistego podłoża. Przedtem całymi latami chodził tylko po śniegu. Tutaj, na mniejszych wysokościach, było cieplej i powietrze miało więcej tlenu niż to, którym Karamazow ostatnio oddychał. Dziarsko ruszył w stronę grupy land-roverów stojących około stu jardów od miejsca, w którym opuścił "kota". Poleciał kierowcy zatrzymać się właśnie w takiej odległości od land-roverów, aby znajdujący się przy nich ludzie mogli zobaczyć, że w pełni odzyskał siły i sprawnie się porusza. Rozchylił poły kurtki. Poprawił szelki od kabury smith & wessona. Inna broń - model 36 Chiefs - kołysała się u prawego boku Karamazowa tam, gdzie oficer miał bliznę po operacji usunięcia nerki. To go irytowało. Tamci przy land-roverach też wiedzieli, że stracił nerkę. Stało się to podczas potyczki z Amerykaninem Johnem Rourke'em. Ten człowiek, jeśli jeszcze żyje, wciąż miał żonę Karamazowa, Natalię. Ponieważ tamci wiedzieli o tym, Władimir nie dotknął prawego boku, żeby nikomu nie przyszło do głowy, że jego gest jest oznaką słabości. Zatrzymał się w odległości dziesięciu jardów od najbliższego samochodu. Nawet się nie zasapał. Na spotkanie Karamazowa wyszedł Juryj Wajnowicz - młody, dumny asystent sekretarza partii. Wajnowicz zatrzymał się tuż przed Karamazowem, wyciągnął ręce, objął przybysza i pocałował go w oba policzki. Potem podał mu dłoń na powitanie. Karamazow uścisnął ją bez wahania. - Towarzyszu Wajnowicz, miło mi widzieć was młodym jak przed czterema laty. - Towarzyszu pułkowniku, góry, jak pan przewidział, uzdrowiły pana i przywróciły siły. Nasze nadzieje się spełniły. Karamazow pozwolił sobie na uśmiech. - Czas więc na spełnienie moich nadziei. Nie czekając na odpowiedź, skierował się w stronę samochodów. Wajnowicz gestem wskazał mu drogę do najmniej brudnego wozu. Karamazow szedł krokiem tak pewnym, jak gdyby sam doskonale wiedział, który pojazd dowiezie go do głównego wejścia podziemnego kompleksu w górach Ural, będącego miejscem jego pięćsetletniego snu. Tam był dom Karamazowa i kilku ocalonych członków elitarnego korpusu KGB, którzy zapewnili pułkownikowi najlepszą opiekę medyczną i właściwie przywrócili mu życie po śmiertelnym starciu z Rourke'em. To właśnie tam ukryto kilka komór kriogenicznych ukradzionych z wyposażenia "Łona". Tam też Karamazow schował bezcenną fiolkę surowicy kriogenicznej, kiedy na kilka lat przed Nocą Wojny dowiedział się o istnieniu "Projektu Eden". Potem on i kilku wybranych członków elitarnego korpusu KGB wypróbowali na sobie działanie surowicy. Pułkownik wsiadł do land-rovera. Wajnowicz wśliznął się na sąsiednie siedzenie. Szofer zamknął drzwi i usiadł za kierownicą. Karamazow przymknął oczy, ale tylko na moment, żeby i tym razem nie posądzono go o skrywanie słabości. Ruszyli. - Co tak naprawdę, towarzyszu, dzieje się w naszym Podziemnym Mieście? - spytał

pułkownik Wajnowicza. - No cóż, wszystkie przygotowania do pańskiej ekspedycji zostały zakończone. - Wajnowicz odwrócił wzrok i patrzył przez szybę samochodu. Karamazow uśmiechnął się. Podczas gdy on spał, inni pracowali. Około roku 1950 radziecki przywódca stwierdził, że konflikt nuklearny o zasięgu światowym jest nieunikniony. Przemysł zbrojeniowy został natychmiast rozproszony na obszarze całego kraju, żeby zminimalizować skutki ewentualnego amerykańskiego ataku jądrowego. Przygotowano też plany przetrwania. Przed rokiem 1963 rozpoczęto budowę podziemnego systemu schronów przeciwoatomowych. Po kryzysie kubańskim przyspieszono prace budowlane, dzięki czemu zakończono je już wiosną 1968 roku. W ciągu roku miasto zostało zaludnione. Do budowy wykorzystano naturalne jaskinie ciągnące się kilometrami we wnętrzu głównego łańcucha gór Ural. Jaskinie zostały połączone w gigantyczny system podziemnej aglomeracji - granitowe miasto, zasilane generatorami wykorzystującymi pluton i energię geotermiczną, zamieszkałe przez tysiące najzwyklejszych obywateli państwa radzieckiego. Całe to przedsięwzięcie potraktowano jako eksperyment sprawdzający możliwość przeżycia w zupełnie nowych dla człowieka warunkach, wypróbowano tam nowe techniki upraw i hodowli. A wszystko to było wstępem do przygotowanej przez Rosjan okupacji przestrzeni około-ziemskiej. Do 1976 roku, w którym obchodzono dwusetną rocznicę założenia Stanów Zjednoczonych, Podziemne Miasto zupełnie uniezależniło się od świata zewnętrznego. Rodziły się w nim dzieci, które nigdy nie widziały prawdziwego słońca, a jednak były silne i zdrowe. Potem była Noc Wojny, a Podziemne Miasto nadal funkcjonowało. Początkowo Karamazow planował ewakuację do Podziemnego Miasta, ale "Łono" stanowiło kuszącą alternatywę: przespać przymusowe zamknięcie pod skażoną powierzchnią ziemi, a potem wyjść na zewnątrz jako władca całego globu. Pułkownik musiał jednak zrezygnować z takiego planu, bo wydano na niego wyrok śmierci. Stało się to za sprawą generała Izmaela Warakowa. Wydelegowano już nawet Roźdiestwieńskiego, żeby zajął miejsce Karamazowa, ale opanowanie "Łona" okazało się dla nich niemożliwe. Karamazow przetrwał długie serie skomplikowanych operacji. Były chwile, w których cierpiał tak bardzo, że tylko nienawiść pozwalała mu to znieść. Już wracał do zdrowia, gdy nastąpiła zagłada. Podziemne Miasto było jedyną szansą, więc z niej skorzystał. Mieszkańcy miasta byli może niezbyt uzdolnieni, ale lojalni; nie wyszkoleni, ale posłuszni. Spędził wśród nich pięć lat po pożarze, który ogarnął całą Ziemię. Pięć lat ciężkiej rekonwalescencji i nauczania innych, jak uczyć sztuki walki następne pokolenia. A potem zasnął. Kiedy się obudził, w Podziemnym Mieście żyło już siedem tysięcy zdrowych, dobrze odżywionych kobiet, mężczyzn i dzieci. Tworzyli swój własny, zamknięty świat. Mieli pod dostatkiem żywności, hodowali zwierzęta, odchody wykorzystywali jako nawóz użyźniający podziemne pola i ogrody. Sztuczne, kontrolowane środowisko posiadało nawet własny obieg wodny, bo niektóre z jaskiń były tak wysokie, że ze skondensowanej pary tworzyły się w nich chmury. Świat. A on, Karamazow, obudził się, żeby zostać bohaterem i - nieoficjalnie - panem świata. Był przekonany, że "Łono" przestało istnieć. Wszystkie próby nawiązania kontaktu podejmowane po dniu Wielkiej Pożogi kończyły się fiaskiem. Również następne, wznowione po jego przebudzeniu, bo polecił wstrzymać je na czas swojego narkotycznego snu, pozostawały bez odpowiedzi. Loty zwiadowcze, przeprowadzone cztery lata później, dały Karamazowowi pewność, że w Ameryce Północnej nie ma żadnych śladów życia. Znalaziono je natomiast w Europie. We Francji istniał system schronów, ale plan przetrwania nie został dobrze opracowany. Mieszkańcy tych bunkrów przeżyli, ale ich

cywilizacja graniczyła z barbarzyństwem. Kiedy tylko można było oddychać powietrzem na zewnątrz, Francuzi opuścili schrony. Żywili się roślinami. Niektórzy stali się kanibalami. Spośród nich Karamazow brał swoje "kobiety". Ci pół-ludzie małymi grupkami rozproszyli się po całej Europie. W Ameryce Północnej nie zauważono obecności ludzi. Za to góry w północnej Georgii zostały wyjątkowo łaskawie potraktowane przez ogień. Gdzieś w ich wnętrzu, pułkownik to czuł, wciąż żyli John Rourke i Natalia. Przetrwali, tak jak i on przetrwał. Stary generał Warakow z pewnością o to zadbał. Na pewno ocalił tę dziwkę, którą nazywał swoją bratanicą, i jej kochankę. Karamazow krzyknął na szofera. Land-rover zatrzymał się. Pułkownik nie czekał na kierowcę. Wsiadł i spojrzał w głąb doliny w kierunku wejścia do Podziemnego Miasta. Nikt nie rozpoznałby miasta z powietrza. Czołgi i samoloty, które zbudowali - wszystko było ukryte pod skałami. Ukrył się tu także liczący tysiąc żołnierzy, świetnie wyposażony i wyćwiczony oddział ekspedycyjny. Teraz nareszcie można było wyruszyć na podbój. Karamazow uśmiechnął się; miał jeszcze przedtem coś do zrobienia. Poczł obecność Wajnowicza. - Mogę o coś zapytać, towarzyszu pułkowniku? Karamazow spojrzał na młodego mężczyznę. Niezbyt mu ufał, ale lubił asystenta sekretarza. - Słucham. - Nie jestem znawcą, ale pańscy fachowcy od uzbrojenia, dali mi do zrozumienia, że broń, którą dysponują, bije na głowę wszystko, czego używano dotychczas. - To prawda, towarzyszu. - To dlaczego, przepraszam za niedyskrecję, zauważyłem to przypadkiem, pułkowniku, kiedy sięgnął pan pod kurtkę po wyjściu z "arktycznego kota", dlaczego... - ...wciąż noszę przy sobie dwudziestowieczny antyk? Dlaczego nie jestem uzbrojony w nowoczesny karabin? Dlaczego nie pozwoliłem sobie na broń najnowszej generacji? - dokończył pułkownik myśl Wajnowicza. - Tak. Karamazow uśmiechnął się, znów powiódł wzrokiem ku dolinie, w kierunku wejścia do miasta. - Jest pewien człowiek, wspominałem o nim... - Amerykanin John Rourke - domyślił się asystent. - Rourke przetrwał. Bez względu na nienawiść, którą do niego czuję, sądzę, że to wyjątkowy człowiek. On, ten Rourke, będzie nosił przy sobie broń z dwudziestego wieku. Broń, którą omal mnie nie zabił. I kiedy się z nim spotkam, chcę, żebyśmy mieli równe szansę. Pokonam go według jego reguł gry. Wyciągnął swojego smith & wessona. Został on skradziony na długo przed Nocą Wojny z transportu przeznaczonego dla Zachodnich Niemiec.

- - Zniszczę go, a potem ten pistolet nie będzie mi już potrzebny. To proste, towarzyszu. Noszę go tylko dla tej jednej pięknej chwili.

ROZDZIAŁ IX

Sarah Rourke przycisnęła pedał hamulca półciężarówki forda pomalowanej farbami maskującymi. Annie siedziała obok na przednim siedzeniu, a Madison - przy samych drzwiach kabiny. Madison po raz pierwszy w życiu jechała ciężarówką, po raz pierwszy jechała czymś innym niż motocykl, którym jeździła z Michaeliem. Dziewczyna mówiła o bohaterstwie swego wybawiciela i o tym, jak wspaniały jest John Rourke. Naprawdę uwielbiała obu mężczyzn. John - Sarah obserwowała go przez tylną szybę - ściągnął z platformy wozu swojego czarnego harley'a. Rourke był, jak zwykle, obwieszony bronią. Natalia właśnie zeszła z przyczepy, tak samo jak John, uzbrojona po zęby. Obok samochodu siedzieli na motocyklach Michael i Paul. - W porządku, dziewczęta, wysiadka - oznajmiła Sarah i i sięgnęła po niebiesko-białą chustkę leżącą na desce rozdzielczej. Stała na ziemi, rozcierając zeszywniałe mięśnie nóg. Była zmęczona, mimo że co pewien czas za kierownicą zastępowała ją Annie. Dziewięć godzin jazdy po zniszczonych drogach, to jednak niemało. W końcu dotarli do czegoś, co kiedyś było międzymiastową autostradą numer szesnaście. Sarah mówiła Johnowi już wcześniej, że Madison należałoby nauczyć prowadzić ciężarówkę. Michael poradziłby sobie z tym zadaniem. Annie wygramoliła się na zewnątrz. Sarah z dezaprobatą patrzyła na córkę. Annie ubrała się w błękitny, pomalowany w wielkie kwiaty płaszcz sięgający połowy łydek, jedną z wypłowiałych męskich koszul, założyła też szal. Dziewczyna wyglądała, jakby wybrała się na piknik, a nie do ciężkiej pracy przy oczyszczaniu drogi i usuwaniu ocalałych mostów. Z drugiej strony szoferki wysiadła Madison. Sarah obeszła wóz od przodu i spojrzała na swoją "synową" - zgodnie z prawem cywilnym dziewczyna była już żoną Michaela. Chociaż zbyt szczupła, właściwie chuda, z nogami i rękami sprawiającymi wrażenie zbyt długich, była przecież bardzo ładna. I Sarah czuła, że lubi tę dziewczynę bez względu na okoliczności. Jej jedyną wadą było to, że nazywała ją, Sarah, "Matką Rourke". Madison była ubrana podobnie jak Annie, nosiła przecież jej rzeczy. Teraz miała na sobie długą spódnicę z szarego grubego materiału, obszytą u dołu różową wstążką, a na zgrzebną prostą koszulę założyła szary męski sweter. Jego historia była dość skomplikowana, to był sweter Johna. Kupiła mu go Sarah. Nosił go Michael. Teraz odziedziczyła go Madison. Był dla niej zbyt obszerny przy szyi i sięgał poniżej bioder, rękawy podwinęła wysoko za łokcie. - Matko Rourke... - zaczęła Madison. Sarah spojrzała na nią. Kątem oka dostrzegła, jak Kurinami i Halwerson schodzą z ciężarówki. Proponowała Elaine jazdę z przodu, w szoferce, ale Murzynka wołała uniknąć zbytniego tłoku. Sarah wzruszyła ramionami, kiedy o tym pomyślała. - Mów do mnie "Sarah" albo "matko", jeśli chcesz, a raczej "mamo", jak Annie i Michael. Ale nie "Matko Rourke." Za każdym razem, kiedy to słyszę, czuję się jak zakonnica po osiemdziesiątce - rzekła Sarah do Madison. Dziewczyna uśmiechnęła się

zażenowana. Sarah zaczęła zawiązywać na głowie swą biało-niebieską chustkę. Jej włosy były teraz dłuższe niż zazwyczaj, ale nie zamierzała ich na razie skracać. Kiedy wiązała supeł na karku, usłyszała głos Madison. - Chciałabym się z tobą zaprzyjaźnić. - To świetnie, zostań więc moją przyjaciółką, Madison. - Ale ty gniewasz się na mnie. - Nie, to nie tak. Jestem zła na ojca Michaela, nie na ciebie. I zaczynam się złościć na Michaela. Jest taki sam, jak jego ojciec. - Tak, wydaje się jego lustrzanym obciem, pani Rourke. Sarah spojrzała na stojącego obok porucznika Kurinamiego. Za nim mogła widzieć Elaine idącą w kierunku Johna, Michaela, Paula i Natalii. - Wyobrażam sobie, jak jest pani dumna ze swego syna. To zdrowy, silny mężczyzna. Michael ma bystry wzrok. Myślę, że byłby doskonałym pilotem. Sądzę też, że obydwaj, pani mąż i syn, uprawiają jakąś sztukę walki. Od pięciuset lat nie miałem okazji poćwiczyć. Czy sądzi pani, że jej mąż zgodziłby się być moim partnerem dzisiaj wieczorem po założeniu obozu? Popatrzyła na Kurinamiego i nie mogła powstrzymać uśmiechu.

- - Nie mogę mówić za Michaela, ale jestem pewna, że mąż panu nie odmówi. Ze mną walczy bez przerwy.

ROZDZIAŁ X

Michael zakreślił nożem na piasku duży okrąg. Słońce chyliło się ku zachodowi, niebo stawało się purpurowe i nad jałową równiną południowej Georgii krążył pustynny pył unoszony lekkim wiatrem. W kole stał już John. Jego koszula, roń oraz buty leżały poza narysowaną granicą, Bosonogi Rourke patrzył, jak Kurinami wchodzi do kręgu. - Szkoda, że nie mamy rękawic, doktorze, urządzilibyśmy wtedy prawdziwy mecz. - I bez nich możemy tak potraktować nasze spotkanie, musimy tylko bardziej uważać - mruknął John. - Pomyślisz, że jestem bezskromny... - Nieskromny - machinalnie poprawił go Rourke. - Tak "nieskromny"... Przez dwa lata byłem mistrzem naszej floty, zanim przybyłem do USA na szkolenie dla astronautów. - Będę bardzo ostrożny. - John skinął głową, nie spuszczając wzroku z Japończyka. - Jakiego stylu mogę się spodziewać z twojej strony? - Głównie mojego własnego, ale na podstawie kung-fu. - Ja wolę taekwon-do. Zapowiada się interesująco. - Zaczynamy więc. Nagle Natalia wstała, oddała Madison swój pas z dwoma kaburami i podeszła do kręgu. Stała między mężczyznami. - Prawdziwe zawody nie mogą się obejść bez sędziego. Kurinami cofnął się zaskoczony. - Ale kobieta...? Rourke uśmiechnął się lekko. - Ciesz się, że będziesz walczył ze mną, a nie z nią. Będzie dobrym arbitrem. Jego oczy napotkały spojrzenie Sarah, Wpatrywała się weń uporczywie. Posłał jej uśmiech, ale kobieta nie odwzajemniła się tym samym, wciąż tylko patrzyła na niego. Rourke skoncentrował się na Kurinamim. - Gotów, poruczniku. Natalia stanęła na skraju ich prymitywnego ringu. Akiro kocim ruchem przyczaił się i pochylił w prawo. Powoli, lekko pochylając głowę, ze złączonymi stopami, zrobił całym ciałem półobrót w lewo. Jego prawa ręka popłynęła wolno ku górze, palce poruszyły się w zadziwiającym tańcu, jakby każdy palec żył osobno. Nagle ręce Japończyka gwałtownie zamieniły się miejscami. Prawa dłoń, pochylona w nadgarstku wyskoczyła naprzód jak głowa żmii. Rourke zrobił wypad w prawo, wystawiając się w ten sposób na kolejny cios, który odparował prawym ramieniem. Wtedy sam uderzył. Kurinami wykonał unik. Wtem jego lewa stopa znalazła się tuż przed Johnem. Rourke tylko na to czekał. Pochylił się szybko i jednym ruchem ręki trafił przeciwnika w prawą kostkę. Japończyk stracił równowagę, upadł na kolano. Padając kopnął jeszcze stopą w brzuch Rourke'a. Teraz Amerykanin upadł, zaś Akiro poderwał się na równe nogi. Jego ręce znów zatańczyły. Rourke nie zdążył wstać, znów musiał szarpnąć głowę do tyłu, by uniknąć ciosu. Poczul na twarzy pęd powietrza. Próbował podciąć nogi Japończykowi, gdy ten szykował się do następnego kopnięcia. Kurinami stracił równowagę. John przetoczył się przez prawy bok i podniósł się na łokciu. Wstając kopnął przeciwnika w brzuch. Skulonego kopnął raz jeszcze w pierś. Akiro wyprostował się i wyprężony padł ciężko na plecy. Rourke błyskawicznie przydusił klatkę piersiową Akiro lewym kolaniem. Lewą ręką uniósł podbródek leżącego, prawą

pięścią chciał uderzyć go z góry w odsłoniętą szyję. Zatrzymał cios tuż przy skórze. - Co byś powiedział, gdybyśmy uznali to za remis, Akiro? - mruknął i uśmiechnął się do leżącego. Puścił go. Japończyk zakrztusił się i usiadł. Zaczął się śmiać, głośno i bez opamiętania.

ROZDZIAŁ XI

Hauptsturmführer Helmut Sturm, stojąc na trybunie honorowej, widział w dumie twarz swojej żony, Heleny. Na trybunę wszedł wódz. Orkiestra grała kolejne zwrotki pieśni *Deutschland, Deutschland uber alles*. Ta pieśń była ich hymnem państwowym, mimo że powojenne Niemcy porzuciły nazistowskie ideały. Wódz uniósł rękę i po głośnym pozdrowieniu ze strony obersturmführera zajął miejsce na trybunie. Tony hymnu stały się jakby wyższe. Płomienie unoszące się ponad betonowymi zniczami przy wejściu do Complexu jaskrawą czerwienią plamiły dżunglę. Dźwięki hymnu osiągnęły crescendo. Ostatni brzęk talerzy, potem głos z podium. Głos przywódcy: - Sieg! Kompania Sturm i inne kompanie, mężczyźni, kobiety i dzieci odpowiedzieli zgodnym chórem, jakby stanowili jedno ciało: - Heil! - Sieg! - Znow pojedynczy głos. - Heil! - Sieg! - Heil! Radość, aplauz. Wódz wyciągnął w stronę tłumu obie ręce. Wśród morza głów rozległ się silny, kobiecy krzyk: - Sieg! "To może być Helena" - pomyślał z dumą Sturm. - Heil! - Krzyk odbił się echem wśród drzew otaczających plac, na którym wkrótce miała się odbyć defilada. Wódz pochylił się w kierunku jednego ze swoich adiutantów i coś do niego szepnął. - Sieg! - zawołały masy. - Heil! - padła chóralna odpowiedź. Wódz znow wyciągnął ręce. Miał wysoko podniesioną głowę. "Przypomina teraz Fuhrera Tysiącletniej Rzeszy - myślał Sturm - żywego ducha narodu odrzuconego przez słabych i niewiernych". - Rozpoczynamy dzisiaj nasz zwycięski marsz poprzez historię! - Sieg! - krzyknął tłum. - Heil! Skinienie głową, uśmiech i głos wodza znow popłynął przez głośniki: - Wszystko zaczęło się w najbardziej tragicznej chwili naszych dziejów, kiedy nasz wódz został zdradzony i zamordowany. Podstępny wróg nie pozwolił mu wypełnić historycznej misji. Nie zdążył odbudować Rzeszy z gruzów i jeszcze raz poprowadzić swoich ludzi do zwycięstwa. Było zupełnie cicho. Sturm spojrzął na brata Heleny, Zygfryda, stojącego na przeciwległym końcu placu. Jego pluton trzymał wartę honorową przed podium. Twarz Zygfryda promieniała dumą. - Ale z popiołów, niczym Feniks, rodzi się teraz Nowa Rzesza! - Sieg! - ozwał się kolejny okrzyk. - Heil! - zabrzmiała spontaniczna odpowiedź. Wódz gestem uciszył dumy. Wiatr się wzmagął. Załopotana czarno-czerwono-biała flaga. - Powstały podziemne organizacje opozycyjne. Zazdrośni przeciwnicy naszego ukochanego Fuhrera zaczęli po jego śmierci skakać sobie wzajemnie do gardeł jak wściekłe psy. Aż nastąpił tragiczny koniec wszelkich waśni, wojna jądrowa, która zniszczyła prawie całą ludzkość. Coś takiego nie wydarzyłoby się pod rządami wielkiego Fuhrera, który ład i porządek cenił wyżej niż osobiste korzyści i sławę. Na szczęście już na początku "zimnej wojny" zaczęliśmy przygotowywać plany odbudowy świata po ewentualnej katastrofie. Z tego właśnie miejsca, z Complexu - przywódca szerokim gestem wskazał główne wejście, widoczne między dwoma gigantycznymi zniczami z betonu i miedzi -

zasiejemy ziarno nowego życia. Od czterech wieków nasz naród nie oglądał prawdziwego słońca, przygotowując się do budowania nowego porządku. Dzieci, wnuki i prawnuki zaufanych towarzyszy naszego wspaniałego Fuhrera pogodziły się z niezwykle surowymi warunkami życia pod ziemią, pokonały wszystkie przeciwności. Nasz naród zbudował pod ziemią nową, doskonałą rzeczywistość, zupełnie niezależną od skażonego świata zewnętrznego. Nasza nauka i technika stoją na wysokim poziomie. Wrodzony geniusz naszej rasy zatriumfował nad licznymi trudnościami. A teraz czeka nas Wielki Powrót do Światła. Ten wiek przynosi naszej populacji możliwości nieograniczonego rozwoju. Sturm pomyślał o nowym życiu rozwijającym się w łonie jego żony i o czworgu dzieciach, które już mieli. Ich najstarszy syn, Manfred, miał dwanaście lat i był asystentem przewodniczącego Partii Młodych. Wyglądał naprawdę wspaniale w swym organizacyjnym mundurze. A z jaką dumą nosił szarfę funkcyjnego! - Nasza nauka - ciągnął wódz - też rodzi owoce. Oto plan naszej historycznej walki, nasz wielki plan! Wskazał na niebo. Helmut Sturm wstrzymał oddech. Ponad wierzchołkami drzew ukazała się Eskadra Kondora. Helikoptery z turboodrzutowymi silnikami nadleciały niemal bezgłośnie. Zawisły w bezruchu dokładnie nad podwyższeniem. Podmuch, wywołany pracą silników, zaczął szarpać transparentem rozpiętym za plecami wodza. Płomienie zniczów zaświeciły jaśniej. - Pójdziemy naprzód, żeby pokonać wszystko, co stanie nam na drodze, złamać wszelki opór przeciwko naszej władzy, każdego, kto ośmieli się powiedzieć jej "nie". Na wszystkich lądach zasiejemy ziarno narodowego socjalizmu. Niech cały świat pozna nareszcie dobrodziejstwa idei stworzonej przez naszego pierwszego przywódcę. - Sieg! - Heil! - Sieg!

- - Heil! - krzyknął Helmut Sturm wraz z innymi, tak że aż w gardle poczuł ból.

• ROZDZIAŁ XII

Natalia oparła obie ręce na biodrach, a właściwie na kaburach swych pistoletów. Patrzyła Johnowi prosto w oczy. - Z tymi materiałami wybuchowymi, które mamy, to się nie da zrobić. Przynajmniej nie tak, jak to sobie wyobrazasz! Odwróciła wzrok i spojrzała w kierunku obozowiska rozbitego przy drodze pełnej piachu, milę od miejsca, w którym się znajdowali. - Znam się na materiałach wybuchowych, a tym bardziej na naszej wersji C-4. Kiedy razem z Paulem zabieraliście to temu patrolowi po Nocy Wojny, wzięliście za mało. A poza tym w ciągu pięciuset lat materiały i tak prawdopodobnie uległy rozkładowi chemicznemu. Zobaczyła, że Rourke zdumiony unosi brwi. - Wzięliśmy wszystko, co mieli tamci. To był sprzęt inżynierski. Myśleliśmy, że zamierzają wysadzać w powietrze jakiś most. Dosłownie wpadliśmy na nich, nie mieliśmy wyboru. Było ich ośmiu. Zabraliśmy wszystkie materiały, które przy nich znaleźliśmy. Przechowałem je w Schronie. Od początku wiedziałem, do czego je wykorzystam. - W takim razie patrol inżynierski miał ich zbyt mało, żeby to mogło się udać, Wysadzałam już mosty. I ty także. Z tym, co mamy, biorąc pod uwagę konstrukcję naszych mostów, uda nam się co najwyżej zrobić zwykły bałagan. Ale nie ma mowy o zniszczeniu mostów. Stalowe przęsła, żelbetowe kładki o szerokości dwudziestu ośmiu stóp... Zdajesz sobie sprawę, jaka to masa stali i betonu? Oczywiście, moglibyśmy uszkodzić mosty tak, żeby nie nadawały się już do użytku. Ta ilość materiałów wybuchowych wystarczy, by zniszczyć środkową część wiaduktu i zwalić go na drogę. Ale rozumiem, że ty chciałbyś zamienić go w pył. W przeciwnym razie wielkie, kilkotonowe bloki żelbetu i stali uderzając w nawierzchnię drogi, kompletnie by ją rozwały. W dodatku, jeśli pozostaną jakieś wysokie fragmenty konstrukcji, narazimy lądujące promy na niebezpieczeństwo zahaczenia o nie. To, o co prosisz jest więc niemożliwe do zrealizowania. Nie z tym, co mamy. Powtarzam: dysponuję odpowiednimi kwalifikacjami, ale brak wyposażenia wiąże mi ręce. Będziemy musieli pomyśleć nad innym rozwiązaniem. Zaczęła oglądać konstrukcję mostu. Marzyła o papierosie, ale postanowiła, że po pięciu wiekach niepalenia nie sięgnie po tytoń, nawet gdyby miała go w zasięgu ręki. Prawdę mówiąc, Rosjanka pozostawiła w Schronie całe kartony papierosów, które Rourke zdobył specjalnie dla niej. - Chodźmy na spacer - powiedział John prawie szeptem, biorąc dziewczynę za rękę. Spojrzała na niego z uśmiechem pozwalając, by zamknął jej dłoń w swojej. Poprowadził Natalię w kierunku wiaduktu. Po obu jego stronach rozciągała się pustynia. - Piach możemy usunąć przy pomocy pługów. To zajmie trochę czasu, ale da się zrobić. - Zgoda, tylko po co, jeśli nie możemy zniszczyć wiaduktów? - Znajdziemy na to sposób. W ostateczności pojedę z Paulem i Michaeliem do Kolorado, do "Łona". - Nie, bo pomijając wszystko inne, nigdy nie zdołacie przebyć bezludnych terenów wzdłuż Missisipi. - Trochę już nad tym myślałem. Od Elaine Halwerson dowiedziałem się, że materiały dotyczące "Projektu Eden", które czytała, mówią o podziemnych składach sprzętu, wozów a nawet małych helikopterów, przeznaczonych dla załogi "Edenu" po powrocie. Problem polega na tym, że nie posiadamy maszyn, którymi moglibyśmy odkopać wejścia do tych magazynów. A użycie do tego celu naszych materiałów wybuchowych mogłoby odnieść skutek przeciwny do zamierzonego.

Być może zmagazynowano tam również przemysłowe środki wybuchowe, chociaż Elaine nie jest tego pewna. Nie była nimi szczególnie zainteresowana i mogła je po prostu przeoczyć przy przeglądaniu wykazów. Skonsultuję się w tej sprawie z kapitanem Doddem. Dzisiaj wieczorem mam z nim rozmawiać przez radio. Nie przeszkadzaj mi, ja tylko głośno myślę. Poczula, że mocniej ścisnął jej rękę. - Może potrafiłabym przystosować nasze materiały do odsłonięcia któregoś z tych podziemnych wejść. A to, czego się nie da wysadzić, spróbujemy usunąć przy pomocy ciężkiego sprzętu - powiedziała. - Jeśli więc Dodd potwierdzi istnienie zmagazynowanych tam większych ilości przemysłowego plastiku... - Wówczas będę mogła wysadzić oba wiadukty i nie będziesz już potrzebował żadnego samolotu. - A jeśli się okaże, że nie ma materiałów wybuchowych? - To obydwójce - powiedziała kategorycznie - obydwójce wyruszymy do "Łona", aby je zdobyć. - Nie chcę... - ...mieć mnie przy sobie? - Nie, to nie tak. Wiesz przecież. Ale to miejsce... - Zawahał się. - Już nie jestem niebezpieczną komunistką. Od dawna nie pracuję dla KGB. To nie ma dla mnie żadnego znaczenia, chcę tylko być przy tobie.

- Przynęła się do niego najbliżej, jak mogła. John objął ją i poczuła na wargach jego łakome usta. Zamknęła oczy.

• ROZDZIAŁ XIII

Władimir Karamazow siedział u szczytu stołu konferencyjnego, sekretarz partii Borys Korenikow zajmował miejsce po prawej ręce pułkownika, z lewej siedział Jurij Wajnowicz. - Siły ekspedycyjne - mówił Karamazow - zostaną podzielone na trzy części, tak jak to wcześniej zaplanowaliśmy. Prom transportowy wylądaje w pustynnym rejonie zachodniego Teksasu. Dobrze znam te tereny. Po wylądowaniu, nasze helikoptery pod dowództwem mojego zastępcy, majora Antonowicza polecą w kierunku "Łona". "Łono" zostanie przeszukane, musimy zabrać stamtąd wszystko, cokolwiek może się nam przydać. Cała reszta, dla nas bezużyteczna, a która może okazać się groźna, jeśli wpadnie w ręce wroga, zostanie zniszczona, ale tylko w przypadku, gdyby "Łono" z jakichś powodów nie mogło być przez nas wykorzystane. Sekcja naukowa wypróbuje wtedy naszą nową broń przeciwko statkom "Projektu Eden". Jeśli próba się powiedzie, broń zostanie użyta zgodnie z jej przeznaczeniem do zniszczenia ekspedycji podczas powrotu na Ziemię. Gdyby eksperyment się nie udał, major Antonowicz powiadomi mnie o tym i odłożę na później swoją misję w północno-wschodniej Georgii. Z pozostałą częścią naszych sił powietrznych dołączę do korpusu wysłanego do "Łona" i razem zniszczymy wahadłowce "Edenu" podczas ich lądowania. O ile Ameryka Północna wydaje się pozbawiona życia, zupełnie inaczej jest w Ameryce Południowej. Niestety, loty zwiadowcze wykazały istnienie na terenie Argentyny aktywności przemysłowej na wysokim poziomie technicznym. Szczegółów nie znamy, ale to odkrycie może się okazać dla nas istotne. Po spenetrowaniu Ameryki Północnej i zniszczeniu "Projektu Eden" to, co pozostanie z "Łona" albo z innych podobnych obiektów, zostanie przekształcone w naszą bazę operacyjną na półkuli zachodniej. Z niej wyruszą siły ekspedycyjne, które otrzymają zadanie neutralizacji wszelkiego zagrożenia w Argentynie. Trzecia część naszych sił spenetruje tymczasem Europę i obejmie w naszym imieniu władzę nad zdziczałymi plemionami. Jeśli ci barbarzyńcy zachowali choć szczątkową inteligencję, mogą się przydać do pracy. Jeśli nie, będzie ich można przy najbliższej okazji zlikwidować. Być może niektórych z nich będę potrzebował osobiście. Wszystko zależy od skuteczności moich działań w północno-wschodniej Georgii. Wysokopułapowe samoloty obserwacyjne, niewykrywalne dla radarów "Edenu", w zasadzie potwierdziły obecność sześciu statków na orbicie okołoziemskiej. Jeden z nich zsynchronizował swój obieg z obrotem Ziemi i zawisł nad Georgią. To dowodzi słuszności hipotezy, że moi dawni wrogowie wciąż żyją. Przetrwali, tak jak ja oraz kilku członków dawnego elitarnego korpusu KGB. Karamazow wstał. - Major Antonowicz i ja wyruszamy natychmiast. Major Krakowski obejmuje dowództwo trzeciej części sił ekspedycyjnych i zaczyna podbój dzikich plemion. Są pytania? - Towarzyszu pułkowniku - zaczął ostrożnie Wajnowicz. - Czy statki tworzące flotę "Projektu Eden", gdyby jakimś cudem udało im się wylądować bez uszkodzeń, nie mogłyby zostać przez nas wykorzystane? Zniszczylibyśmy wtedy tylko ich załogi. Karamazow popatrzył na niego z uśmiechem. - Na pierwszy rzut oka taki plan byłby niezły, towarzyszu. Jednak nie możemy w żaden sposób ryzykować, że którykolwiek ze stu trzydziestu ośmiu astronautów wymknie się nam z rąk. Zostali wybrani spośród milionów obywateli wszystkich państw stojących

przed Nocą Wojny po stronie USA. To najlepsi z najlepszych pod względem sprawności fizycznej, możliwości umysłowych i wrodzonych zdolności. Nawet jeśli tylko kilku z nich udało się przeżyć, stanowiliby dla nas poważne zagrożenie. Przygotowano na ich powrót podziemne składy. Nasz wywiad dowiedział się o tym jeszcze przed Nocą Wojny. Niestety, nie znamy ani lokalizacji tych magazynów, ani ich zawartości. A może znaleźliby w nich gazy paraliżujące lub broń biologiczną? Posłużyliby się nią bez wahania, aby nas zniszczyć. Potencjalne korzyści waszego planu, towarzyszu, nie są warte tak wielkiego ryzyka. Nie! Muszą zostać zniszczeni, zanim wylądują! To rozkaz! - Możecie nam zaufać, towarzyszu, i liczyć na naszą lojalność - zapewnił sekretarz partii.

- Karamazow tylko skinął głową. To już wiedział.

ROZDZIAŁ XIV

• - Czy mógłby pan powtórzyć, kapitanie? Odbiór! John zwolnił przycisk w mikrofonie. Po chwili antenowych trzasków usłyszał głos dowódcy "Projektu Eden": - Kryjówki, leżące w waszym sąsiedztwie, nie zawierają żadnych materiałów wybuchowych. Tego rodzaju wyposażenie znajdziecie najbliżej koło Boulder w Kolorado. Odbiór! Rourke opuścił mikrofon. W milczeniu obserwował twarze Sarah, Paula, Michaela, Annie, Madison, doktor Halwerson i porucznika Kurinamiego. Wymienił spojrzenia z Natalią. - A więc "Łono". Nie widzę innej możliwości. Zamknęła oczy, a jemu wydawało się, że przez moment nawet ognisko nie świeciło tak jasno, jak jej źrenice przed chwilą. Podniósł mikrofon. - Rourke do "Edenu jeden"! Mamy alternatywny plan zdobycia odpowiednich środków wybuchowych. Jego realizacja zajmie kilka dni. Kiedy będziecie zmuszeni opuścić orbitę? Odbiór! - Dodd do Ziemi. Za sto dwadzieścia trzy godziny, plus-minus sześćdziesiąt minut. Odbiór! Rourke skinął głową. - W porządku. Jutro w południe dostaniemy się do najbliższego schowka. Biorąc poprawkę na nieprzewidziane okoliczności, planuję przeszukać go w ciągu dwudziestu czterech godzin. Będziemy pracować na zmianę. Doprowadzenie do stanu używalności jednego ze znajdujących się tam samolotów zajmie następne osiem godzin. To razem daje czterdzieści cztery. Na podstawie pańskiego opisu ukrytych tam maszyn, zakładam, że lot do Kolorado będzie trwał cztery godziny. Co najmniej godzinę potrzeba na znalezienie ostatecznego celu naszej podróży. Czterdzieści dziewięć godzin. Plus doba na odnalezienie materiałów, godzina na drogę do samolotu i cztery na lot powrotny. Godzina na nieprzewidziane trudności i mamy za sobą siedemdziesiąt osiem godzin przygotowali do właściwej akcji. Gdy mnie i major Tiemierowny tu nie będzie, reszta naszej grupy powinna zdążyć oczyścić drogę z piachu. To daje ponad dwie doby na zniszczenie wiaduktów, usunięcie gruzu i wasze lądowanie. Pańska opinia? Odbiór! - Lepszych lądowisk nie znaleźliśmy. Powtarzam: nie znaleźliśmy. W przypadku, gdyby wasza akcja się nie powiodła, będziemy zmuszeni lądować w Utah. Jakość tego lądowiska jest bardzo wątpliwa, ale na tle innych to wydaje się najlepsze. W Hiszpanii nie możemy lądować. Wasz rejon najbardziej odpowiada naszym wymaganiom. Odbiór! Rourke spojrział na trzymany w obu rękach mikrofon, potem po raz ostatni wcisnął guzik. - Nie zawiedziemy was. Odbiór!

• Podał mikrofon Elaine Halwerson. W oczach Natalii John zobaczył rezygnację. Nie mógł znieść spojrzenia dziewczyny.

ROZDZIAŁ XV

Dotarcie do wnętrza najbliższego schowka zaopatrzeniowego zajęło więcej czasu, niż Rourke sobie tego życzył, ale mniej, niż planował. Jeśli chodzi o materiały wybuchowe, Dodd mówił prawdę - nie było ich. Miało także nie być spychacza. Na szczęście był, może nie najlepszy, ale sprawny. Natalia zużyła do wysadzania skał kryjących wejście do składu połowę materiałów wybuchowych. Paul usunął gruz przy pomocy ciężarówki, do której przymocował pług śnieżny. John, Paul i Michael stali teraz w środku podziemnego magazynu. Latarka Johna była jedynym źródłem światła. W strumieniu światła obejrzeni spychacz, potem benzynowe generatory. - Kiedy Natalia i ja odlecimy, ty i Michael musicie uruchomić jeden z tych generatorów. Mając do dyspozycji ciężarówkę i spychacz, wy dwaj, kobiety oraz Kurinami będziecie mogli pracować na zmianę. Światło elektryczne wam się przyda. Rourke oświetlił jedną z półciężarówek stojących w dalekim końcu hali. Następnie z ciemności wyłonił się samolot stojący w najodleglejszym kącie pomieszczenia. - Przypuszczam, że jego silniki zostały skonstruowane w ten sposób, że nie potrzebują specjalnej mieszanki. W takim wypadku lot zajmie nam, mnie i Natalii, więcej czasu niż planowaliśmy. Musimy zabrać ze sobą tyle paliwa, ile może przenieść samolot. To będzie gwarancja naszego bezpiecznego powrotu z materiałami. Zostawimy tu tylko tyle paliwa, żeby starczyło go na odprowadzenie spychacza i naszej półciężarówkę do lądowiska. - To bez sensu, tato, żebyśmy zostali tu obydwaj, Paul i ja. Kurinami i kobiety poradzą sobie pod opieką jednego z nas. Powinieneś kogoś zabrać ze sobą. Ciągłe mówimy o zbyt dużych siłach tutaj i zbyt małych na waszą wyprawę. A ani Paul, ani ja nie ważymy tyle, żeby to miało jakiś decydujący wpływ na zużycie paliwa podczas lotu i na ilość ładunku w drodze powrotnej. Możecie przecież wylądować w bardzo niegościnniej okolicy, wśród ludzi podobnych do tych, których Madison i jej rodacy tak się obawiali. W takiej sytuacji trzecia osoba mogłaby zasadniczo zmienić bieg wypadków. Dobrze by było, gdyby ktoś pilnował samolotu, w czasie gdy ty i Natalia będziecie przeszukiwać "Łono", ale o tym już nie mówię. Rourke patrzył uważnie na syna, gdy odezwał się Paul: - Zupełnie, jakbym słyszał ciebie. Zazwyczaj ty masz rację, ale tym razem dobrze nam radzi Michael. Tutaj jest potrzebny tylko jeden z nas. Drugi powinien lecieć z wami. I to ja jestem tym drugim. Rourke patrzył to na Paula, to na Michaela. W końcu położył rękę na ramieniu syna. - Madison prosiła mnie, żebym przeprowadził jej test ciążowy zaraz po sprowadzeniu "Edenu" na Ziemię. Zgodziłem się. Nie miała miesiączki, ale to może być wynik zmian emocjonalnych i wielu innych okoliczności. Myślę, że masz rację, trzecia osoba może zadecydować o naszym powodzeniu lub fiasku i tym trzecim będzie Paul. Madison szaleje z niepewności, jesteś jej tu potrzebny. A poza tym, zabranie cię stąd nie ucieszy twojej matki. Zajmiesz się tu wszystkim. Sarah, Kulinarni i Annie

mogą zmieniać się przy pracy. Doktor Halwerson będzie dobrą asystentką i skoordynuje wasze działania. Ponieważ Madison nie potrafi prowadzić samochodu, nie będzie z niej dużego pożytku na drodze, ale za to może się zająć przygotowaniem posiłków i ładowaniem generatora. Później będziesz musiał ją nauczyć prowadzenia. Jest zdolna. Po kilku godzinach nauki na pewno będzie umiała prowadzić ciężarówkę. Na razie jednak nie ryzykujcie jazdy motocyklem, dopóki nie będzie pewne, czy Madison jest w ciąży. Zajmij się półciężarówką. - Rourke podał latarkę Paulowi. - Przyniosę tu więcej światła i potem możemy zacząć pracę przy samolocie. Mieli więc lecieć we troje - on, Natalia i Paul. Wydawało się, że zawsze tak było. Otaczały go ciemności, ale John wiedział dokąd idzie, kiedy opuścił kryjówkę.

ROZDZIAŁ XVI

Antonowicz kolejny raz czytał wiadomość otrzymaną od podwładnego. Nagle przypomniał sobie, że powinien go odprawić. Podniósł głowę i gestem dał czekającemu do zrozumienia, że pozwala mu odejść. Znów popatrzył na radiogram. Nie potrafił opanować drżenia rąk. Te nazwiska znaczyły dla niego tak wiele. Antonowicz uświadomił sobie, że wstrzymał oddech; o wiele mocniej czuł teraz lekkie wibracje. Towarzysz pułkownik Karamazow był w łazience. Jak on, Antonowicz, ma o tym powiedzieć dowódcy? Te nazwiska: mężczyzny, który przeszkodził pułkownikowi i jemu, Antonowiczowi, w spełnieniu marzeń i kobiety, będącej kiedyś jego, Antonowicza, zwierchniczką - John Thomas Rourke, Natalia Anastazja Tiemierowna. Antonowicz usłyszał, że drzwi do łazienki się otwierają. Podniósł wzrok. - Towarzyszu pułkownika, meldunek od jednego z naszych samolotów obserwacyjnych. Pod słuchano rozmowę radiową pomiędzy bazą na Ziemi a wahadłowcem należącym do floty "Projektu Eden", który krąży po orbicie geosynchronicznej. Nazwiska, towarzyszu pułkownika... Obserwował, jak Władimir Karamazow siada naprzeciwko niego. Warkot silników był jedynym dźwiękiem, który można było w tym momencie usłyszeć w powietrznym apartamencie dowódcy. Ale po chwili rozległ się jeszcze inny dźwięk: skóry pocieranej metalem. To Karamazow powoli wyciągał z kabury pod lewym ramieniem swój stary pistolet. - Wiesz, Mikołaj, to ten sam pistolet, z którego strzelałem pięć wieków temu i byłem wtedy zbyt powolny. I John Rourke byłby mnie wtedy zabił. Kiedy leżałem ranny, czekając na nadejście pomocy, było dla mnie oczywiste, że ten Rourke uważa mnie za zmarłego. Czulem na twarzy jego dłoń zamykającą mi oczy. Potem lekarze określili mój ówczesny stan jako rodzaj letargu. To musiał być rezultat szoku. Tak przypuszczam. Kiedy opuścił moje powieki, przed oczami stanęły mi niesamowite obrazy. Czytałeś kiedykolwiek o badaniach, które prowadzono jeszcze przed Nocą Wojny, dotyczących doświadczeń i odczuć ludzi bliskich śmierci? Mikołaj Antonowicz już miał zacząć mówić, że tak, że znane mu są przypadki związanych z tym fenomenów, ale Karamazow, nie czekając na jego odpowiedź, zaczął mówić dalej i adiutant nie zdążył wykrztusić ani słowa. - Doświadczenia te zawsze wydają się w jakiś sposób nadnaturalne. Zwyczajni ludzie, którzy przeżyli śmierć kliniczną twierdzili na ogół, że byli bliscy wstąpienia do judeochrześcijańskich niebios. A moje wrażenia były zupełnie przeciwne. Ja też widziałem ciemny tunel, ale u jego końca nie niebiańskie błękitne światło, jak inni, a jeszcze czarniejszą ciemność, która zdawała się nie mieć końca. I nie miałem żadnych przyjemnych wizji z moją matką, ojcem czy nieżyjącymi już przyjaciółmi. Słyszałem za to jakby warczenie wściekłych psów, krzyki bólu i cierpienia. - Karamazow roześmiał się. - Pewnego razu, kiedy udawałem Amerykanina, byłem zmuszony uczestniczyć w jakimś nabożeństwie, to było naprawdę konieczne. Nawet się do nich

przyłączyłem. Jeden z czytanych wersetów brzmiał mniej więcej tak: "Kto stoi po stronie Pana?" Potem, w czasie moich przedśmiertelnych omamów odkryłem, że ja po prostu służę zupełnie innemu panu, jeśli taki rzeczywiście istnieje.

- Mikołaj Antonowicz nic nie odpowiedział. Nie wiedział, co powiedzieć.

ROZDZIAŁ XVII

John popatrzył na szybkościomierz. Ich "Beechcraft Baron 58" leciał z prędkością około stu pięciu mil na godzinę. Doktor sprawdził, czy klapki regulujące chłodzenie są zamknięte. Zmienił położenie skrzydeł, cień samolotu na ziemi powiększył się. Rourke wyglądał właśnie przez boczne okno pilota, gdy usłyszał głos Natalii: - Czego szukamy, John? - Samolotu, który wypatrzył Michael, zgadłem? To już był głos Paula Rubensteina. Rourke zerknął na kontrolki i wracając do obserwacji terenu, ponad którym lecieli, odpowiedział obojgu: - Samolotu wypatrzonego przez Michaela. Współrzędne zaznaczone na mapie Michaela podałem "Edenowi jeden". Przypatrzyli się temu miejscu. Jakies pięć mil na północ od punktu, w którym Michael odkrył spadochron, "Eden jeden" zlokalizował wrak maszyny. Możemy go mijać lada moment. - Odetchnął głęboko. Sterownica była posłuszna jego dłoniom, kiedy hamując, obniżył pułap lotu. - Poza tym, skorzystałem z magnetofonu w półciężarówce i odtworzyłem kasetę z nagraniem tego przekazu radiowego, który przechwycił Michael. Nadałem je przez radio do "Edenu jeden". Mieli to zarejestrować i przepuścić przez swoje komputery pokładowe. Było dokładnie tak, jak myślałem - ciągnął Rourke, przechylając maszynę na lewe skrzydło, prowadząc ją wzdłuż rysującego się tuż pod nimi pasa drzew. - To był kod, nie złamali go jeszcze i wątpię, czy kiedykolwiek im się to uda. Ale język, będący podstawą tego kodu, łatwo rozpoznać. - Jaki to język? - szepnęła Natalia. Rourke oderwał wzrok od skalnego podłoża i spojrzał Natalii prosto w oczy. Trzymała jego lornetkę, a ręce lekko jej drżały. - Rosyjski - powiedział i odwrócił się. Pomimo warkotu silników usłyszał, jak za jego plecami Paul Rubenstein mruknął pod nosem: - O, cholera! John nie przestawał obserwować terenu. Znów przechylił maszynę o jakieś dwadzieścia stopni w lewo. Nagle coś przed nimi błysnęło. W pasie drzew widoczny był w tym miejscu mały prześwit. Rourke zmniejszył obroty silników - zaczęły się krztusić i dławić, jakby za chwilę miały całkiem zamilknąć. Lecieli tak nisko, jak tylko było to możliwe. Teraz John widział wyraźnie. Promienie słońca odbijały się od kawałka szkła, prawdopodobnie części szyby. Wrak samolotu prawdopodobnie był udoskonaloną wersją radzieckiego MIG-a 25. Na podstawie dostrzeżonych modyfikacji John mógł przypuszczać, że wykorzystywano go do lotów obserwacyjnych na dużych wysokościach. W chwilę po tym, jak cień ich beechcrafta przesunął się po powyginanych szczątkach, wrak zniknął im z oczu. - Był bardzo podobny do typu „Foxbat B” - powiedziała Natalia, siedząc sztywno w fotelu drugiego pilota. - Wygląda jednak na to, że jego konstrukcja została bardzo zmieniona. Prawdopodobnie przystosowano go do lotów obserwacyjnych na dużym pułapie. Rourke chciał coś powiedzieć, tymczasem odezwał się siedzący z tyłu Paul: - Radziecki samolot szpiegowski, ale skąd? "Łono"? John nie odpowiedział na to pytanie. Przynajmniej na razie nie znał na nie odpowiedzi. Tylko

sprawdzenie samego "Łona" mogło pomóc w jej znalezieniu. Będzie ją znał za pięć godzin. Całkowicie otworzył przepustnice paliwa. Strzałka pokazywała dwa i pół tysiąca obrotów na minutę. Samolot zaczął zwiększać pułap lotu.

- "Za pięć godzin wyjaśni się wiele spraw" - pomyślał Rourke.

• ROZDZIAŁ XVIII

Pas od automatycznego CAR-a 15 John przewiesił na ukos przez pierś, od lewego ramienia do prawego biodra. Na górę wchodzili inną drogą niż pięćset lat temu. Z wysokości skały powyżej ich celu Rourke mógł nareszcie zobaczyć i ocenić rozmiar zniszczeń spowodowanych przez Rosjan, kiedy zlikwidowali system miotaczy cząstek elementarnych i dosłownie zdmuchnęli wierzchołek góry stanowiącej "Łono", kryjówkę radzieckiego korpusu elitarnego KGB, a jeszcze wcześniej, przed Nocą Wojny, Kwaterę Główną NORAD na Górze Czejenów w Kolorado. Szczyt tej góry był teraz wielkim kraterem wypełnionym wodą - pozostałością po kilkunastu wiekowych opadach. Przypominał wulkaniczne jezioro. Rourke stał w miejscu, w którym kiedyś znajdowała się droga prowadząca do głównego wejścia. To było przed pięcioma wiekami, kiedy razem z Natalią, nie najlepiej przebraną za radzieckiego żołnierza, próbowali dostać się do wnętrza "Łona": Rourke, Natalia, ostatnia grupa amerykańskich ochotników z Ruchu Oporu i grupa żołnierzy radzieckich Sił Specjalnych, przysłanych przez wuja Natalii, generała Izmaela Warakowa. Rourke patrzył na pozbawioną wierzchołka górę. - Co to za miejsce... - wymamrotał Paul, stojący z jego lewej strony. John spojrział na przyjaciela. - Powinieneś to przedtem zobaczyć! Na to odezwała się Natalia. "Jakby recytowała litanię" - pomyślał Rourke. - Tam rozciągało się kolczaste ogrodzenie. I tam, i jeszcze dalej, a cała forteca była otoczona ze wszystkich stron polem minowym. A do tego strażnicy z psami. W środku rozegrała się walka, o jakiej nie śniło mi się w najgorszych koszmarach. Wszyscy jej uczestnicy zginęli. Roźdiestwieński poszedł naszym śladem, ale John - ja już wtedy spałam, Paul, tak samo jak i ty - John go pokonał. Powiedział o tym Annie, kiedy była jeszcze mała, a Annie mi to powtórzyła. John stanął na szczycie góry i zestrzelił ostatni helikopter KGB. Rourke przerwał jej w pół zdania. - Najwyraźniej nie wykonałem dostatecznie dobrze tej roboty. Pamiętasz wrak samolotu? Był radziecki. - Władimir do końca nic mi nie powiedział. Zdałam sobie sprawę z tego, że nigdy tak naprawdę mi nie ufał. John spojrział na dziewczynę. W jej oczach zobaczył głęboki smutek. Natalia ciągnęła: - Kiedy pomyślę o tym, że być może ktoś jeszcze prócz nas przetrwał, chce mi się śpiewać z radości. Ale jeśli to miałyby być ktoś z KGB, to ja... Rourke objął Rosjankę i mocno przytulił ją do siebie. - Mamy tu coś bardzo ważnego do załatwienia, później będziemy się martwić tym, co nas czeka w magazynie. Ruszajmy! Główne wejście wydawało się zamknięte na głucho i zapieczętowane, ale może boczne, prowadzące od strony lotniska, a raczej tego, co po nim pozostało, było bardziej dostępne. Gdyby nie to, misja we wnętrzu "Łona" mogłaby się okazać niemożliwa, bo nie dostaliby się do środka.

- Doktor wszedł pierwszy.

ROZDZIAŁ XIX

Jeden ze snów - ten, gdy po raz drugi uciał sobie drzemkę - wyglądał właśnie tak: Johnowi śniły się ogromne eskadry helikopterów szturmowych. Ale śmigłowce nie były jak te ze snu, maszynami z dwudziestego wieku. Dużo nowocześniejsze, niemal bezgłośnie nadlatywały nad lotnisko z południowego wschodu. Rourke popchnął Natalię w cień prowizorycznego schronienia, jakie dawało im duże zwalisko skał, fragmentów rozbitego wierzchołka góry. - Mój Boże... Doktor spojrzał na Natalię. - Zaczyna ci to wchodzić w nawyk. - John - to muszą być... - Sowieci. - Były jakieś plany obrony cywilnej, bardzo dobre i szczegółowo opracowane, ale ja nic o nich nie wiedziałam. Władymir nigdy mi nie powiedział. - Może on sam ich nie znał - mruknął John, chowając się głębiej. - Ale ktokolwiek by tu nie dotarł, musiałby... Amerykanin manipulował przy zamku swojego CAR-a 15, sprawdził komorę i ustawił bezpiecznik. - Mógłby tu przybyć w związku z tymi lotami obserwacyjnymi albo z tysiąca innych powodów. Mógł mieć dostęp do materiałów KGB... Cofnij się. Rourke ostrzegł ją gestem, żeby się nie wychylała. Rubenstein został gdzieś daleko za nimi i John nie mógł zobaczyć, co się z nimi dzieje. Miał jednak nadzieję, że jego młody przyjaciel też się dobrze schował. Więcej niż dwa tuziny helikopterów zawisło tuż nad miejscem dawnego lądowiska "Łona". Jeden ze śmigłowców w centrum formacji zaczął gwałtownie się obniżać. Rourke odbezpieczył CAR-a. Na plecach czuł dotyk dłoni Natalii, wydawało mu się, że jej ręce lekko drżą. "Duchy - pomyślał. - Groźne duchy sprzed pięciuset lat!" Czerwone radzieckie gwiazdy na czarnych pancerzach helikopterów wyglądały jak ogromne plamy krwi. Gdy tylko pierwszy śmigłowiec dotknął podłoża, pozostałe złamały szyk. Zanim jednak płozy pierwszego zetknęły się z ziemią, zaczęły wyskakiwać z niego uzbrojeni mężczyźni w czarnych, sfatygowanych kombinezonach i czarnych czapkach podobnych do tych, które nosili grający w baseball. Utworzyli wokół maszyny niemal idealny krąg. Ich karabiny - Rourke uważnie im się przyjrzał - na pewno skonstruowane na bazie kałasznikowa, były jakby mniejsze i lżejsze od pierwowzoru. - Wyglądają na korpus elitarny KGB - szepnęła z tyłu Natalia. - Ale to przecież niemożliwe, oni wszyscy są... - Tak - przytaknął Rourke niepewnie, nie wiedząc, co ma na to odpowiedzieć. Z helikoptera wysiadł mężczyzna, który wyraźnie odróżniał się od pozostałych - wyprostowany, atletycznie zbudowany, ze złotym wężykiem zdobijącym daszek czapki i jakimiś dystynkcjami na kołnierzyku. Amerykanin nie potrafił z daleka odczytać jego rangi. Rourke poczuł, że ręce Natalii zaciskają się na jego ramionach, a szyję owiało mu z boku ciepło jej oddechu, kiedy odezwała się do niego przerażonym szeptem: - To Mikołaj Antonowicz. Był na Kremlu najbliższym współpracownikiem Władymira. Ależ, Rourke, on powinien... Oparła czoło o kark Johna. Rourke dokończył za nią:

- - Nie żyć!

ROZDZIAŁ XX

Wydawało im się, że minęły wieki, odkąd opuścili swoją kryjówkę i cofnęli się do miejsca, w którym schronił się Rubenstein. Jego schmeisser był gotowy do strzału. Ale Rourke chciał uniknąć niepotrzebnej strzelaniny. Teraz wszyscy troje podeszli bliżej, podczas gdy dwa kolejne helikoptery usiadły na ziemi. Coraz więcej czarno ubranych ludzi wypełniało podziurawioną, betonową płytę. Mijając Natalię, Rourke wyczuł drżenie jej ciała. Paul był najwyraźniej wściekły i - co było dla Johna jak najbardziej zrozumiałe - trochę przestraszony. Siły radzieckie były teraz prawdopodobnie najpotężniejszymi siłami zbrojnymi na Ziemi, może nawet była to jedyna regularna armia. Rourke, Natalia i Rubenstein dotarli do skał stanowiących najbliższe otoczenie lotniska okrężną drogą, żeby nie zostać zauważonymi ani z ziemi, ani z powietrza. Stanęli w kamiennej niszy. John sprawdził swoje uzbrojenie. Natalia powoli zaczęła mówić, jej głos się łamał. - To, że oni tutaj są... jest niemożliwe... to jest... - A jednak są i tyle - trochę szorstko przerwał dziewczynie Paul. Rourke wsunął na miejsce drugi z nierdzewnych detoników, odbezpieczywszy go przedtem. Spojrzał na Paula, potem na Rosjankę. - Są tutaj i nie czas teraz na jałowe domysły, jak udało im się przetrwać i tutaj dotrzeć. My przybyliśmy po materiały wybuchowe. Bez względu na obecność Sowieców w tym rejonie, promy "Projekt Eden" będą zmuszone w końcu wyjść ze swych orbit. Bez naszej pomocy nie uda im się pomyślnie wylądować. Jeśli będą musiały wybrać lądowiska w Utah, będą przelatywać dokładnie nad "Łonem" i Rosjanie zestrzelą je podczas lądowania ze swoich helikopterów bojowych. Być może nasi "towarzysze" znaleźli sposób na reaktywizację miotaczy strumieni cząstek elementarnych, chociaż w to akurat wątpię. Nie zauważyłem dotąd żadnego transportera sprzętu ciężkiego, a bez części zamiennych, wielkich generatorów i bez źródła mocy nie byłoby to możliwe. Możliwe za to, że mają tego rodzaju broń w innych punktach planety. To najwyraźniej nie jest ich baza główna. Sposób, w jaki wylądowali, nie wskazuje na to, że szykują się do walki. "Łono" jest martwe. - Jakim cudem mamy wydostać ze środka potrzebne nam materiały tak, żeby oni się o tym nie dowiedzieli? John spojrzał na Rubensteina, pozwalając sobie na lekki uśmiech. - Już nie musimy tego robić. Czy nie sądzisz, że Natalia jest znakomitym pilotem? - Oczywiście, ale nie lepszym od ciebie. - Nie oczekiwałem komplementu, ale miałem nadzieję, że i o tym wspomnisz. Te śmigłowce powinny być szybsze od naszego samolotu, w dodatku wyposażone są w doskonały sprzęt umożliwiający tak obronę, jak i atak, a tego sprzętu nam brakuje. Co powiecie na to, żebyśmy ukradli im dwa egzemplarze i na razie wykorzystali ich broń pokładową do zniszczenia wiaduktów, a potem do ostrzału osłonowego w przypadku ataku odwetowego? - Masz na myśli - mówiła wolno Natalia - porwanie dwóch śmigłowców, kiedy wszystkie już wylądują, potem szybkie zapoznanie się z działaniem ich

systemów pokładowych i... - Planuję nawet więcej. Musimy poradzić sobie przynajmniej z kilkoma takimi maszynami. Trzeba sprawić, żeby się stały bezużyteczne - wyjaśnił Rourke. - To nie powinno być zbyt trudne. Zwykle coś, co wydaje się bardzo skomplikowane, przychodzi z łatwością, gdy znajdzie konieczność podjęcia ryzyka. Kiedy wzniesiemy się w powietrze, nie może ruszyć w pościg więcej niż pięć, sześć maszyn, a z tyłoma już damy sobie radę po starcie. Na nasze śmigłowce załadujemy broń oraz sprzęt wymontowany z innych helikopterów. W ten sposób będziemy mieli więcej amunicji. Ponadto mamy w garści jeszcze jeden atut: będziemy działać z zaskoczenia. - Jak, u diabła, to sobie wyobrażasz, John? Rourke znów spojrzał na Paula.

- - Na lądowisku jest już wystarczająco dużo radzieckich śmigłowców transportowych. Natalia i ja biegle znamy rosyjski. Wśród tych czarnych żołnierzy zauważyłem również kobiety. Pożyczymy sobie ich mundury, a ty będziesz nas z tyłu osłaniał na wypadek, gdyby miało wydarzyć się coś nieprzewidzianego. Kiedyś już coś takiego tutaj miało miejsce. Unieruchomimy tyle śmigłowców, ile się tylko da, zgromadzimy broń, która przyda nam się na pokładach naszych maszyn. A potem po prostu polecimy. - O, cholera! - jęknął Paul.

ROZDZIAŁ XXI

Czuła, że coś niedobrego dzieje się z jej żołądkiem. Podobne zaburzenia miała tylko od czasu do czasu, kiedy zbliżał się jej okres. Tym razem jednak jej cykl nie miał z tym nic wspólnego. Miesiączkowała tuż po przebudzeniu ze snu narkotycznego, nawiasem mówiąc, krwawiła jak nigdy dotąd, ale po kilku dniach czuła się już zupełnie normalnie. Wiedziała, że nie stąd bierze się jej obecna słabość. Jeśli przeżył Antonowicz, inni też mogli przetrwać. Kto? Ilu? W jaki sposób? Gdzie? Gdzie była ich kryjówka i jakim cudem ocaleli? Obserwowała Johna. Patrzyła za nim, gdy szedł skrajem lotniska. Jego ofiarą musiał być wysoki mężczyzna, żeby zdobyczny mundur dobrze leżał na Amerykaninie. Ona już wybrała swoją ofiarę - wysoką blondynkę stojącą nie więcej niż trzydzieści jardów stąd. Wydawało się, że oddziały desantowe KGB zamierzają pomóc im w wykonaniu ich planów, bo czarni komandosi zaczęli schodzić z płyty lotniska. Większość z nich wspinała się na zbocze góry. Najwyraźniej szukali wejścia do jej wnętrza. Część, wśród nich również Antonowicz, stała w pobliżu bocznej bramy prowadzącej od strony lądowiska do podziemnej części fortecy. Od czasu do czasu rozlegał się pomruk generatora, który przetransportowano tu na linie pod jednym ze śmigłowców. Natalii było zimno, ale nie dlatego drżała. Major Tiemierowna zdała sobie sprawę, że nie potrafi zapanować nad tym drżeniem. Uważnie śledziła każdy ruch Johna, niemal przesywała wzrokiem jego sylwetkę. Rourke szybko podbiegł do komandosa. Radziecki żołnierz już odwracał się w jego stronę. Serce podskoczyło Natalii do gardła. Uśmiechnęła się do myśli - to przecież niedorzeczne. Lewa ręka Rourke'a dotknęła prawego ramienia Rosjanina w momencie, gdy ten zwrócił się ku niemu. John pięścią uderzył żołnierza w szczękę, gdy tamten składał się do strzału. Prawe kolano Amerykanina podskoczyło w górę niemal w tej samej sekundzie, w której nastąpił cios w szczękę. Rosjanin pochylił się na bok. John kantem prawej dłoni uderzył w odsłoniętą po poprzednim ciosie szyję przeciwnika w miejscu, gdzie pod skórą znajduje się tętnica. Żołnierz zachwiał się, jeszcze jedno kopnięcie i ciało bezwładnie osunęło się na ziemię. Nagle, bez szczególnego powodu, a tylko dlatego, że nakazał jej to wewnętrzny głos, który nigdy jej w takich przypadkach nie zawiódł, Natalia spojrzała w kierunku wybranej przez siebie ofiary. Kobieta szła prosto na Johna i leżącego u jego stóp żołnierza. W pewnej chwili stanęła i uniosła karabin. Natalia sięgnęła do kieszonki na piersi. Dotknęła palcami noża bali-song. Kciukiem zwolniła blokadę, jej ramię zatoczyło regularny łuk. Bali-song był wciąż zamknięty. Kiedyś, przed Nocą Wojny, słyszała, że w całych Stanach Zjednoczonych żyło wtedy może pięciu ludzi, którzy potrafili rzucać filipińskim nożykiem motylkowym z ostrzami złożonymi w taki sposób, że otwierały się one w powietrzu, tuż przed dotarciem do celu. Ona nie należała do tej piątki, to znaczy, nikt nie brał jej pod uwagę. Nóż posłusznie wysliznął się z dłoni, załśnił w

zimnym słońcu. Rozległ się przyjemny dla ucha metaliczny szcęk stali. Ostrza tworzyły słabo widoczną linię, kiedy w końcu złożyły się w jedną całość. Natalia ledwo to dostrzegła, nie spuszczać oka z kobiety powoli składającej się do strzału. Ciało Rosjanki zeszywniało z głową odrzuconą do tyłu. Tylko mały kawałek metalu wystawał z jej szyi, tuż poniżej lewego ucha. Karabin z cichym łoskotem upadł na podziurawiony beton. Kobieta zachwiała się i po chwili zaczęła się osuwać na twarde podłoże. Natalia poderwała się ze swego miejsca, dopadła bezwładnego ciała. Była przy nim w tej samej sekundzie, w której upadło. Musiała uważać, żeby nie poplamić zdobytego munduru. Tylko raz krótko spojrzała na Johna. Stał i patrzył, jak mocowała się z martwym ciałem. Ostrze wciąż tkwiło w szyi Rosjanki. Natalia podciągnęła jej ciało do góry, lewą ręką mocno chwyciła za prawy nadgarstek kobiety i szybkim ruchem wciągnęła ją sobie na ramię. Oceniała ciężar tamtej na jakieś sto dwadzieścia funtów, ale mimo to i mimo ciągłego bólu żołądka, Natalia biegła tak szybko, jak gdyby nie zauważała ciężaru utrudniającego jej ruchy.

ROZDZIAŁ XXII

Ktoś, kogo rozpoznała Natalia, także mógł ją rozpoznać. Major Antonowicz - o nim przede wszystkim myślał teraz John. Spojrzał na Natalię. Jej długie włosy były ukryte pod czarną czapką, ale uniform ani trochę nie maskował jej figury: doskonałej linii jej długich nóg, smukłości talii, subtelnej krągłości bioder. Pewnym, zdecydowanym krokiem szła przez płytę lotniska. Rourke odwrócił od niej wzrok i spojrzał w stronę najbliższego czarnego helikoptera. To był jej cel. Na prawym boku John nosił teraz zawieszony na pasku radziecki karabin z samoczynnym ładowaniem i bezłuskową amunicją. Już przed Nocą Wojny eksperymentowano z nabojami pozbawionymi łusek. Najbardziej znani byli w tej dziedzinie Heckler i Koch, ale inni też próbowali. "To mi wygląda na rezultat tych badań" - stwierdził w duchu Rourke. Magazyńki składały się z czterdziestu ładunków, to znaczy, tyle naliczył. Wykonano je z tworzywa sztucznego i nie wydawało się, że można je powtórnie załadować. Najprawdopodobniej były jednorazowe i trzeba je było wymieniać w całości. Rourke miał nadzieję, że broń jest sprawna. Pod czarną, trochę zniszczoną bluzą, ukrył wsunięte za pas dwa detoniki. Schował je na wypadek, gdyby ten radziecki cud techniki nie działał. John nie zatrzymywał się. Daszek czapki opuścił nisko tuż nad ciemnymi lotniczymi okularami. Od najbliższego helikoptera, przy którym stał wartownik, dzieliło Amerykanina już tylko pięćdziesiąt jardów. Wartownik palił papierosa. Rourke wnioskował z tego, że ten mężczyzna nie ma za sobą snu narkotycznego. Możliwe, że był potomkiem jakiegoś ocalańca, zrodzonym w schronie przeciwatomowym. Nawet Natalia po przebudzeniu już nie paliła. Wartownik odwrócił się, żeby spojrzeć na podchodzącego człowieka. Nie był uzbrojony w karabin. Miał za to przy pasie zamkniętą kaburę. Rourke zresztą też miał taką na prawym biodrze. Wiedział, że w środku znajduje się unowocześniona wersja przedwojennego stekina - wykonany z nierdzewnej stali model rewolweru kalibru dziewięć milimetrów, z lufą parabellum lub lugera. Pistolet wyposażony był w podwójny selektor. Rourke przypuszczał, że można z niego wystrzelić trzema kolejnymi seriami. Magazynek mieszczący osiemnaście kul był przy tym zbyt szybki w działaniu, żeby przeciętny strzelec był w stanie skrócić serię do dwóch, trzech pocisków za jednym naciśnięciem spustu. Prawdopodobnie cały ładunek zostałby wykorzystany od razu. Prawa ręka pilota zaczęła wolno unosić się do klapy kabury. Rourke udawał, że tego nie widzi. Pod prawym mankietem ukrył nóż. Czuł, jak zimny metal kłuje go w wewnętrzną stronę nadgarstka. Wystarczyło tylko, żeby odgiął dłoń na zewnątrz, a nóż wysunąłby się spod rękawa i można go było chwycić palcami. Z konieczności John zaplanował cichą robotę. Dzielący ich dystans zmniejszył się do dwudziestu jardów. Ręka pilota zawisła w powietrzu - nie zbliżała się do kabury, ale i nie oddalała się od niej. Rourke uśmiechnął się do Rosjanina. Był tu podwładnym. Pilot był kapitanem, a oznaki Rourke'a czyniły z niego kaprala. - O co chodzi, kapralu? John powiedział po rosyjsku: - Coś bardzo ważnego, towarzyszu kapitanie, sprawa życia lub śmierci. Odległość wynosiła teraz dziesięć jardów. - Co powiedzieliście, kapralu? - Mężczyzna zaczął otwierać skórzaną kaburę. - Nie znam was. - Nie będziesz miał dużo czasu, żeby mnie poznać - odparł Rourke po rosyjsku. Ledwo widocznym ruchem odchylił dłoń. Czarne ostrze ześliznęło się między jego wyćwiczone palce. Błyskawicznie szarpnął ramieniem do przodu i w górę. Matowy, nierdzewny, dwustronnie naostrzony

nóż wystrzelił z jego dłoni. Ręce pilota zacisnęły się spazmatycznie na ostrzu, kiedy broń sięgnęła celu. Rourke podbiegł do mężczyzny i pomógł mu łagodnie osunąć się na beton. Amerykanin spojrzął za siebie, ale najwyraźniej nikt nic nie zauważył. Rourke dostrzegł Natalię. Była na drugim końcu lotniska. Stała właśnie obok mężczyzny, który prawie dwukrotnie przewyższał ją wzrostem. John uśmiechnął się. Przewidywał, że nieszczęśnik ucierpi od ostrzy bali-song wbitych śmiertelnym ciosem w jego "czułe miejsce". Akurat tam najłatwiej było Natalii sięgnąć. Rourke podciągnął ciało swojej ofiary, wrzucając je plecami na pokład śmigłowca. Sam także wskoczył do wnętrza maszyny. Przykucnął i odruchowo podnosząc wzrok, zdecydowanym ruchem podciął leżącemu gardło. Później bez emocji oczyścił zakrwawione ostrze, wycierając je o ubranie zabitego. Przeszedł do kabiny pilota. Wydawało się, że wszystkie układy sterowania są cyfrowe i było ich jakby za mało. Najpierw John zobaczył liczne monitory wmontowane powyżej i na poziomie pulpitu sterowniczego - orientacja w terenie, położenie, ekonomika lotu. Miał do czynienia z podobnymi wskaźnikami i przyrządami na pokładzie samolotu już pięćset lat temu. Jeszcze przed Nocą Wojny Brytyjczycy eksperymentowali z tego rodzaju urządzeniami dla samolotów wojskowych. Do uzbrojenia śmigłowca należały pociski rakietowe "powietrze-ziemia", pociski "powietrze-powietrze". Stanowiska obrotowych karabinów maszynowych znajdowały się w dziobowej i tylnej części kadłuba. Sterowanie automatami było w zasięgu ręki pilota. Nawet w warunkach bojowych, w razie potrzeby, helikopter mógł być prowadzony i uczestniczyć w walce, mając na pokładzie jedynie pilota. John wysunął do przodu kolbę karabinu i z całej siły uderzył w centralny pulpit, miażdżąc ekrany, wyświetlacze prędkościomierza oraz kilka innych wskaźników. Potem przykucnął i sięgnął pod sterownicę. Poprzerywał przewody. Oderwał je zarówno od pulpitu, jak i od źródła napięcia. Teraz nie będzie łatwo z powrotem je połączyć we właściwy układ. Już zamierzał wyskoczyć z maszyny, kiedy dostrzegł pojemniki ustawione przy wewnętrznej przegrodzie kadłuba. Zawierały rakiety obu typów: "powietrze-ziemia" i "powietrze-powietrze". Rourke uśmiechnął się. Zeskoczył na beton lądowiska. Zamierzał tu wrócić. Niedaleko zobaczył wózek służący do przewożenia ciężkiego młota pneumatycznego. Popychając wózek w poprzek zniszczonej płyty, z daleka widział Natalię. Coraz więcej helikopterów lądowało. John pomyślał, że musi energicznie zabrać się do pracy.

- Nóż znajdował się już na swoim miejscu, w rękawie jego uniformu. Rourke skierował się w stronę następnej maszyny i kolejnego pilota.

• ROZDZIAŁ XXIII

Radzieckie śmigłowce nie były rozmieszczone na płycie lotniska w określonym porządku. Brak wyraźnego szyku był spowodowany przede wszystkim nierównościami zniszczonej nawierzchni. Było praktycznie niemożliwe, żeby ktoś stojący przy jednej maszynie mógł widzieć, co się dzieje przy sąsiedniej. John miał więc szczęście. Idąc w stronę szóstego z kolei pilota, doskonale zdawał sobie sprawę, że powodzenie nie może trwać wiecznie. Tym razem, niestety, pilot miał w rękach karabin. - O co chodzi, kapralu? John udał, że się uśmiecha. - Wiadomość od towarzysza majora, towarzyszu kapitanie. - Możecie stanąć tam, gdzie jesteście i przekazać mi tę wiadomość, kapralu. Nigdy was przedtem nie widziałem. Mężczyzna wysunął karabin przed siebie. Dzieląca ich odległość była zbyt duża, żeby doktor mógł użyć noża. Rourke skinął głową, rzeczywiście się zatrzymując. - W takim razie lepiej będzie, jeśli będę z wami szczerzy. - Mówcie. - Urodziłem się ponad pięćset lat temu i byłem pewien, że udało mi się wybić was, drani, co do jednego przed pięcioma wiekami. Wróciłem teraz, żeby dokończyć swoją robotę. - Pięć stuleci, jak towarzysz pułkownik? Więc ty musisz być... Mężczyzna zmrużył oczy. Rourke poczuł lekki skurcz żołądka. Wyciągnął przed siebie rękę, w której trzymał automat, rzucając się jednocześnie na ziemię. Upadł na plecy, potem przetoczył się na brzuch. Karabin pilota cicho zaterkotał, kawałki betonu rozprysnęły się na wszystkie strony. Rourke szarpnął za spust, nie poczuł prawie żadnego odrzutu. Szybkostrzelność broni była dużo większa niż się spodziewał. Wystrzelił co najmniej sześć pocisków. Lufa bluznęła przy tym pomarańczowym ogniem. Radziecki kapitan skulił się gwałtownie i padł na plecy. Rourke szybko poderwał się na nogi i pobiegł. Unieruchomił już pięć śmigłowców. Zdążył się zorientować, że Natalia ma na swoim koncie tyle samo maszyn. Kiedy porwą dwa helikoptery, zostanie pięć, których prawdopodobnie nie zdążą unieszkodliwić przed startem. John dotarł do helikoptera, wrzucił swój karabin do jego wnętrza i sam wskoczył na pokład maszyny. Natychmiast pochylił głowę. Stojący we wnętrzu mechanik odwrócił się od pulpitu sterowniczego. Spojrzał na Rourke'a. Był kapralem, tak samo jak Amerykanin w tej chwili. - Coś nie tak, towarzyszu? - Z maszyną już wszystko w porządku? - Rourke odpowiedział pytaniem. - To był tylko przewód uziemienia. Naprawiłem go. Śmigłowiec jest gotowy do startu. - Mechanik uśmiechnął się. Lewa pięść Rourke poszybowała szerokim łukiem w kierunku szczęki Rosjanina. - Dzięki za pomoc - mruknął John, gdy pięść lądowała na podbródku mechanika. - Dlaczego to zrobiliście, towarzyszu? - zapytał mechanik, prostując się. Był bardzo wysoki. Amerykanin przekonał się również, że mechanik był bardzo szybki. Prawa ręka Rosjanina mignęła w powietrzu. Rourke szarpnął głową do tyłu. Zbyt wolno. Pięść trafiła go z lewej strony szczęki. John zatoczył się w kierunku otwartych drzwi. Nóż wysunął mu się z rękawa. W ostatniej chwili Amerykanin chwycił za drzwi, ale te poruszyły się, nie dając mu oparcia. Nie mógł odzyskać równowagi. Mechanik zrobił jeden gigantyczny krok i już był przy doktorze. Sięgnął po Johna. Amerykanin zdążył uderzyć przeciwnika w żołądek. Mechanik nie zareagował. Wciąż się uśmiechał. Teraz on wyrzucił przed siebie obie dłonie, jak koszykarz podający piłkę rzutem z klatki piersiowej. Rourke poczuł, że wypada na zewnątrz samolotu. Przycisnął łokcie do boków, podkurczył nogi i tak

skulony starał się zamortyzować upadek. Przetoczył się przez bark, ukląkł i wstał. Poczul, że szczękę ma obolałą. Mechanik zaciekawiony wychylał się z otwartych drzwi śmigłowca. Rourke przypatrzył się mężczyźnie. Tamten miał przynajmniej siedem stóp wzrostu. Jego ciało wyglądało na wciśnięte siłą w przyciasny kombinezon. Pod podniszczoną tkaniną wyraźnie rysowały się potężne mięśnie. - Witaminy? - niemal przyjaźnie zapytał John. Mechanik znów się uśmiechnął, wyskakując z maszyny rosto na niego. Amerykanin zrobił krok w lewo, ale nie dość szybko, żeby skutecznie kopnąć przeciwnika w krocze albo w inny czuły punkt. Zrobił więc półobrót w prawo, próbując zadać cios pięścią. Poczul w dłoni silny ból. Rosjanin zatoczył się i grzmotnął o płytę lotniska. Leżał jak długi tylko przez ułamek sekundy, bo zaraz zręcznie poderwał się na nogi. - Nieczęsto się zdarza, żeby facet twojego wzrostu był tak szybki - powiedział Rourke po angielsku. - Dzięki i... do usług. - Mężczyzna uśmiechnął się, w jego angielskim słychać było obcy akcent. - Proszę bardzo. - Rourke skinął głową. Wielkolud rzucił się naprzód. Nagle Amerykanin zdał sobie sprawę, że jest zaklinowany między kadłubem helikoptera a swym przeciwnikiem. Padł na ziemię i przetoczył się pod maszyną. Helikopter był teraz pomiędzy nimi. John usłyszał strzelaninę. Natalia i Rubenstein biegli w poprzek lotniska. Dziewczyna pchała przed sobą wózek wyładowany pojemnikami. W rękę trzymała radziecki karabin - koniec jego lufy niemal bez przerwy świecił pomarańczowymi ognikami. Rubenstein strzelał w biegu ze swojego schmeissera, a pod pachą i w lewej ręce niósł metalowe pudełka na amunicję. - John! - wołał Paul. - Biorę tę maszynę. Ty i Natalia też już startujcie! Rourke zrobił unik i poczul na karku pęd powietrza - to przesunęła się nad jego głową wielka jak kula od kręgli pięść Rosjanina. Spróbował zablokować uderzenie drugiej ręki tamtego, ale niemal w tej samej chwili poczul uderzenie w żołądek. A jednak to mechanik krzyknął z bólu i cofnął się, zaskoczony. John padł na kolana. Nie mógł złapać tchu. Mechanik walnął pięścią w jeden z pistoletów, które John schował pod bluzą. Ledwie Amerykanin zdążył o tym pomyśleć, lewa stopa wielkoluda pofrunęła w górę. Żołnierz zaklął po rosyjsku. Rourke obiema dłońmi chwycił gigantyczną stopę. Pociągnął ją w tym samym kierunku, w którym podążała, przetoczył się i podciął tamtemu drugą nogę. Siadając John sięgnął prawą ręką po steczkina. Niedługo się nim cieszył. Olbrzym uklęknął i w tej pozycji znów zaatakował. Rourke przewrócił się kolejny raz. Broń wypadła mu z ręki. Nagle Amerykanin przypomniał sobie wszystkie lekcje walki wręcz. To była gra o najwyższą stawkę. Pchnięciem w pierś zaskoczył przeciwnika, a potem serią szybkich ciosów zmasakrował mu twarz i złamał szczękę. Tamten próbował jeszcze wstać, ale po chwili skonał w kałuży krwi. Rourke wstał z wysiłkiem i z ulgą oparł się o kadłub helikoptera. Zewsząd dobiegały odgłosy strzelaniny. Jeszcze raz popatrzył na pokonanego draba. - To była jedna z najlepszych walk, jakie w życiu stoczyłem - rzekł do siebie.

- Zaczął obchodzić maszynę, żeby dostać się do jej drzwi. Z trudnością poruszał palcami poranionych dłoni. Jego drogę znaczyły krople krwi.

ROZDZIAŁ XXIV

Krew z ran na dłoniach popłynęła mocniej, kiedy John zacisnął ręce na sterze śmigłowca. Monitory, widoczne wszędzie wokół pulpitu pilota, zaczęły migotać. Programy komputera zostały ułożone w języku rosyjskim i teraz Rourke miał przed oczami wyrazy pisane wyłącznie grażdanką. John starał się zrozumieć informacje poszczególnych wskaźników. Jednocześnie obserwował wydarzenia rozgrywające się na zewnątrz śmigłowca. Komandosi KGB biegli w stronę maszyny i w stronę śmigłowca zajętego przez Natalię oraz Paula. Rosjanie strzelali, ale kadłuby helikopterów były kuloodporne. John nie miał pojęcia, jak powinny wyglądać prawidłowe wydruki ciśnienia oleju i temperatury, nie wiedział też, ile obrotów na minutę musi osiągnąć jego maszyna, żeby wznieść się w powietrze. "Zupełna improwizacja" - pomyślał. Jeden z pięciu helikopterów, których ani on, ani Natalia nie zdążyli zniszczyć, krążył nisko nad lotniskiem, najwyraźniej kierując się w stronę śmigłowca Natalii. Rourke w końcu oderwał maszynę od ziemi. Jego śmigłowiec niebezpiecznie zadygotał i zatoczył się w lewo, zaledwie o kilka cali mijając naziemne stanowiska bojowe. John zaczynał rozumieć sygnały pojawiające się na ekranach deski rozdzielczej. Właśnie zaświecił mu przed oczami kolejny monitor, kontrolujący system uzbrojenia. Rourke skręcił o dziewięćdziesiąt stopni w lewo. Zrobił to zbyt gwałtownie. Maszyna zadrżała i pochyliła się dziobem do dołu. Doktor dał głównemu wirnikowi więcej mocy. Helikopter wzniósł się łagodnie. Lewym kciukiem Rourke nadusił przycisk u góry drążka sterowniczego. Był to guzik pokładowego systemu strzelniczego. Fragmenty betonu, wyrwane z płyty lotniska, wyleciały w powietrze. Na płycie lotniska pojawił się falisty ślad, jak gdyby przejechał tam niewidzialny pług prowadzony przez pijanego oracza. Amerykanin zwiększył pułap lotu, zatrzymując się na wysokości dziewięćdziesięciu stóp. Helikopter, który wcześniej wystartował, zaczął teraz ostrzał maszyny Rourke'a. Amerykanin znów uruchomił swój system bojowy. Atakujący śmigłowiec skręcił ostro w lewo i poszybował w górę. Maszyna Natalii też była już w powietrzu. Rubenstein stał w otwartych drzwiach luku. W każdej ręce trzymał po jednym radzieckim karabinie i strzelał do Rosjan stłoczonych na podziurawionym betonie. Natalia obróciła maszynę prawie o trzysta sześćdziesiąt stopni. Jej helikopter dmuchnął białym dymkiem. Jeden z nielicznych radzieckich śmigłowców eksplodował. Żółto-czarna kula gęstego dymu buchnęła w niebo. Rourke nareszcie odnalazł ster systemu rakiet "powietrze-powietrze" i "powietrze-ziemia". Uruchomił monitor oraz komputer naprowadzający. Były sprawne. Znalazł przełącznik kasujący działanie automatycznego celownika. Kiedy wyłączał automatyczny celownik, Natalia otworzyła ogień w stronę kolejnego przeciwnika. Nie trafiła. Radziecki pilot umknął przed nią, zawrócił, a potem przeszedł do kontrataku. Rourke walczył z wyłącznikiem. Wypuścił przy tym z drugiej ręki drążek głównego

steru, ale w samą porę zrozumiał, co robi. Jeszcze raz mocno uderzył w oporne urządzenie. Chciał unieruchomić celowanie komputerowe, bo najbardziej ufał własnym ręką. Wreszcie odnalazł przycisk: "celowanie ręczne". Nadusił go bez chwili wahania. Nie mógł sprawdzić, czy komputer przestał działać, dookoła wciąż świeciły jakieś lampki. Widząc otoczenie jedynie w obrazach podawanych mu na ekranie monitorów, Rourke podążył kursem helikoptera ścigającego Natalię i Rubensteina. Radziecki pilot nie odstępował Natalii nadlatującej wprost na następną sprawną maszynę. Rourke wiedział, że tylko Natalia może tak doskonale pilotować nieznaną rosyjski helikopter. Teraz dziewczyna była lepsza od Johna. To, że nie trafiła za pierwszym razem, było wynikiem niedoskonałości komputera. Ale Amerykanin nie mógł wygrać z radzieckim pilotem prowadzącym identyczną maszynę, tamten zbyt dobrze wiedział, jak ustrzec się przed atakiem nie znającego się na rosyjskich komputerach Johna. Jednak na pewno Rosjanin nie spodziewał się starcia z samym doktorem, a nie z komputerem. Śmigłowiec sowiecki zaczął niebezpiecznie zbliżać się do Natalii i Paula. Dziewczyna, nie tracąc zimnej krwi, zanurkowała nad lotnisko, kosząc Rosjan z broni maszynowej. Rourke zwolnił blokadę rakiet. Nie odrywał lewej ręki od dźwigni systemu bojowego. Spoglądał to na wydruki, to na ruchliwy cel. Czuł się jak gracz przy automacie komputerowych gier wojennych. Helikopter wroga znalazł się dokładnie na linii strzału. John błyskawicznie nacisnął guzik na końcu dźwigni. Obraz helikoptera na monitorze zmienił się w świetlistą kulę, która niczym fajerwerki w ułamku sekundy rozprysła się na tysiące iskier. Płonące szczątki spadały w dół. Rourke uruchomił radio. - Natalia, słyszysz mnie? - John, dostałeś go? - Zabierajmy się z tego piekła. Ruszajcie za mną. Maksymalnie zwiększył obroty wirnika. Poczul, że przy nagłym przyspieszeniu niewidzialna siła wciska go w fotel. Nowe śmigłowce były naprawdę szybkie. Nie więcej niż trzy nie uszkodzone maszyny mogły teraz zmierzyć się z nim, Natalią i promami "Projekt Eden" w czasie powrotu tych ostatnich na Ziemię. Nie można było jednak zlekceważyć i tego potencjału militarnego.

- Tylko raz Rourke spojrzął za siebie. Lądowisko płonęło.

ROZDZIAŁ XXV

Wokół Helmuta Sturma szalała wywołana przez ludzi burza piaskowa. Z południowego zachodu wciąż nadlatywały maszyny Eskadry Kondora. Ich widok napełniał Sturma nieskrywaną dumą. Niemiec położył rękę na klapie kabury przytwierdzonej do pasa powyżej lewego biodra. Ukryta tam broń była prawdziwym antykiem, pochodzącym z innej epoki, innej wojny. Był to walther P-389. Pistolet ten służył dalekiemu przodkowi Helmuta Sturma podczas drugiej wojny światowej. Broń była wciąż sprawna. Helmut posiadał też zapas odpowiedniej amunicji wykonanej dla niego na indywidualne zamówienie w jednej z podziemnych fabryk. Po tym samym przodku zachowała się jeszcze jedna pamiątka. Był to Krzyż Żelazny, którym pradziad został odznaczony przez samego Adolfa Hitlera. Helmut Sturm przeznaczył tę rodową relikwię dla któregoś z synów. Sturmbahnfuhrer widział kiedyś zaćmienie słońca i teraz był świadkiem podobnego zjawiska, bo chociaż to nie księżyc stanął między słońcem a Ziemią, dookoła mimo dnia panowała gęsta ciemność. Licząca sto maszyn Eskadra Kondora znajdowała się w tej chwili bezpośrednio nad jego głową. Słyszeć było tylko świst powietrza. Śmigłowce poruszały się niemal bezgłośnie. Otaczający Sturma żołnierze wystawieni byli na mocne uderzenia wiatru i unoszonego jego siłą piasku. Helmut ruszył w stronę maszyny czekającej na niego na ziemi nie opodal. Eskadra leciała dalej, na północny wschód. Wraz z jej oddaleniem się znów nastął dzień. Przed nimi leciała jakaś inna powietrzna flota, nie zarejestrowana przez radary, a dostrzeżona przez przednią osłonę, kiedy znikwała za górskim łańcuchem. Tamci nie dorównywali niemieckiej eskadrze ani siłą, ani liczebnością. Lecieli wolno, jakby uważnie obserwowali teren. Czyżby oni też szukali jakiegokolwiek życia? Radar zarejestrował duży, obcy samolot transportowy. "Sprowadzili tu te dziwne statki - pomyślał Sturm - i je zostawili". Najeźdźcy? Uśmiechnął się. Kiedy jeden najeźdźca ścigał drugiego, zaczynało się robić tłoczno. Była to gra o wysoką stawkę, o panowanie nad całym kontynentem północnoamerykańskim. Kim byli ci najeźdźcy, pozostawało na razie tajemnicą. Może jakieś niedobitki Amerykanów, próbujących utrzymać swe prawa do ziemi, która należała do ich przodków pięćset lat temu? Albo Rosjanie, którzy przybyli tu, żeby wycisnąć, co się da z kraju, który przedtem sami zniszczyli. Sturm zajął miejsce na pokładzie maszyny. Jego mundur był sztywny od piachu, okulary też były zasypane. Nawet czarny śmigłowiec miał teraz na sobie żółte, piaszczyste "ubranko". Helmut zobaczył to, co chciał zobaczyć: potęgę odrodzonego narodowego socjalizmu. - Pilot, czas na nas.

• A w duchu dodał: "Przeznaczenie czeka". Maszyna wystartowała.

ROZDZIAŁ XXVI

• - Helikoptery, niech to szlag trafi! W duchu Michael Rourke zaklął sobie znacznie dosadniej. Jego magnum 44 pozostało w ciężarówce. Przy sobie miał przewieszzonego przez plecy stalkera i mniejszą kopię magnum-predatora, którego trzymał z przodu, właściwie na brzuchu. Ruszył biegiem, co chwilę oglądając się za siebie i w górę. Na tle świetlistej kuli zachodzącego słońca pojawił się rój śmigłowców. Słońce stawało się coraz mniej widoczne, przesłonięte rosnącymi, czarnymi plamami. Stalker ześliznął mu się z pleców. Michael zachwiał się. Przystanął, jednym ruchem przyłożył do ramienia nierdzewnego lugera z długą lufą. A może to przyjaciele? Może strzelaniem sprowokuje atak, który nie nastąpiłby, gdyby on tak się z tym nie spieszył? Zawahał się. Nagle ziemia wokół niego zaczęła się ruszać, jakby orano ją niewidzialnym pługiem. Powietrze zadrżało od głuchych odgłosów eksplozji. Potem ostrzejszy terkot. Coraz więcej piachu i coraz bliżej Michaela wzbijało się w górę. Najbliższy z helikopterów znajdował się około dwustu jardów od niego. Michael tym razem zdecydowanie wycelował w niego ze swojego stalkera. Obserwował go przez lornetkę. Kadłub na pewno jest opancerzony. Nieprzejrzysta kopuła nad kabiną pilota - z pewnością kuloodporna. Ale młody Rourke dysponował specjalnymi kulami, nie był przecież samobójcą. Proch strzelniczy, którym je wypełniono, składał się właściwie z trzystu kulek wielkości mikroskopijnego ziarna. Michael odbezpieczył broń. W soczewce lornetki dokładnie widział opływowy dziób śmigłowca. Nacisnął spust. Stalker w jego rękach drgnął. Muszka podskoczyła do góry. Helikopter zrobił raptowny zwrot i poszybował wyżej w niebo. Coraz więcej piachu unosiło się w powietrzu wokół Michaela. On znów ruszył biegiem. Wiedział, że trafił, że musiał choć trochę uszkodzić maszynę. W prawej ręce wciąż kurczowo ścisnął stalkera. Ile sił w nogach, pędził w stronę ciężarówek i spychacza. - Generator! Wyłącz generator, żeby nie zobaczyli naszych świateł! - przekrzykiwał odgłosy strzelaniny i świst narastającego wiatru. Biegł w tumanach kurzu. Do kogo należały śmigłowce? Gdzieś w duszy Michaela narastało przecucie, że odpowiedź na to pytanie miałyby coś wspólnego z pochodzeniem pilota, którego spadochron znalazł i którego ślad zaprowadził go do obozu kanibali. To właśnie tam uratował życie Madison, dziewczynie, która była teraz pod każdym względem jego żoną, choć zaślubinom nie towarzyszyła żadna tradycyjna ceremonia. Madison nosiła teraz w sobie jego dziecko. Oboje to czuli. Nie zatrzymywał się. Zobaczył Annie wychodzącą z namiotu. W pośpiechu zapinała pas z bronią. Poły namiotu znów się rozchyliły i ukazała się w nich Madison. "Biegnij, biegnij!" - powtarzał w duchu.

- Kolejny wściekły atak. Strzelanina coraz większa. I nagle piekący ból w całym ciele. Raptowne zeszywnienie kończyn. Michael potknął się raz, drugi i upadł na twarz. Dostrzegł

jeszcze, jak Annie strzela ze swego scoremastera w niebo. Chciał jej krzyknąć, że to bez sensu, ale nie mógł wydobyć z siebie głosu. W ustach poczuł piach. Ziemia wokół niego przestała drżeć. Zamknął oczy.

• ROZDZIAŁ XXVII

Nie było żadnego pościgu. John wziął kurs prosto na obozowisko w południowej Georgii, w pobliżu drogi, która miała służyć za lądowisko dla sześciu promów kosmicznych "Projektu Eden". Przypuszczał, że w tych śmigłowcach o silnikach turboodrzutowych droga powrotna zajmie im nie więcej niż trzy godziny. Amerykanin rozruszał palce, żeby jego potłuczone dłonie odzyskały sprawność. Dopiero teraz, po opadnięciu emocji, poczuł ból. Sprawdził wskaźniki i powiedział do mikrofonu zainstalowanego w hełmofonie: - Przechodzę na tę samą częstotliwość, co w beechcrafcie, jesteśmy tylko kilka mil od niego, może Michael albo Annie złapią z nami kontakt. Zrób to samo, Natalia. Rourke zaczął manipulować przełącznikami. Liczby częstotliwości wyświetlały się na czerwono na jednym z cyfrowych ekranów pulpitu łączności. W słuchawkach usłyszał charakterystyczne radiowe trzaski. - Tu John Rourke, zgłaszam się do bazy. Odbiór! Odpowiedziały trzaski. - Annie, Michael, jesteśmy w drodze powrotnej. Powtarzam: wracamy. Możemy mieć towarzystwo, ale na razie wszystko w porządku. Czekam na odpowiedź. Odbiór! Trzaski. - Hej, tu tata, odezwijcie się! Odbiór! - John, pozwól, może ja spróbuję - odezwała się Natalia. - Natalia do bazy, Natalia do bazy, odezwijcie się. Odbiór! Nagle w słuchawkach Rourke'a zabrzmiał obcy głos. - Natalia? Twój głos, po tylu latach wciąż tak samo mnie ekscytuje. Twój głos przypomina mi też o doktorze Rourke'em... Słowa zawisły w eterze. Długą ciszę, która po nich zapadła, przerwała Natalia: - Władymir! Rourke oblizał wargi. W tej chwili słyszał w hełmofonie tylko śmiech. Śmiech szaleńca.

ROZDZIAŁ XXVIII

Ręce Johna Rourke drżały. Na pokładzie helikoptera znalazł przenośną radiostację. Zabrał ją ze sobą. Radio było nastawione na częstotliwość umożliwiającą natychmiastową łączność z drugim radzieckim śmigłowcem, który zawisł w powietrzu około ćwierć mili od miejsca lądowania Rourke'a. Na pokładzie tego helikoptera znajdowali się Natalia i Paul Rubenstein. Zimny blask księżyca rozpraszał ciemności nocy. Władimir Karamazow nie próbował ponownie się z nimi połączyć. Oni tym bardziej nie pragnęli słuchać jego głosu. Władimir Karamazow - człowiek, co do którego Rourke był przekonany, że go zabił pięćset lat temu, były mąż Natalii, która omal nie umarła, pobita przez niego, zanim zdołała stawić mu opór. John ścisnął w dłoniach nowy radziecki karabin. Ciągle miał na sobie uniform sowieckiego komandosa, ale nie musiał już ukrywać pod bluzą swych detoników. Broń była wręcz wyeksponowana, zatknięta za pas spodni. Własne ubranie Johna znajdowało się na pokładzie drugiego helikoptera, zadbał o to Rubenstein. Teraz doktor głośno zawołał: - Michael! Annie! Sarah! Sarah! Cisza. Żadnego odzewu. Rourke szedł w stronę namiotu, półciężarówka ford'a i innych pojazdów, dobrze widocznych w jasnym świetle księżyca. Żadna maszyna nie pracowała. Nawet generator. Pas lądowiska był prawie zupełnie oczyszczony. Michael wykonał to zadanie szybciej, niż John się spodziewał. - Sarah! Rourke głośno przełknął ślinę. - Kurinami! Doktor Halwerson! Usłyszał głos, lecz to tylko aparat w jego lewym ręku odezwał się głosem Paula: - John, co się... - Nic, Paul. Co z Natalią? Odbiór! - Po prostu pilotuje śmigłowiec. Nie powiedziała ani słowa. Odbiór! - Bądź w pogotowiu, Paul. Bez odbioru. Był już na skraju obozowiska, kiedy znów zawołał: - Madison! Michael! Odezwiście się! Brak jakiegokolwiek odzewu. Rourke stanął tuż przy wejściu do namiotu. Znów głośno przełknął ślinę. W namiocie było ciemno. - Hej, tam w środku, jest tam ktoś?! Końcem lufy radzieckiego karabinu John odchylił połę wejścia do namiotu, chwycił jej brzeg lewą ręką i ostrożnie pociągnął do siebie. Nic się nie wydarzyło, więc wszedł. Wewnątrz panował absolutny mrok. Doktor schował radio do kieszeni na piersi. Z innej kieszeni wyciągnął latarkę i natychmiast ją włączył. Strumieniem żółtawego światła omiatał podłogę, aż dotarł do najdalszego kąta namiotu. Na krześle, ubrany w spodnie nasiąknięte krwią, w bluzie, której koloru nie można było rozpoznać między plamami czerwieni, błąd jak trup, pół leżał jego syn. Latarka wypadła z rąk Johna i z głuchym łoskotem potoczyła się po drewnianej podłodze namiotu. Rourke patrzył za nią nie widzącym wzrokiem. Drżącą ręką sięgnął do kieszeni na piersi i podniósł radio. - Tu John Rourke. - John, co... - Nie zbliżajcie się, Paul. Karamazow, słyszysz mnie? Słyszysz, co mówię? Karamazow! Rourke wykrzyczał zniechęcone nazwisko. A potem znów odpowiedział mu śmiech. Amerykanin wcisnął guzik nadajnika. - Tym razem, skurwysynu, gołymi rękami wypruję z ciebie wszystkie flaki i zrobię z nich ognisko, żebyś zginął raz na zawsze. W odpowiedzi usłyszał tylko jeszcze bardziej złośliwy rechot.

ROZDZIAŁ XXIX

•

Obserwowała Johna. Na czole mężczyzny pojawiły się kropelki potu. Podniosła rękę i suchą chustką otarła mu twarz. Spojrzała na jego ręce. Gumowe chirurgiczne rękawiczki zrobiły się czerwone od krwi Michaela. Młody Rourke walczył ze śmiercią. Obaj z nią walczyli. Nie miała wątpliwości, że John uratuje życie Michaelowi, pod warunkiem, że było to w ogóle możliwe. Jej również kiedyś uratował życie. Jako lekarz i nie tylko tak. I właśnie dlatego, że pomógł jej kiedyś inaczej, nie mogła dłużej zwlekać. Natalia spojrzała w stronę wyjścia i zawołała: - Paul, wejdź tu, proszę! Po chwili poły namiotu rozchyliły się. - O co chodzi? - Nie jesteś już potrzebny na zewnątrz. Mój mąż tak szybko tu nie wróci, jeśli w ogóle miał taki zamiar. Wie, czego się po nas spodziewać. Zastąp mnie przy operacji. Potrafisz pomóc Johnowi nie gorzej niż ja. - Zapomnij o tym! - warknął Rourke. - Paul, lepiej zrób to, o co cię proszę, bo inaczej John nie będzie miał żadnego pomocnika. Ja muszę iść. - Gównu! - syknął Rourke. Nawet na nią nie spojrzał. - O czym ty mówisz? - Paul nie zrozumiał. - Muszę się z kimś spotkać. - Mają Annie i Sarah, i Madison, mają Kurinamiego i Halwerson, ciebie nie dostaną! - To nie jacyś "oni" zabrali wszystkich, John, to Władymir. I jest tylko dwoje ludzi, którym Władymir pozwoli podejść do siebie na taką odległość, żeby można go było zabić, ty i ja. John Rourke oderwał wzrok od pola operacyjnego. - Paul, jeśli będzie chciała stąd odejść, możesz użyć siły, żeby ją zatrzymać. - Co takiego? Hej!?! - Zrób to! - krzyknął Rourke i powrócił do operacji. - Bardzo cię kocham, Paul. Jesteś moim najlepszym przyjacielem. Nie zmuszaj mnie, żebym ci zrobiła krzywdę. - Mówisz o lekcji skromności? - Rubenstein lekko się uśmiechnął. - Posłuchaj, połatamy Michaela, a potem razem odwiedzimy Karamazowa, odbijemy naszych ludzi i zadbamy o... - John musi zająć się synem, inaczej Michael umrze. Nawet po operacji ktoś będzie musiał bez przerwy się nim opiekować, podczas gdy John poleci zniszczyć mosty, które wciąż nie pozwalają wylądować "Projektowi Eden". Po zburzeniu mostów któryś z was będzie musiał spychaczem usunąć z drogi gruz, a Michael ciągle jeszcze będzie potrzebował opieki. Tylko ja mogę iść. Mówiła do Paula, ale patrzyła na drugiego z mężczyzn. - Nie puszczę cię - powiedział Rourke. Jego głos był zimny i obojętny. - Kocham was, ale pomyśl tylko, Paul, nawet mój mąż nie potrafił mnie zatrzymać, nie próbując mnie przy tym zabić. I nigdy by mu się to nie udało! A ty, John, nie możesz odłożyć instrumentów, jeśli chcesz uratować swojego jedyne syna. Idę. - Paul! - Hej, stój, Nata... Jej lewa ręka szybkim ruchem sięgnęła krtani Paula. Próbował ją powstrzymać. Wtedy prawą ręką uderzyła go w szyję - nie za mocno, tak by tylko na jakiś czas zmniejszyć dopływ krwi do mózgu. Mężczyzna miękko osunął się na kolana. Ona sama złagodziła upadek, podtrzymując głowę Paula, kiedy całe jego ciało znalazło się na podłodze. - Za moment się obudzi, John, a w kilka chwil potem będzie jak nowo narodzony. - Natalia, ta...

Wyciągnęła ręce spod głowy Paula, wstała i podeszła do prowizorycznego stołu operacyjnego. Teraz, obejmując dłońmi twarz Rourke'a, spojrzała mu w oczy. Ściągnęła w dół maskę zasłaniającą usta i nos mężczyzny i mocno pocałowała go w zaciśnięte wargi. - Nigdy nie kochałam żadnego człowieka tak bardzo, jak ciebie. Od samego początku, od pierwszego naszego spotkania, marzyłam o tym, żeby się z tobą kochać, John. W snach ciągle czułam rozkosz goszczenia cię w moim ciele. Zawładnąłeś każdą cząstką mojego umysłu. Jeszcze raz dotknęła jego warg ustami. Miał zakrwawione ręce i nie odważył się jej objąć, nie mógł nawet dotknąć kobiety. Z powrotem założyła mu maseczkę. Odsunęła się od Amerykanina. - Natalia, znajdę inny... - Nie, nie znajdziesz innego sposobu, John - powiedziała, zatrzymując się i patrząc mu w oczy. - Kocham cię, nie możesz... - Właśnie dlatego mogę. Po raz ostatni spojrzała na niego i wyszła z namiotu. John widział, jak szła dalej w blasku księżyca. Po drodze odpięła pas z pistoletami. Nie będzie ich już potrzebowała. Mogą się przydać komuś innemu... Może John zatrzyma je dla siebie jako pamiątkę. Podeszła do półciężarówki i położyła pas na fotelu w kabinie kierowcy obok bezużytecznej teraz broni Michaela. Broń Sarah, Annie, doktor Halwerson, colt Kurinamiego, należący do Michaela luger i wszystkie M-16 były starannie ułożone z tyłu wozu na platformie. Wiedziała, że Władimir polecił je tak zostawić na znak pogardy. W walce przeciwko niemu nie miały żadnej wartości. Sięgnęła do kieszeni swego czarnego kombinezonu. Ostrze bali-song ożyło w jej rękach. Rozległo się kilka trzasków. Metalowy motyl rozkładał i składał skrzydła... To było dziecinne, ale Natalia odchyliła ostrze bali-song i wbiła je mocno w deskę rozdzielczą forda, zostawiając je na widocznym miejscu. Popatrzyła w niebo. Poszła w kierunku swojego helikoptera. Kiedy John przygotowywał Michaela do operacji, ona pozbawiła maszynę całego uzbrojenia. Na drogę ku śmierci potrzebowała tylko środka transportu. Natalia Anastazja Tiemierowna, major KGB, powiedziała do księżyca:

- - Idę, Władimir. Będę musiała ci wystarczyć. Marzyła o papierosie.

ROZDZIAŁ XXX

•

- Tu major Tiemierowna. Proszę o doprowadzenie do waszej bazy. Chcę prywatnie porozmawiać z moim mężem. Odbiór! - Towarzyszko major, mamy was na radarze. Zaczynamy korygować kurs. Proszę pozostać na tej częstotliwości. Zerknęła przed siebie. Księżyc był już ledwo widoczny. Operacja Michaela na pewno zajmie Johnowi kilka godzin. Wiele kul utkwilo w ciele jego syna. Do czasu, gdy promy "Projektu Eden" bez względu na stan lądowiska będą musiały wylądować, pozostały sześćdziesiąt cztery godziny. Było dla Natalii jasne, skąd Władimir Karamazow wiedział, gdzie szukać Johna i jego bliskich. Po prostu podsłuchiwał ich rozmowę radiową, w której komentowali wydarzenia w "Łonie" i ustalali drogę powrotną. Potem wystarczyło ich wyprzedzić. Nie musiał na nich czekać. Był przekonany o śmierci Michaela i o tym, że w ten sposób zwabi Rourke'a i ją do siebie. Wiedział, że oni przyjdą się zemścić. Na moment zamknęła oczy. Dziękowała Bogu, że Michael został "tylko" ranny. Myślała nie tylko o Michaelu. Była wdzięczna Bogu, że John nie stracił syna i że nie mógł, z powodu ciężkiego stanu Michaela, powstrzymać jej od działania. Podano jej dane, które mogła wprowadzić do komputera. Robiła to mechanicznie. Zastanawiała się tylko nad tym, co się z nią stanie, czy Karamazow będzie próbował ją zabić natychmiast. Doszła do wniosku, że z pewnością będzie ją torturował, spróbuje ją zmusić, by błagała o śmierć. Być może da jej to trochę czasu, by uwolnić Sarah, Annie, Madison i pozostałą dwójkę. A potem go zabije. I to wszystko będzie musiała zrobić bardzo szybko, żeby jej mąż nie zdążył uciec, żeby nie zaatakował ponownie obozu, w którym John ratował życie syna. Ona nie może dopuścić do tego, by ten szaleniec zabił Rourke'a, Paula i - jeśli operacja zakończyłaby się pomyślnie - dobił Michaela. - Dane przyjęte - powiedziała do mikrofonu. - ETA[1]: dwadzieścia minut. Spodziewam się powitania. Bez odbioru. Doskonale wiedziała, że ta ostatnia uwaga była zbędna. Znała już miejsce, gdzie miał się dopełnić jej los. Były to góry północno-wschodniej Georgii, w bliskim sąsiedztwie Schronu. To kolejny przejaw koszmarnego poczucia humoru Karamazowa.

ROZDZIAŁ XXXI

Natalia stała przy helikopterze. W jej stronę biegli oficer oraz dwóch szeregowych, uzbrojonych w nowe karabiny. Czekala na nich spokojnie, z rękami na biodrach. W oficerze rozpoznała swego dawnego znajomego - kapitana Popowskiego. Popowski był wysokim, szczupłym i ciągle młodym mężczyzną, choć od ich ostatniego spotkania upłynęło ponad pięćset lat. Kapitan stanął przed nią na baczność i zasalutował. - Towarzyszko major Tiemierowna... Skinęła głową, ale nie oddała honorów. Po raz ostatni zasalutowała wielkiemu Związkowi Radzieckiemu przed pięćdziesiąt laty, nie miała jednak zamiaru kpić z tego pozdrowienia, a musiałoby to wyglądać komicznie w jej wykonaniu po tym, co się wydarzyło. - Świetnie pan wygląda, kapitanie. Wydaje mi się, że pan kiedyś palił, ale pewnie nie jest pan już niewolnikiem tego nałogu, zgadłam? - Niestety, towarzyszko major, ze wstydem przyznaję, że nie potrafiłem się wyrzec palenia. - Mogę prosić o papierosa? - Oczywiście, towarzyszko major. Mamy kilka nowych gatunków tytoniu. Uważam, że nasze papierosy nie ustępują teraz dawnym amerykańskim. Podsunął jej srebrną papierośnicę. Natalia poczęstowała się papierosem. - Kapralu, towarzyszka major nie może przecież czekać! Żołnierz stojący po prawej stronie Popowskiego szybko wystąpił nieco do przodu i pospiesznie potarł zapałkę. Rozległ się charakterystyczny dźwięk. Kiedy na zapałce pojawił się płomyk, Natalia poczuła woń siarki. Przytknęła koniec papierosa do ognia. To nie był amerykański papieros, ale w tej sytuacji niczego więcej nie żądała. Przymknęła sobie, że jeśli jakimś cudem przeżyje, po powrocie do Schronu wypali przynajmniej paczkę papierosów, a potem znów rzuci palenie, tym razem na dobre. - Dziękuję, kapralu. Uśmiechnęła się do niego, ale zaraz spoważniała, kiedy zorientowała się, że mężczyzna się jej przygląda. On upuścił zapałkę na ziemię, bo sparzyła go w pale. Rozgniół butem dogasające drewno i cofnął się. Stali w cieniu gór. Za górami wschodziło słońce. - Chcę się widzieć z moim mężem, pułkownikiem Karamazowem, o ile ciągle nazywa siebie pułkownikiem. A może jest już marszałkiem albo zaszedł jeszcze wyżej? - Towarzysz pułkownik jest także zainteresowany spotkaniem z towarzyszka major. - Popowski skinął głową. Pomyślała, że miał raczej ponurą minę. - Jestem pewna, że to prawda - przytaknęła. Tym razem mocniej zaciągnęła się papierosem. Zakrztusiła się. W końcu to jej pierwszy papieros od pięćdziesiąt lat. - Proszę tedy, towarzyszko major. Popowski szedł u jej boku, wyprowadzając z doliny w stronę pobliskich skał. Szła na przód, Popowski z jej lewej strony, ale odrobinę za nią. - Towarzyszko major, jedyne, czego ja chciałbym się dowiedzieć, to siły naszego przeciwnika... - Waszego przeciwnika. - Natalia unikała dwuznaczności. - Dobrze, towarzyszko major, ale ten człowiek, którego towarzysz pułkownik zostawił w namiocie... on bardzo krwawił i... - On żyje. Spojrzała na Popowskiego. Wydawało jej się, że w oczach

kapitana zobaczyła błysk. Skinął głową, ale nic nie powiedział. - Wasze nowe helikoptery bojowe są całkiem niezłe. - Chciałbym mieć sposobność pilotowania jednej z tych maszyn, towarzyszek major. - Może któregoś dnia... Uśmiechnęła się, patrząc w stronę namiotów rozstawionych u podnóża szczytów, do których się zbliżali. Jeden z nich, położony centralnie, był dużo większy od innych. Ten musiał należeć do jej męża. - Co z więźniami, ludźmi, których mój mąż zabrał po tej strzelaninie? Wszystko w porządku, Popowski? - Tak, towarzyszek major. Młoda kobieta z długimi włosami... - Tak? - Trzech musiało z nią walczyć, żeby można ją było skrepować. - Patrzył na ziemię, pod swoje nogi. Natalia znów pozwoliła sobie na uśmiech. Nigdy nie zdradzi, że Annie to córka Johna. Karamazow torturowałby i zabił każdego o nazwisku Rourke. - Jakie są jego plany względem mojej osoby? - zapytała Popowskiego. Kapitan nagle się zatrzymał. Natalia też stanęła. Popowski odpowiedział na jej pytanie po angielsku: - Nie powinna była pani tu przychodzić, towarzyszek major. On robi z kobietami straszne rzeczy. W Europie żyje teraz wiele dzikich szczepów. On porywa z nich kobiety i bije je na śmierć, rozszarpuje i... - Co zaplanował dla mnie? - powtórzyła Natalia. - Nie wiem, towarzyszek major, ale postąpiłaby pani rozsądnie, gdyby się pani zabiła przed spotkaniem z mężem. - Nie mogę, nie wzięłam ze sobą żadnej broni. Objął spojrzeniem całą jej postać. Czują to prawie jak dotyk. - Bardzo mi przykro, towarzyszek major. Naprawdę. Gdyby istniał jakiś Bóg, pomodliłbym się za panią. - Odkryłam coś zadziwiającego, Andriej, Bóg rzeczywiście istnieje. I dziękuję panu. Natalia Tiemierowna poszła w stronę największego namiotu.

ROZDZIAŁ XXXII

•

”Przedtem tylko raz w życiu tak się czułem” - pomyślał Rubenstein, obserwując wschód słońca. To było wtedy, gdy Nowy Jork przestał istnieć, a wraz z miastem z życia Paula zniknęła dziewczyna, z którą był zaręczony, dziewczyna, której powiedział, że ją kocha. Teraz na tle wschodzącej kuli słońca oczami wyobraźni Rubenstein zobaczył twarz Annie. Co Karamazow z nią zrobił? Zabił ją? A może stało się z nią coś jeszcze bardziej przerażającego? Żyd wiedział o Karamazowie dostatecznie dużo, żeby spodziewać się najgorszego. Paul pamiętał jedno opowiadanie Natalii. Siedzieli przy ognisku, a ona mówiła, co zrobił z nią Karamazow, z nią, ze swoją żoną... I teraz Natalia znów była w jego rękach. Paulowi wydawało się, że Karamazow jest diabłem, który nie może umrzeć i ma nieskończoną władzę nad innymi. Przecież on, Rubenstein, sam widział przez lornetkę, jak Rourke zastrzelił Karamazowa. Paul zadrżał. Całe szczęście, że miał dosyć zdrowego rozsądku, żeby nie wierzyć w żadne nadprzyrodzone właściwości tego szaleńca. Pomyślał o Michaelu. John Rourke usunął z pleców syna siedem kul. Jedna z nich utkwiała bardzo blisko kręgosłupa. Dwie inne o włos minęły prawą nerkę. Najgroźniejszy jednak był wpływ krwi. Rourke oddał synowi dwie jednostki własnej krwi i był potem tak słaby, że Paul był zmuszony - pod kierunkiem Johna, oczywiście - kończyć za niego zszywanie nacięć. Teraz Michael odpoczywał i nie można go było ruszać. Rubenstein spoglądał to na rannego Michaela, to w stronę horyzontu, oczekując na następny atak. Czuł się bezsilny. Nie mogli teraz podjąć próby ratowania swych bliskich. Po przebudzeniu Johna, zanim przygotują jakikolwiek plan ratunku, przede wszystkim będą musieli zająć się zniszczeniem mostów i oczyszczeniem nawierzchni lądowiska. A Karamazow może zaatakować w każdej chwili. Większość piachu została już usunięta z drogi, zostały ”tylko” mosty. Czy Karamazow poczeka, aż składająca się z sześciu promów flota ”Projektu Eden” zacznie podchodzić do lądowiska i wtedy przypuści atak? Rubenstein znów zadrżał. Rozstrajał go brak snu, brak pewności, co powinien teraz robić, poczucie przymusowej bezczynności... I strach, ale nie o siebie. Bez przetoczenia krwi rekonwalescencja Michaela będzie w najlepszym wypadku bardzo powolna. Bez Johna Rourke wystarczy infekcja jednej rany, żeby Michael umarł. - Cholera! - szepnął Paul, patrząc pod słońce. W rękach mocno ścisnął swojego schmeissera.

ROZDZIAŁ XXXIII

Przeguby Sarah mocno krwawiły. W końcu kobieta przekręciła lewą rękę w taki sposób, że mogła dotknąć palcami krępujących ją więzów. - Ci wszyscy faceci musieli chyba nie robić przez te pięćset lat nic innego, tylko uczyć się, jak prawidłowo wiązać ludzi - szepnęła, spoglądając na Elaine. Siedzieli już tutaj tak długo, że Sarah straciła rachubę czasu. Skrępowano im ręce i nogi. Zakneblowano usta. Ręce przywiązano do kołków, głęboko wbitych w skalną podłogę namiotu. Annie dotąd nie otworzyła oczu. Miejsce, w które została uderzona kolbą karabinu, było coraz ciemniejsze, w tej chwili niemal purpurowe. Madison tępo patrzyła przed siebie. Sarah pomyślała, że Madison była bardzo dzielna, kiedy stanęła w obronie Annie. Twarz Kurinamiego również poznaczona była śladami zaciętej walki. Potrzeba było co najmniej sześciu żołnierzy KGB, by ostatecznie uległ napastnikom. Potem czterech ludzi trzymało go za nogi i ramiona, a piąty Rosjanin bił go w głowę i brzuch. Pilot miał teraz spuchnięte, zakrwawione wargi. Jego lewe oko było tak opuchnięte, że nie mógł go otworzyć, a przymknięte powieki były niemal czarne. Ale Sarah widziała, że Kurinami, tak jak i ona, cierpliwie próbował wyswobodzić się z więzów. Murzynka wystrzelała cały magazynek swojego pistoletu, a potem jak lwica rzuciła się z paznokciami na jednego z atakujących. Jednakże lufa karabinu przytkniętego do skroni ostudziła jej dzikie zapędy i zmusiła do poddania się. Sarah wzruszyła ramionami na wspomnienie tej sceny. Ludzie walczą na bardzo różne sposoby. Elaine również zmagiła się z krępującymi ją sznurami. - Michael! - szepnęła Sarah. Zdążyła już wypluć knebel. Elaine uparcie pocierała ustami po szorstkiej podłodze. Wargi kobiety krwawiły. Sarah znów się odezwała: - Jeśli John do tej pory się tu nie zjawił, musi to znaczyć, że Michael przeżył atak i John stara się utrzymać go przy życiu. W każdym razie lada moment możemy oczekiwać tutaj Paula lub Natalii. Murzynka nareszcie pozbyła się knebla i usiadła. Pokaszując wyszeptała: - Natalia... Ale ten szaleniec Karamazow... On jest... On jest jej... - Wiem, że jest jej mężem. John myślał, że już kiedyś zabił Karamazowa. Michael wszystko mi opowiedział. To nie ma jednak żadnego znaczenia. - Ja... ja nie myślałam... - Że ja lubię Natalię? Zauważyłaś więc, że jest zakochana w moim mężu. A John zakochany w niej. Nie sposób jednak pomijać faktu, że Natalia jest po naszej stronie. Karamazow już raz próbował ją zabić i prawie mu się to udało. To zwierzę. A poza tym, ona naprawdę kocha Johna. Jeśli by chciała tylko się mnie pozbyć, nie byłoby mnie tutaj. To ona przygotowywała szczepionki, które musieliśmy przyjąć przed snem narkotycznym. Pomogła Johnowi odnaleźć mnie i dzieci... Ona jest... Och... No cóż... Ona jest... W każdym razie, jeśli John dotąd tu nie przybył, to znaczy, że albo Paul, albo Natalia, albo oboje są już w drodze. Możemy jednak nie mieć czasu. - Sarah szarpnęła więzy, łamiąc przy tym i tak krótki paznokieć. Węzeł nie był już taki ciasny, jak przedtem. - Możemy nie mieć dość

czasu, żeby na nich poczekać. Musi już być ranek.

- Sarah Rourke zaczęła rozplątywać następny supeł. Nie miała pojęcia, ile węzłów ma jeszcze do rozpracowania. Nie ustawała ani na moment. Uśmiechnęła się, jakby na przekór wszystkim wokoło. Rourke'owie nigdy się nie poddają.

ROZDZIAŁ XXXIV

• Rubenstein obserwował przyjaciela wychodzącego z namiotu. Rourke miał na ramionach szelki, do których przymocowana były dwie kabury jego bliźniaczych detoników, na prawym biodrze wisiała kabura, w której nosił sześciostrzałowego pythona, do pasa Rourke przytroczył podłużną, skórzaną pochwę z nożem "Gerber MKII". Nie wiadomo dlaczego, Paul poczuł, że powinien wstać. - Co z Michaeliem? - zapytał. - Jest bardzo słaby, ale na to już nic nie mogę poradzić. Zrobiłem wszystko, co w mojej mocy. Nie mogę oddać mu więcej swojej krwi i nie stracić sił. To, że Karamazow nie zniszczył aparatu radiowego, oznacza, iż chce, żeby flota "Projektu Eden" podeszła do lądowania. Potem jego śmigłowce zestrzelą promy tuż przy ziemi. Dlatego nie zaatakował ponownie. Jestem prawie zdziwiony, że nie zburzył za nas obu wiaduktów, żeby przyspieszyć całą sprawę. Wie przecież, że muszę to zrobić. A ja nie mam zamiaru marnować czasu. Biorę maszynę i ruszam w drogę. - Ostatnie zdanie Rourke wypowiedział niemal szeptem. Zapalił cienkie cygare. Założył ciemne okulary. - Zburzę wiadukty pociskami. Potem wezmę jedną z półciężarówek ukrytych w podziemnym magazynie. Spróbuję wyciągnąć Sarah, Annie i Madison z rosyjskiej bazy i wyrwać Natalię z rąk Karamazowa. Ty oczyścisz spychaczem lądowisko z gruzów i pokierujesz lądowaniem "Edenu". Przed chwilą nawiązałem kontakt z kapitanem Doddem i powiedziałem mu, co się tu wydarzyło. Oni ze swej strony, zawiadomili mnie o obecności jakichś ludzi w Alabamie. Może to inna grupa Rosjan. Nie wiem, co o tym myśleć. Na razie nie mogę się tym przejmować. Promy muszą wylądować. Im wcześniej je tu sprowadzimy, tym lepiej dla Michaela. Sarah ma tę samą grupę krwi, co on. Tak samo Annie. Cokolwiek się wydarzy, musimy dać chłopcu szansę. Rubenstein spojrzał przyjacielowi w oczy. - Chciałbym jechać z tobą. - Ja też chciałbym, żeby to było możliwe. Ale to, co masz tutaj do zrobienia, jest o wiele ważniejsze. Ja muszę po prostu skończyć coś, co zacząłem pięćset lat temu. Gdybym wtedy dobrze celował, nie mielibyśmy dzisiaj tych wszystkich kłopotów. Karamazow powinien być zginąć. Zrobiłem błąd, że tego lepiej nie zaplanowałem. - Rourke z uwagą przyglądał się końcowi swojego cygara. Paul nie spuszczał wzroku z Johna. - Ale to już się nie powtórzy.

- Amerykanin pomaszerował w stronę helikoptera.

ROZDZIAŁ XXXV

Dziewczyna weszła do namiotu. Siedzący za biurkiem Władimir Karamazow zaczął się jej przyglądać. To trwało całe dziesięć minut. To znaczy tyle wypadło z jej cichych obliczeń, bo swojego rolexa zostawiła w obozie wraz z innymi rzeczami, które mogłyby się przydać Annie albo Madison. W końcu podniósł leżący na biurku pistolet i cicho powiedział: - Rozbieraj się, Natalia. Zamknęła oczy i powoli zaczęła zdejmować z siebie kolejne części ubrania. Wiedziała, że pułkownik lubił takie widowiska. Ściągnęła już buty oraz czarne, skórzane rękawiczki. Leżały na podłodze obok niej, a zaraz potem rzuciła tam też jednoczęściowy kombinezon. Zachwiała się, kiedy ściągała pończochy. Nie miała teraz na sobie nic poza koronkową bielizną z beżowego jedwabiu. Wolno zsunęła z ramion jedno, później drugie ramiączko. Odśloniła piersi, brzuch i biodra. Karamazow zadrżał. Widział ją teraz nagą. Wokół stóp miała jeszcze przez chwilę krąg błyszczącego jedwabiu, ale zaraz z niego wyszła. Otworzyła oczy. - Dlaczego przyszłaś tu z własnej woli? - zapytał pułkownik. - Żeby móc zbliżyć się do ciebie na tyle, żebym mogła cię zabić i skończyć to wszystko. - Nawet za cenę własnego życia? Nigdy już nie zobaczysz tego Johna Rourke, Natalia. - Wiem, że za cenę mojego życia. Są rzeczy ważniejsze od życia, Władimir. - Racja. - Karamazow nagle się ożywił. Uśmiechnął się. W jego oczach Natalia ujrzała błysk szaleństwa. Takim samym wzrokiem patrzył na nią wiele lat temu, tej nocy, której pobił ją niemal na śmierć. - Na przykład, o wiele bardziej niż życie, cenię sobie przyjemność. Przez pięćset lat, nawet kiedy spałem, wiesz, o czym śniłem? Przez te wszystkie lata nie pragnąłem doczekać się większej przyjemności niż ta, którą przyniesie mi zniszczenie ciebie, rozdieranie twojego ciała, rwanie go kawałek po kawałku. Nie umrzesz tak szybko... Nie od razu. To by było bez sensu. Mam doskonałych fachowców, lekarzy, którzy utrzymają cię przy życiu mimo bólu. Chcę słyszeć, jak błagasz mnie o śmierć, a ja oczywiście, nie pozwolę ci umrzeć. To by wszystko zepsuło. Eksperymentowałem, odkąd się obudziłem. Z biczami, sztyletami, elektrodami, gorącym żelazem, ze wszystkimi narzędziami tortur. Wymyśliłem bardzo przydatne do tego celu urządzenia. Gdybyż tylko żyły na ziemi poza ludźmi jakieś zwierzęta... Ach, mógłbym zadać ci przy ich pomocy cierpienia, które naprawdę by mnie usatysfakcjonowały. Wierzę, że krzyczałabyś do utraty tchu. - Westchnął głośno i znów się uśmiechnął. - Ale to, co przygotowałem, powinno wystarczyć. Dla ciebie i dla tego Rourke'a. Jestem pewien, że tu przyjdzie po ciebie i po innych, kimkolwiek są. Wiem, że ten, którego zostawiłem w obozie, to jego syn. Tylko bliźniaki albo ojciec i syn mogą być do siebie tak podobni jak ci dwaj. On też zabawiał się z komorami kriogenicznymi? Natalia skinęła głową. - Jedna z dwóch dziewcząt jest jego córką. Nie muszę teraz wiedzieć, która. Później mi to powiesz. A ta biała kobieta to legendarna Sarah Rourke, której John kiedyś szukał. Osobiście ją

wypróbuję i powiem ci, jak wypadasz w tym współzawodnictwie, kochanie. Z córką jego zrobię to samo, rzecz jasna. A potem, jestem pewien, że wielu mężczyzn będzie chciało się nimi nacieszyć. I ciałem czarnej kobiety... To będzie nowość dla moich chłopców i niektórych dziewcząt. A Japończyk... No cóż, pozwolimy mu na mały pokaz. Jest bardzo dobry w sztuce walki, niech pokaże, co naprawdę potrafi. Na pewno się postara, będzie walczył jak tygrys. To może być nawet zabawne. Będziesz też mogła przyglądać się, jak żołnierze będą używać Sarah, córki Rourke'a i Murzynki. I tej drugiej dziewczyny... Byłbym o niej zapomniał. Jak ci się to podoba? Wreszcie po tygodniach dręczenia twojego ciała i twojej duszy, kiedy będziesz myślała o śmierci jak o zbawieniu, na sam koniec wymyśliłem coś genialnego. Będziesz umierać cudownie powoli. Pomoże ci w tym nasz klimat. Słońce świeci teraz coraz silniej. Zabiorę cię na szczyt wysokiej góry i tam wystawię cię na słońce. Twoje ciało zacznie płonąć i żywym mięsem odpadać od kości. Będziesz żyła z bijącym sercem na wierzchu. To będzie moja słodka zemsta! Dziewczyna oceniała dzielącą ich odległość. Jeśli nie zaatakuje pułkownika wystarczająco szybko, on ją zastrzeli. Jeśli jej się poszczęści, ona zabije jego. Wiedziała, że Karamazow wziął to pod uwagę. Skoczyła do przodu. Nie patrzyła na pistolet, który oficer podniósł gotowy do strzału. Chciała jednym ciosem karate zabić Karamazowa. - Giń! - krzyknęła, rzucając się do przodu. Nagle z tyłu usłyszała jakiś hałas. Poczowała silny ból w karku. Jej ciało zwiotczało. Karamazow odparował jej uderzenie. Potem potworny ból przeszył czaszkę dziewczyny. Jeszcze raz zawołała: - Giń!

- Potem ogarnęła ją ciemność.

ROZDZIAŁ XXXVI

John zmniejszył pułap lotu, schodząc nisko nad ziemię w kierunku wiaduktu, tak żeby móc strzelać spomiędzy potężnych podpór konstrukcji. Wiedział, że podmuch eksplozji odrzuci większość pozostałego gruzu daleko od drogi. Rourke zwolnił dwie rakiety. Jedna opuściła lewą burtę kadłuba helikoptera, zaś druga - wyrzutnię w ogonie. Poszybowały w stronę przeciwnych przeseł wiaduktu. Wstrzymał oddech i zaczął liczyć. Doliczył do trzech, a ciągle nie mógł poderwać maszyny. Doszedł już do pięciu. W tym momencie przed i za śmigłowcem nastąpiły detonacje. Helikopterem targnął podmuch eksplozji. Przez chwilę nie działał żaden system sterowniczy. Ogon śmigłowca zakręcił szaleńczego młynka, ale w końcu Amerykanin odzyskał pełną kontrolę nad maszyną, choć ciągle był niebezpiecznie blisko powstałej przy wybuchu kuli ognia. Kula bryzgała w niebo kawałkami gruzu i fragmentami konstrukcji wiaduktu. Rourke czuł ciepło buchające z nadtopionego pleksiglasu czy też nowocześniejszego odpowiednika tego tworzywa, z którego wykonana była obudowa kabiny pilota. John tylko raz szybko spojrzął za siebie. Z wiaduktu nie pozostał kamień na kamieniu. Doktor skierował się teraz w stronę drugiego wiaduktu dokładnie nad powierzchnią drogi. Sprawdzał jej stan, bo tędy właśnie miały podchodzić do lądowania czekające na orbicie promy. Radziecki helikopter był bardzo zwrotny. Pilot zredukował prędkość maszyny i przygotował do odpalenia dwie kolejne rakiety. Konstrukcja wiaduktu, do którego zmierzał, nie była mu całkiem obca, miał wrażenie, że widział ją kiedyś w swoich snach. Bolała go głowa. Ilość krwi, którą oddał synowi, dwukrotnie przekraczała dopuszczalny, obojętny dla zdrowia ubytek. Jego ręce były sztywne i reagowały bólem na najmniejszy ruch palców. Ale John wciąż potrafił nacisnąć spust. Ciągle mógł zabić Karamazowa. Tym razem nie spudłuje. Drugi wiadukt. Rourke wystarczająco się do niego zbliżył. Sam sobie w duchu wydał komendę: "Ognia!", a jego dłonie posłuchały i zwolniły blokady rakiet. Natychmiast poderwał śmigłowiec do góry, a w chwilę potem powietrze za ogonem maszyny zadrzało od następnych wybuchów. Rourke mocno przechylił helikopter na lewą burtę i wykonał zwrot o sto osiemdziesiąt stopni. Przekonał się, że drugi wiadukt, tak jak i pierwszy, przestał istnieć. Z daleka mógł zobaczyć, że Paul nie tracił czasu i już zabrał się do usuwania gruzu. John ponownie skręcił w lewo i zaczął podchodzić do lądowania. Przez jakiś czas muskał płozami pustynię wzdłuż drogi, zdmuchując wirnikiem resztki piachu z nawierzchni lądowiska. Wszystko, co zabierał na swoją wyprawę - dwa detoniki scoremastery, trappera, scorpiona Sarah, scoremastera Annie, oraz inne przedmioty należące do Elaine, Kurinamięgo i Natalii - zgromadził wcześniej w półciężarówce. Rourke zamknął oczy, przywołując w pamięci obraz Władymira Karamazowa. - Zginiesz, skurwysynu!!

Tylko o tym mógł teraz myśleć.

ROZDZIAŁ XXXVII

- Sarah nie przestawała zмагаć się z pętami na swych nadgarstkach, niestety, bezskutecznie. Spojrzała na Elaine. Murzynka wzruszyła ramionami. - Nie dam rady... Sarah spojrzała teraz na Japończyka. Od dwudziestu minut Akiro Kurinami nieruchomo kuczał przy swoim słupku. Miał szeroko otwarte oczy. Zachowywał się jak w transie. - Akiro... - zaczęła Halwerson. Ale porucznik ani drgnął. Sarah uważnie obserwowała pilota. Napięte mięśnie jego nóg, ramion i klatki piersiowej ostro zarysowały się pod białym, przybrudzonym kombinezonem lotnika. Plakietka NASA na rękawie skafandra była do połowy oderwana. Oddychał głęboko i coraz szybciej. Dziko wyszczerzył zęby, jak gdyby zamierzał przegryźć chustkę krępującą mu usta. - Akiro... - Nie! - przerwała Murzynce Sarah. - Jeden z przyjaciół Johna jeszcze przed Nocą Wojny nazywał to "zbieraniem up-ji". - Co to? - Koncentruje w tej chwili całą swoją energię, całą siłę... - Żeby pozrywać na sobie wiążące go liny? - Nie sądzę. Poczekajmy - odparła Sarah. Twarz Japończyka zbladła. Sarah zastanawiała się, czy to możliwe, żeby człowiek kontrolował swoje krążenie krwi. Powieki mężczyzny zaczęły drżeć. Wyglądał, jakby za chwilę miał stracić przytomność. - Akiro... - Elaine nie wytrzymała. Jej szept był dużo głośniejszy niż przedtem. Japończyk zaczął drżeć i wyprężył się. Z gardła mężczyzny wydobył się niemal zwierzęcy charkot. W końcu udało mu się wyrwać kołek, do którego był przywiązany. Kiedy porucznik upadł na ziemię, Murzynka zobaczyła, że nadgarstki pilota bardzo krwawią. Dłonie wciąż miał kurczowo zaciśnięte na drewnianym paliku. Spojrzał na Elaine. Sarah uśmiechnęła się do niego. - Chcesz, żebym zajęła się twoimi więzami i użyła do tego swoich zębów? Kurinami, ciągle zakneblowany, coś wybełkotał. Sarah znów się uśmiechnęła. - Musisz się do mnie zbliżyć. Elaine, zajmij się swoimi supłami, szybko.
- Kurinami przyczołgał się pospiesznie. Sarah miała nadzieję, że wśród załogi "Projektu Eden" znajdzie się jakiś dentysta. Bez zbędnych ceregieli zaczęła przegryzać sznur, którym związano nadgarstki Japończyka.

ROZDZIAŁ XXXVIII

- Okazało się, że jeden z helikopterów ma awarię. Właśnie kończono wymianę filtra indukcyjnego i Sturm zgodził się ze Standartenfuhrerem Mannem, że skoro dotąd nie natrafili na najmniejszy opór, nie ma potrzeby się spieszyć. Podróż z Argentyny była naprawdę uciążliwa. Helmut Sturm siedział przy małym, składanym stoliku. Z jego prawej strony usiadł Zygfryd, jego szwagier. Nad pustynią wznosiły się wzbite lekkim wiatrem tumany piachu. - Helmut... Te samoloty... Myślisz, że to Amerykanie? - Lecą przed nami. To, czy uciekają przed nami, to już inna sprawa. Ale czy to Amerykanie? Nie, nie sądzę. Według mnie to Rosjanie. Nasi odwieczni wrogowie. Mann zrobił bardzo mądrze, wysyłając za nimi brygadę pościgową, która ustali cel lotu sowieckiej eskadry. My w tym czasie możemy tutaj odpocząć i przygotować się do regularnego uderzenia. Łatwo ich potem zniszczymy, zetrzemy w pył. Nie. To nie Amerykanie pilotują te samoloty. To Rosjanie. Wszystko idzie po naszej myśli. Pokonamy ich i podbijemy zajmowany przez nich obszar. Popatrzył na Zygfryda, który z wyraźną satysfakcją skinął głową. Helmut położył mu rękę na ramieniu i wstał. - Dobrze będzie znów wyruszyć, prawda, Zygfryd? - Tak, Helmut. Żeby zdusić naszych wrogów i zostać jedynymi zwycięzcami. Brat Heleny był od niego dużo młodszy i nie rozumiał do końca historycznej misji, którą ich naród miał do wypełnienia. "Zygfryd wciąż jeszcze się uczy" - pomyślał Helmut. Za to Sturm doskonale zdawał sobie sprawę z wagi powierzonego im zadania. Widział to w oczach swoich dzieci i dumnym spojrzeniu żony, kiedy jej dłoń dotykała nabrzmiałego nowym życiem brzucha. Nosila przecież w swym łonie przyszłego pana świata. Sturm założył czapkę. Uznał, że spacer po obrzeżach obozu, mały rekonesans, dobrze im zrobi. - Chodźmy, Zygfryd, przejdziemy się trochę...
- Szli obok siebie. Helmut Sturm oddał honory pełniącemu służbę wartownikowi. Niedługo powróci brygada pościgowa. Niedługo wszystko się zacznie...

ROZDZIAŁ XXXIX

Miejsce u szczytu stołu zajmował teraz Manfred. Tak było zawsze, kiedy mąż Heleny Sturm wyjeżdżał z domu, żeby wypełnić obowiązki oficera. Helena poczuła ruchy swego płodu. Właśnie oczekiwała na piąte dziecko. A może nawet będzie ich dwoje. Współczesna technika medyczna osiągnęła taki wysoki poziom, że w każdej chwili pomogłaby zdecydowanie potwierdzić albo zaprzeczyć domysłom pani Sturm. Można było już nawet poznać płeć dziecka na długo przed jego narodzinami. Helena jednak, tak samo jak kiedyś jej matka, wolała uczyć się swojego organizmu w sposób naturalny. - Mamo, mogę cię prosić o chleb? - Manfred uśmiechnął się do niej, spoglądając sponad talerza. - Oczywiście. - Wzięła mały koszyk z pieczywem i podała go najmłodszemu z chłopców. - Willi, obsłuż starszego brata. Nie bądź samolubem. W momencie, gdy Wilhelm odebrał koszyk z rąk matki, rozległo się bicie zegara. Popatrzyła przez całą długość jadalni. Zegar stał przy najodleglejszej ścianie. Było dokładnie wpół do pierwszej. Kiedy powróciła wzrokiem do stołu, napotkała bystre spojrzenie Manfreda. - O co chodzi, mamo? Jesteś jakaś niespokojna. Uśmiechnęła się z trudem. - Nie, to zupełnie nie to. Za piętnaście minut mam umówione spotkanie. Manfred, czy możesz przypilnować, żeby reszta kielbasy znalazła się potem w lodówce, chleb w pojemniku... - Dokąd idziesz, mamo? Oblizła wargi i popatrzyła na chłopca. Manfred wstał. Proste włosy opadły mu na czoło. Poprawił szarfę funkcyjnego Organizacji Młodych. Rękawy munduru miał wysoko zakasane, jak zwykle przy posiłku, ale były starannie podwiniete, tak że uniform nie tracił nic ze swojej oficjalności. - Ja... obiecałam spotkać się z panią Heider. Mamy razem zrobić zakupy. Nie chciałabym, żeby musiała na mnie czekać. - Zobaczyła, jak syn znowu się uśmiecha. - To dobrze, że szkoła posłała was na wakacje, kiedy twój ojciec i wielu innych musiało wyjechać. Twoja siła i odpowiedzialność są mi teraz bardzo pomocne, Manfred. - Dziękuję, mamo. - Chłopak znowu się uśmiechnął i sięgnął po kolejny kawałek wędliny. Wstała od stołu, Manfred również wstał. Wiedziała, że syn robi to ze szczerego szacunku dla niej. - Usiądź i skończ posiłek, wszystko wystygnie. W lodówce znajdziesz lody. Przypilnuj, żeby dzieci za bardzo się nie objadły. - Oczywiście, mamo. Przeszła przez pokój. Z małego stolika stojącego w przedpokoju wzięła szalik oraz torebkę i otworzyła portmonetkę, żeby sprawdzić, czy są w niej klucze i pieniądze. Były na swoim miejscu. Odwróciła się. Manfred, widoczny w głębi pokoju, wciąż stał i patrzył na matkę. Posłała mu uśmiech i pocałunek i zawołała: - Chłopcy, słuchajcie Manfreda! Szczególnie ty, Willi. Otworzyła drzwi i wyszła na korytarz. Kiedy zamknęła drzwi, oblana potem oparła się o ścianę. Sądziła, że to osłabienie ciążowe. Wyciągnęła chusteczkę. Idąc korytarzem w stronę windy, kurczowo przyciskała torebkę do nabrzmiałego brzucha i ocierała pot. Nadusiła guzik przywołujący windę. Parę sekund później dźwig nadszedł i drzwi

do kabiny samoczynnie się rozsunęły. Wcisnęła guzik poziomego handlowego. Ręką, w której ciągle trzymała chusteczkę, chwyciła się za poręcz. Przez szybę w tylnej ścianie windy zobaczyła samochód jadący sąsiednim dźwigiem w dół tak szybko, że - może z powodu ciąży - jego widok przyprawił ją o mdłości. W obecnym stanie bardzo często robiło jej się niedobrze z całkiem błahych powodów. Po przejechaniu czternastu pięter winda zatrzymała się. Kobieta weszła do holu centrum. Kroczyła przeszklonym tunelem, mijając kilkoro drzwi. Po drodze schowała chusteczkę do torebki. Uśmiechnęła się i skinęła głową znajomej, pani Doster, która dźwigała książki. Helena doszła w końcu do drzwi prowadzących do samego centrum. Fotokomórka zarejestrowała jej nadejście i połówki przegrody rozsunęły się bezgłośnie. Stała za drzwiami. Rozejrzała się wokół, potem narzuciła szal na ramiona i skręciła w prawo. Minęła szklaną elewację budynku mieszczącego kwatery wyższych oficerów i rzuciła okiem na odbicie swojej zniekształconej sylwetki. Poprawiła szal, który odchylił jej biały, marynarski kołnierz, automatycznie wygładziła materiał i szła dalej. Zbliżyła się do skrzyżowania. Musiała się zatrzymać. Wyraźny sygnał świecił ostrzegawczo: "Uwaga! Uwaga!" Potem kolor zmienił się z żółtego na zielony. Weszła na jezdnię. Przy pierwszym kroku spojrzała pod nogi. W butach na płaskim obcasie czuła się bardzo niska, ale noszenie butów na wysokich słupkach wywoływało u niej ból pleców, kiedy była w ciąży. Podniosła głowę. Odruchowo dotknęła brzucha. Dziecko znów się poruszyło, ale Helena nie uważała za stosowne robienie sobie masażu w miejscu publicznym, na samym środku ulicy. Już z chodnika kątem oka dostrzegła skierowane do niej pozdrowienie. To doktor Morgensturn, dentystka, machała jej z okna elektrycznego pojazdu stojącego na skrzyżowaniu. Helena podniosła rękę, żeby odwzajemnić jej gest, ale samochody ruszyły i nie była pewna, czy doktor Morgensturn to zauważyła. Kiedy szła przez centrum, wszędzie widziała transparenty, swastyki, dumne hasła o niemieckiej potędze i przyszłym zwycięstwie. Nagle posmutniała. Poczowała się trochę winna. Była w prostej linii potomkiem jednego z najślawniejszych oficerów SS. Skręciła w pasaż wiodący do wielkiego magazynu. Podeszła do jednego z bocznych wejść. Anna Heider już czekała na przyjaciółkę. - Przepraszam za spóźnienie, Anno - zawołała Helena z daleka. Oczy Anny wyraźnie zdradzały podenerwowanie. - Wybacz, proszę... - Już myślałam, że coś się... No cóż, z Manfredem, i w ogóle... - Nie. A gdzie Ewa? W środku? - Nie, nie przyszła... Jest i ona! Anna patrzyła gdzieś daleko. Niebieskie oczy pani Heider błyszczały z podniecenia. Helena spojrzała przez ramię. W ich stronę biegła Ewa Mann. Wysokie obcasy jej pantofli głośno stuknęły o płyty chodnika. Helena bezwiednie się uśmiechnęła. Przypomniała sobie, że kiedyś, zanim po raz pierwszy zaszła w ciążę, ona też nosiła takie krótkie, obcisłe sukienki. - Ewa! - Helena Sturm serdecznie uściskała dużo młodszą od siebie kobietę. - Helena, Anna. Chodźmy na zakupy. - Ewa pierwsza weszła do sklepu, pani Sturm tuż za nią. Każda z nich zaopatrzyła się w małą końcówkę komputera oraz wyświetlacz, po czym ruszyły w głąb najbliższego korytarzyka między rzędami półek i lad. - O! - krzyknęła Anna Heider. - Mój mąż nie cierpi sera "Cottage", to moja szansa. Helena patrzyła, jak wzrok Ewy przenosi się z pojemnika z serem na końcówkę trzymaną przez nią w lewej ręce. Prawą manipulowała przy wyświetlaczu, żeby odczytać dane zaszyfrowane w kodzie cyfrowym, którym oznakowany był każdy towar. W końcu kobiety poszły dalej. W dziale żywności śniadaniowej pierwsza zatrzymała się Ewa. Uważnie patrzyła na barwne opakowania. Po chwili powiedziała: - Mój mąż z dużą dbałością o szczegóły zreorganizował rozmieszczenie naszych sił. Twierdzi przy tym, że Trzeci Korpus jest niezawodny w co najmniej

dziewięćdziesięciu procentach, a na pozostałych dziesięciu procentach składu osobowego korpusu też w zasadzie można polegać. Helena Sturm oblizwała wargi. Zapomniała nałożyć na nie szminkę. Teraz odłożyła na bok końcówkę oraz wyświetlacz i zaczęła grzebać w torebce w poszukiwaniu pomadki. - W takim razie... kiedy? - Bez względu na okoliczności - odparła Ewa - Trzeci Korpus wróci tutaj na uroczyste obchody Dnia Zjednoczenia. I wtedy... - Ewa nagle umilkła, po chwili podjęła nienaturalnie głośno: - I wtedy powiedziałam mojemu mężowi, że ponieważ prawie nie bywa w swoim domu na śniadaniu, powinien pozwolić dzieciom decydować, co będą rano jadły. Jego matka bez przerwy zmusza je do jedzenia gorącej owsianki. Helena Sturm niezgrabnie kiwała głową, nie bardzo wiedząc, jak się zachować. - Już sobie poszły - oznajmiła konspiracyjnym szeptem Anna. Helena zerknęła przez lewe ramię. Mijające je przed chwilą kobiety, żony trzech znanych dygnitarzy partyjnych poszły do dalszych półek, nie zwracając na nie szczególnej uwagi. Ewa podjęła temat: - W Dniu Zjednoczenia... Wtedy właśnie wódz zostanie zamordowany, a Trzeci Korpus zaatakujący stacjonujący tutaj oddział SS. A kiedy to się stanie, Pierwszy i Drugi Korpus oraz Eskadra Kondora powrócą do Complexu, a następnie ogłoszą stan wojenny. Dopiero wtedy zacznie się też prawdziwa wojna. Ale po śmierci wodza i rozbrojeniu SS będziemy mieli przynajmniej kilka dni na opanowanie Complexu, a co najważniejsze, na przejęcie zgromadzonego tu sprzętu oraz wyposażenia. Helena zorientowała się, że Ewa Mann dziwnie na nią patrzy. - Martwisz się o Helmuta i Zygryda? - Helmut mnie zniechęca. Zygryd też mnie zniechęca. I Manfred na pewno też. - Helmut jest nazistą, ale to rozsądny człowiek. Poza tym cię kocha. Kocha ciebie i wasze dzieci - z uśmiechem powiedziała do niej Ewa. Poszły dalej. Helena przystanęła i nie mogła się zdecydować, czy kupić większe, pięćsetgramowe opakowanie z gotowym ciastem na naleśniki, czy mniejsze, zawierające tylko około trzystu gram koncentratu. Przyglądając się ekranikowi, mimochodem zerknęła na elektroniczny kalendarz. Do trzydziestego stycznia pozostało już naprawdę niewiele czasu. Helena poczuła, że ogarnia ją strach. Od wczesnego dzieciństwa potrafiła jednak odróżnić dobro od zła i to sprawiało, że bała się tego, co miało wkrótce nastąpić, ale nie wątpiła o słuszności swej decyzji. Wybrała większe pudełko. Być może straci swojego najstarszego syna Manfreda, ale Willi, pozostali dwaj synowie oraz dziecko, lub dzieci, które niedługo urodzi - oni wszyscy doczekają prawdziwej wolności.

- Pokrzepiona tą myślą, raźno ruszyła w stronę kolejnej półki.

ROZDZIAŁ XL

Znajdowała się w płytkiej skalnej niszy. Spod skalnego nawisu obserwowała padający deszcz. Padało już około godziny. Ciężkie krople rozpryskiwały się w rosnących kałużach. Natalia była naga, przykuta za ręce i nogi do skały. Jej ciało, pozbawione oparcia, ciężko zwisało przytrzymywane u góry w miejscach, w których jej ramiona zostały przytwierdzone do skały. Kiedy dziewczyna ocknęła się, wstrząsały nią dreszcze. Nie miała pojęcia, jak długo była nieprzytomna. Czuła dokuczliwy ból w plecach i karku. Związek z Johnem nauczył ją nigdy nie tracić nadziei. Przynajmniej była na tyle blisko męża, że mogła go zabić. Niestety, jeden z wartowników Karamazowa przeszkodził jej w wykonaniu zadania, które sama sobie wyznaczyła. Ale to jeszcze nie koniec. Ciągle była blisko pułkownika i знаła go wystarczająco dobrze, żeby spodziewać się, że znajdzie się jeszcze bliżej niego. A wtedy znajdzie w sobie dość siły, by zabić tego potwora. Usłyszała kroki i z trudem spojrzała w prawo. To był Karamazow. - A więc się obudziłaś... Doskonale! Przyszedłem, żeby ci powiedzieć, co cię czeka w najbliższej przyszłości. Pierwsze doświadczenie z pewnością dostarczy ci wielu mocnych wrażeń. Wrócę za dwie godziny. Rzecz w tym, że zanim znów cię wykorzystam, musisz zostać oczyszczona, także duchowo, ze wszystkiego, co pozostawiło w tobie współzycie z tym zepsutym Amerykaninem, Johnem Rourke'em. - On i ja? Nigdy! - Tak, wiem. Już mi o tym mówiłaś. Ale ja muszę być tego pewien. Wybrałem do tego celu niezawodną metodę. Gorące żelazo. Po prostu wypalę w tobie wszystko, co mogłoby zaszkodzić mojemu zdrowiu. Sądzę, że i dla ciebie będzie to interesujące doświadczenie. Eksperymentowałem już kilka razy w ten sposób na kobietach z dzikich plemion, które jakimś cudem przetrwały i wędrują po Europie. Ale te dzikuski więcej mają wspólnego ze zwierzętami niż z istotami ludzkimi i dlatego na podstawie ich zachowania trudno mi było właściwie ocenić efektywność tej metody. - Jesteś szalony, Władymir. Pozwól swoim jeńcom odejść. Potem będziesz mógł ze mną zrobić wszystko, na co ci tylko przyjdzie ochota. Roześmiał się. - Już teraz mogę robić z tobą, co tylko zechcę. A co do reszty: nie! Już ci mówiłem, że są mi potrzebni do dręczenia ciebie, twojego sumienia. Będziesz musiała być świadkiem odzierania z wszelkiej czci żony i córki Rourke'a, tej drugiej dziewczyny oraz Murzynki. Będą wykorzystywane i bite tak długo, aż znudzą się moim chłopcom. Nie będziesz mogła im pomóc. A teraz pora na pierwszy akt naszego przedstawienia. - Sięgnął pod czarną, skórzaną kurtkę i wyciągnął stamtąd małą apteczkę, z której wydobył strzykawkę. - Ciekawe, że nawet z największej katastrofy daje się potem wynieść jakieś korzyści. Mam tu na myśli roślinę, o której nigdy przedtem nie słyszałem. To prawdopodobnie mutant powstały w wyniku promieniowania po Nocy Wojny albo w wyniku zmiany warunków klimatycznych oraz wyjąłowania atmosfery. Wydaje mi się, że to rodzaj grzyba, ale weź

poprawkę na to, że nigdy nie uważałem się za eksperta w tej dziedzinie. W każdym razie właściwości tego specyfiku są zadziwiające. Natalia nie spuszczała wzroku z mężczyzny. Mimo chłodu, który ogarnął jej całe ciało, na górnej wardze poczuła kropelki potu. - Nawet niewielka dawka wywaru tej rośliny powoduje u człowieka coś w rodzaju schizofrenii paranoidalnej: całkowitą niezdolność do koncentracji i wszechogarniający strach, halucynacje, a potem wrażenie absolutnego wycieńczenia organizmu. I rzeczywiście, poddany eksperymentowi obiekt jest potem ruiną. - Uśmiechnął się, lekko naciskając tłoczek strzykawki. - Zastrzyk ten działa również rozkurczowo na wszystkie mięśnie. Zauważyłem, że twoja szyja jest raczej sztywna. To wkrótce przejdzie. Obawiam się, że będziesz musiała pozwolić twoim mięśniom rozkurczyć się bardziej niż byś sobie tego życzyła. Stracisz kontrolę nad wszystkimi czynnościami fizjologicznymi twego organizmu. Niestety, zrobi się przy tym mały nieporządek. Zanieczyścisz siebie i ścianę... Ale nie przejmuj się tym, zawsze możemy cię umyć przed następnym zabiegiem. Stąd też ta lokalizacja... Wybacz, zapomniałem cię za nią przeprosić na samym początku naszej rozmowy. Przynajmniej nie będzie ci przykro z powodu zanieczyszczonej podłogi. I pewne nieprzyjemne zapachy... Hmm... Szybciej rozejdą się na świeżym powietrzu. - Nienawidzę cię - szepnęła. - Ach, to muzyka dla moich uszu. I pomyśl tylko... - Poczowała dotyk igły na skórze lewego przedramienia. - ...Jeśli w tej chwili mnie nienawidzisz, co będziesz czuła po pewnym czasie? Próbowała wyrwać ramię, ale Karamazow siłą przycisnął je do skały i zatopił igłę w ciele kobiety. Potem się cofnął. Patrzyła, jak stoi przed nią i się śmieje. W następnej sekundzie poczuła nagły skurcz żołądka, a później jego zupełne rozluźnienie. Zaczęła się wypróżniać...

ROZDZIAŁ XLI

Rourke zniecka chwycił czarno ubranego radzieckiego wartownika. Krótkim szarpnięciem za głowę złamał mu kręgosłup. Ciało Rosjanina miękko osunęło się na skały. John pochylił się nad nieruchomym żołnierzem, podniósł jego karabin i usunął z niego magazynek. Cisnął bezużyteczną, zdekompletowaną broń na skały. Potem w zupełnie inną stronę wyrzucił zamek. Ostrożność i absolutna cisza byłyby teraz wskazane, ale doktor nie uważał ich za podstawowe warunki powodzenia jego akcji. Czas był dla niego najważniejszy. Swoją półciązarówkę zaparkował około mili od miejsca, w którym się teraz znajdował. Tutaj właśnie napotkał pierwszy sowiecki posterunek. Rourke podniósł swój karabin i ruszył naprzód. Dźwigał ze sobą dwie torby, jedną wypełnioną zapasowymi magazynkami, a drugą - po brzegi wypchaną bronią tych, których zamierzał uratować przed Karamazowem. Przez plecy Amerykanin miał przewieszony dwa automaty, a w rękach trzymał M-16. Nie zastanawiał się, czy uniesie dodatkowy ciężar. A był on tak wielki, że znacznie utrudniał wspinaczkę po skałach i teraz bardzo opóźniał marsz. Na szczęście John nigdy nie kierował się w życiu wygodnictwem. "Sarah, Annie, Madison, doktor Halwerson, porucznik Kulinarni" - myślał Rourke. - Natalia - szepnął. Zabierze ją stamtąd. I wszystkich innych razem z nią. Wkrótce z pewnością spotka następnego wartownika. Wkrótce znów będzie musiał zabić. - Jeden mniej do zabicia na później - westchnął, z coraz większym trudem łapiąc oddech.

ROZDZIAŁ XLII

Usta miała całe poranione od gryzienia linek, którymi związane Japończyka. Uwolniony Kurinami zabrał się do rozpracowywania więzów krępujących w kostkach nogi Sarah. Kobieta uśmiechnęła się, obserwując jego zapał. Ręce sama sobie uwolniła. - Mam je! - syknął Japończyk. Sarah Rourke przetoczyła się na plecy. Nie bardzo wierzyła, że zeszywniałe nogi uniosą jej ciężar. Skinęła głową. - Uwolnij Elaine. Ja zajmę się Madison. Ale najpierw zobaczę, co z Annie. Czołgając się na kolanach i łokciach, Sarah dotarła w końcu do najodleglejszego kąta namiotu. Jej córka oddychała teraz bardziej regularnie i wydawało się, że niedługo odzyska przytomność. Sarah nie usunęła chustki, którą Annie została zakneblowana, żeby po przebudzeniu dziewczyna nie zdradziła ich głosem. Sarah powiedziała do Madison: - Nie martw się. Z Michaelem wkrótce będzie wszystko w porządku. Jest dokładnie taki jak ojciec. To jego jedyny problem. A ty za kilka sekund będziesz wolna. - Usunęła knebel z ust dziewczyny. Głowa Madison opadła. Oddychała z trudem. - Powinam była więcej... - Próbowałaś - powiedziała Sarah, łamiąc kolejne paznokcie przy rozplątywaniu supłów Madison. - Jeszcze będziesz miała mnóstwo okazji, żeby się wykazać. Choćby wtedy, gdy będziemy się stąd... Usłyszeli krzyk. Kobięcy krzyk, ale już prawie nieludzki. Wiedzieli, kto krzyczał. Sarah rozpaczliwie walczyła z pętami. Nareszcie ręce Madison były wolne. Dziewczyna masowała nadgarstki. - Z nogami sama sobie poradzę. - Dzielna dziewczyna. - Kobieta, wciąż na kolanach, skierowała się w stronę córki. Annie otworzyła właśnie oczy. Sarah wyjęła jej knebel. - Annie! Nie rób żadnego hałasu. Jak się czujesz? - Co? - Kurinami zdołał się uwolnić na tyle, że mogłam mu rozwiązać ręce. Zaraz stąd uciekniemy. - Mam zamiar dopaść tego drania, który mnie uderzył. - Annie zakrztusiła się. - Kto cię nauczył tak mówić? Ojciec? Panienska w twoim wieku... - Nagle przypomniała sobie, że były teraz z córką niemal rówieśnicami. Krzyk się powtórzył. Bardziej przerażający niż cokolwiek, co Sarah słyszała w szpitalnym gabinecie zabiegowym, gdzie pracowała, zanim poznała Johna i potem, w szpitalach polowych podczas wojny. Krzyk. Straszliwszy od jęków konającego. Brązowe oczy Annie zrobiły się nienaturalnie wielkie. Spojrzała na matkę starając się rozplatać węzły.

- To Natalia - powiedziała Sarah. Jej głos był twardy, ale spokojny. - Wygląda na to, że jest gdzieś niedaleko.

• ROZDZIAŁ XLII

Tętno Michaela zaczęło spadać. - Cholera - zaklął Rubenstein. Wziął mikrofon do ręki i sprawdził, czy z radiem wszystko w porządku. - Paul Rubenstein do "Edenu jeden". Ziemia do "Edenu jeden". Odbiór! Nie czekał długo na odpowiedź. Niemal natychmiast odezwał się znany mu głos: - Tu Jeff Styles. Jestem oficerem naukowym. Proszę minutę poczekać, panie Rubenstein. Zawołam kapitana Dodda. Odbiór! Rubenstein pospiesznie wcisnął guzik mikrofonu, - Niech pan go sprowadzi naprawdę szybko. Większa część lądowiska jest oczyszczona. Przynajmniej jeden prom może lądować w każdej chwili. Mam tu umierającego człowieka. Potrzebuję pomocy lekarskiej i krwi. I to jak najszybciej. Odbiór! - Idę do kapitana. Proszę czekać. Odbiór! Paul wstał i dużymi krokami zaczął chodzić po namiocie. Nie oddalał się przy tym zbyt od radia. Już tylko mniej niż milowy odcinek drogi pozostał do oczyszczenia z piachu i należało uprzątnąć już tylko jeden filar mostu. Piachu nie było dużo i filar też nie był ciężki. Gdyby choć jeden z promów znalazł się na ziemi we właściwym czasie, Michael byłby uratowany, Paul był tego pewien. Usłyszał trzaski, a zaraz potem głos dowódcy promu: - Dodd do Rubensteina. "Eden jeden" do Ziemi. Proszę się odezwać, panie Rubenstein. Odbiór! Paul szybko podniósł mikrofon. - Tu Rubenstein. Muszę tu mieć na dole co najmniej jeden z waszych wahadłowców w ciągu najbliższych kilku godzin. Rourke wyruszył, żeby ratować swoich bliskich, Kurinamiego i doktor Halwerson z rąk Rosjan. Puls Michaela słabnie i jego ciśnienie jest coraz niższe. John nauczył mnie kiedyś, jak to sprawdzać. Młody Rourke potrzebuje lekarza i krwi. I to szybko. Albo go stracimy... Odbiór! Głos Dodda: - Panie Rubenstein, Jeff Styles poinformował mnie o stanie lądowiska. Czyste? Odbiór! - Prawie. Dwie godziny pracy u jednego końca wyznaczonego odcinka i będziecie mieli najbardziej gładkie lądowisko, jakie kiedykolwiek widzieliście. Odbiór! - W takim razie wkrótce się zobaczymy. Rozumiem konieczność pośpiechu. Rozumiem też, że możemy się spodziewać sowieckiego ataku. Odbiór! - Mam tu kilka karabinów i helikopter pozostawiony przez doktora Rourke'a. Mogę pobawić się z Rosjanami w chowanego. Góry świetnie się do tego nadają. Jeśli nie wylądujecie, umrze syn człowieka, który ryzykował życie swoje i całej swojej rodziny, żeby wam pomóc. I nie chcę wysłuchiwać jego wymówek, że was nie sprowadziłem. Odbiór! - Panie Rubenstein, jeśli doktor Rourke walczy teraz z Rosjanami, znaczy to ni mniej, ni więcej tylko to, że robi coś, co zdaje się ominięło nas kilka wieków temu. Mam na myśli nas wszystkich... No cóż, tym razem chyba nie przepuścimy podobnej okazji. Jestem jedynym pilotem w naszej misji, posiadającym jakiegokolwiek doświadczenie bojowe. I wiem, jak pilotować śmigłowce. Robiłem to przez jakiś czas w Wietnamie w warunkach tak szczególnych, że nawet człowiekowi w pańskim wieku trudno by było to sobie wyobrazić. "Eden jeden" podejście do lądowania i natychmiast zabezpieczy obszar całego lądowiska. Następne promy będą mogły potem wylądować o wiele bezpieczniej. Proces opuszczania orbity rozpocznę za dwie godziny. Za niecałe trzy godziny powinienem być już na Ziemi. Aha, a co do tych innych sił powietrznych, których sygnały zarejestrowaliśmy w Ameryce Południowej: okazuje się, że to też śmigłowce. Powinny wkrótce przelatywać nad waszym terytorium, niedawno wystartowały z Alabamy. - Dzięki! Bez odbioru. -

”Eden jeden” wyłącza się. Paul odłożył mikrofon i podszedł do Michaela. Chłopak gorączkował, co mogło oznaczać, że wywiązało się zakażenie.

- Rubenstein, nie chcąc tracić czasu i nie umiając w żaden sposób pomóc przyjacielowi, wypadł z namiotu i pobiegł w stronę spychacza. Musiał jak najprędzej dokończyć oczyszczanie lądowiska i przygotować stanowiska broni maszynowej. Miał jeszcze mnóstwo do zrobienia. Biegł najszybciej, jak potrafił.

ROZDZIAŁ XLIV

Coś, co pełzło po lewej piersi Natalii, uważnie przypatrywało się dziewczynie. Było podobne do węża, tylko miało nogi, dwa małe rogi na głowie oraz czerwone oczy, zupełnie podobne do oczu Władymira. Wiedziała, że krzyczy, ale ciągle powtarzała sobie, że wszystko, co się z nią dzieje, nie jest prawdziwe. A jednak naprawdę krzyczała. Jej krzyk musiał być prawdziwy, bo czuła przecież na swej skórze dotyk niezliczonej ilości małych odnóży. Wrzeszczała na potworną istotę, żeby ta się zatrzymała, żeby dała jej spokój, ale stworzenie nie zwracało na nią uwagi. W końcu zaczęła wołać na stwora już tylko po imieniu: - Władymir! Nagle na jej prawej piersi pojawił się drugi stwór. Ten był podobny do Johna Rourke. Drogi obydwu kreatur się skrzyżowały. Potwory zwały się w szaleńczej walce i naraz ten z prawej strony też upodobił się do Karamazowa, a potem zniknął; druga kreatura też przepadła. Natalia spojrzała w dół, na skały, na szczycie których została przywiązana. Między kamieniami pełzały węże i ropuchy i było ich coraz więcej, wypełzających z jakiegoś bagna czy lawy spływającej między nogami dziewczyny. Gad o twarzy Władymira znów się zbliżał. Pełzł coraz wyżej, aż uczeplił się wewnętrznej strony prawego uda Natalii. "To" cały czas śmiało się przy tym zupełnie tak samo, jak pułkownik. Wszystkie węże patrzyły na nią i też się z niej śmiały. Ropuchy włożyły jedna na drugą, jakby układały się w żywy łańcuch. A raczej tworzyły obrzydliwą drabinę, której "czubek" dotknął w końcu nagiej stopy kobiety. Natalia krzyczała rozpaczliwie. Stwór o twarzy Karamazowa dotarł już do wewnętrznej strony jej prawego uda, cały czas śmiejąc się głośno. Czuła śluz pokrywający jego koszmarne ciało, pozostawiający na jej nodze wilgotny ślad. - Pomocy! Kreatura była coraz wyżej i wyżej. Wtem potwór wśliznął się do jej wnętrza. Już nie mogła głośniejsz krzyczeć, gardło miała ściśnięte. Zaczynała się dusić. Stwór już cały był wewnątrz niej i teraz słyszała ohydny śmiech dobiegający z jej łona. Tymczasem ropusza drabina wciąż pięła się w górę wzdłuż prawej nogi Rosjanki. Czyżby i one chciały jej wejść do pochwy?

I jakimś cudem Natalia mogła oglądać swoje wnętrze i widzieć, jak małe różki rozpalają się do czerwoności i jak płomień pochłania od środka jej ciało. Zaczęła krzyczeć. Okropna kreatura wypalała jej wnętrze i aż kztusiła się ze śmiechu, a nieszczęsna ofiara krzyczała, krzyczała, krzyczała...

ROZDZIAŁ XLV

Kurinami stał po lewej, a Annie po prawej stronie. Sarah spojrzała na Madison i Elaine. Potem uniosła pałatkę, zasłaniającą wejście do namiotu. Ostrożnie wyjrzała na zewnątrz. W tej chwili rozległ się kolejny krzyk. Po drugiej stronie obozowiska Sarah zobaczyła Natalię. Nawet teraz było w niej jakieś nieuchwytnie piękno. Kilku żołnierzy patrzyło na dziewczynę, inni starali się ją ignorować. Sarah z trudem odwróciła wzrok od umęczonej Rosjanki. Na lewo, w pobliżu centrum bazy i prowizorycznego lądowiska, na którym stało teraz kilka helikopterów, ujrzała dwóch mężczyzn. Byli uzbrojeni, ale karabiny mieli swobodnie przewieszane przez plecy. Domyślała się, że to wartownicy. Wolno zasłoniła wejście i szepnęła: - Tylko dwóch wartowników, każdy ma karabin. Dodatkowo uzbrojono ich w pistolety. To już cztery sztuki broni palnej. Jest nas pięcioro, ale Kurinami to samodzielna broń. Poza tym, przy karabinach zauważyłam bagnety... - Uczciwie ćwiczyłem "kata" z dwiema maczugami. Sprawdzę to teraz w praktyce... Sarah spojrzała na Japończyka, potem popatrzyła na Madison. - Te lekcje strzelania, które dawał ci Michael... Sądzisz, że potrafisz już posługiwać się karabinem? - Tak, matko Rourke. Chcę walczyć z tymi ludźmi. Dam sobie radę. - Dzielna dziewczyna. W takim razie jeden karabin dla ciebie, drugi dla mnie. Annie, ty weźmiesz pistolet, Elaine, ty też weźmiesz pistolet. - Niewiele wiem na temat broni. Umiem obchodzić się jedynie z coltem. - Może coś wspólnie wymyślimy... - Annie pospiesznie rozwiała wątpliwości Murzynki. - W porządku. - Sarah spojrzała na Madison. - Kiedy doliczę do trzech, chcę żebyś zaczęła wołać o pomoc, ale nie za głośno. Ma cię usłyszeć tylko tych dwóch żołnierzy, a nie cały obóz. Kurinami i ja będziemy gotowi na ich przyjęcie, a Annie i Elaine będą nas ubezpieczać. Sarah wzięła do ręki kołek, do którego przedtem przywiązano Japończyka. - Uwaga! Liczę do trzech. Bądźcie gotowi. - Sarah wysunęła lewy kciuk. - Raz. - Potem palec wskazujący. - Dwa. - A potem, po sekundowej przerwie, palec środkowy. - Trzy! Madison właściwie nie krzyknęła. To bardziej przypominało szloch. Dokładnie taki, o jakim myślała Sarah. - Pomóżcie mi! Och! Proszę! Boże! Ratunku! Sarah nie potrafiła powstrzymać śmiechu. "Ta dziewczyna będzie nieodrodną córką klanu Rourke'ów" - pomyślała. Sarah lekko się cofnęła, rękę uzbrojoną w kołek uniosła wysoko w górę. Trzymała palik jak sztylet. Kurinami przyczał się z boku. Poły namiotu rozsunęły się i do środka zajrzał młody Rosjanin. - Akiro! - syknęła Sarah. Pilot błyskawicznie wciągnął żołnierza do środka. Pchnął go na podłogę, przydusił do ziemi i jednym ciosem zmiażdżył żołnierzowi jabłko Adama. W tym czasie Sarah czekała na swoją ofiarę. Najpierw dostrzegła ruch pałatki. W szparze pojawiła się lufa karabinu należącego do drugiego wartownika. Sarah zatoczyła kołkiem szeroki łuk skierowany ku dołowi i wbiła palik w ramię żołnierza. Z otwartej rany pociekła krew. Mężczyzna właśnie wchodził do namiotu. Teraz Sarah kantem dłoni z całej

siły uderzyła go w twarz, tuż u podstawy nosa. Zrobiła po prostu to, co wiele razy widziała w wykonaniu innych. Zaskoczenie było całkowite. Wszystko odbyło się w absolutnej ciszy. Sarah zrobiła półobrót w prawo. Elaine Halwerson trzymała już zdobyczny pistolet, a Annie rozbijała leżącego Rosjanina. Sarah zarzuciła sobie pas karabinu na ramię i zaczęła manipulować przy czymś, co wyglądało na regulator trzonu zamka. Znalazła bezpiecznik z selektorem. Nastawiła broń na ogień ciągły. Tak przynajmniej się jej wydawało, gdyż nie mówiła po rosyjsku. - Czy ktoś tu zna rosyjski? - Ja, trochę. - Porucznik uśmiechnął się skromnie. - Czy to znaczy "pociągnąć za spust"? - Pokazała pilotowi, o co jej chodzi. Kurinami roześmiał się. - Tak. O ile się orientuję... Sarah tylko skinęła głową. Kurinami dzierżył już bagnety, Annie - drugi pistolet, a Madison, cicha Madison, spokojnie trzymała w obu rękach przydzielony jej karabin i dźwigała pas z zapasową amunicją. - Gotowi? Najpierw idziemy uwolnić Natalię. Nie możemy jej tu zostawić - powiedziała Sarah. - Potem przebijemy się do lądowiska, wskoczmy do jednego z helikopterów, a porucznik Kurinami wyprowadzi nas z tego piekła. To nasza jedyna szansa. Podeszła do Annie i serdecznie ją ucałowała. - Bardzo cię kocham. Z kolei objęła wzruszoną Madison. - Ty też jesteś moja córka. Naprawdę was kocham. Ciebie i twoje dziecko. Madison nie mogła wydusić z siebie ani słowa. Sarah odwróciła się w stronę wyjścia. - Czy ktoś pomógł Elaine z jej pistoletem? - Tak, mamie - odparła Annie.

- - Zabijemy tych drani - szepnęła Sarah i wybiegła z namiotu, gotowa zginąć za swoją najgroźniejszą rywalkę.

ROZDZIAŁ XLVI

Natalia czuła, że cała drży. Koszmarne wizje zniknęły, ale to, co dziewczyna zobaczyła na jawie, było jeszcze gorsze. Przed nią stał Karamazow. W lewym ręku trzymał rozpalony do czerwoności bagnet. Nie opodal płonęło małe ognisko. W jego płomieniach rozgrzewały się końce dwóch innych bagnetów. One też zaczynały się już żarzyć. - To najpewniejszy sposób na oczyszczenie rany, moja droga - szepnął Karamazow. Zawstydzila się swojego zapachu i wyglądu. Ten wstyd był silniejszy od strachu. Jeszcze bardziej wstydzila się tego, że nie udało się jej zabić pułkownika i że zawiodła Sarah, Annie, Madison, Elaine oraz porucznika Kurinamiego. To wstyd, że próbowała ich uratować tak nieudolnie... Spojrzała mężowi w oczy. - Jeśli po śmierci istnieje jakiegokolwiek życie, wrócę z zaświatów i obrócę wniwecz twoje marzenia. Będę upiorem. Zadręcę cię na śmierć. Nie dam ci spokoju... Karamazow roześmiał się i zbliżył ostrze bagnetu do łędźwi kobiety. - Obawiam się, kochanie, że nie umrzesz tak prędko... Jeszcze się trochę pomęczysz! Poczwała ciepło bijące od rozgrzanego ostrza. Jedyne, co mogła teraz robić, to krzyczeć. Spojrzała w stronę bagnetu zbliżającego się do niej milimetr po milimetrze. Koniec ostrza dotknął już włosów kryjących łono Natalii. Wstrzymała oddech i jak mogła najbardziej przywarła plecami do skalnej ściany. - Mam przy sobie magnetofon, przygotowany do nagrywania. Pomoże mi to zapamiętać te piękne chwile do końca moich dni. Dziewczyna zamknęła oczy i zawołała:

Idź do diabła! Poczwała ciepło...

John Rourke trzymał pythona w obu rękach. M-16 był wygodniejszy, ale Amerykanin nie ufał celności karabinu. Byłoby mu łatwiej od razu zabić Karamazowa, ale nóż mógłby zdążyć zagłębić się w ciało Natalii. Musiał trafić pułkownika w rękę. Pewnie pociągnął za spust kolta. Pistolet lekko drgnął.

Natalia przestała krzyczeć. Jarzący się bagnet szerokim łukiem wyleciał z ręki szaleńca. Karamazow chwycił się za lewe przedramię. Rourke pognął w jego stronę. Padał ulewny deszcz. Doktor w biegu zastrzelił dwóch żołnierzy stojących po bokach Karamazowa. Potem wycelował w męża Natalii i strzelił. Wydawało się, że Rosjanin potknął się na skałach, poślizgnął, potem jednak wstał i zaczął uciekać. Nagle John usłyszał strzały. Do Natalii pozostało mu dwadzieścia pięć jardów.

- Sarah!

To rzeczywiście była jego żona. Karabin, który trzymała, bluzgał ogniem. Biegła od strony odległego krańca obozu. Tuż przy niej biegła Annie, a za nimi - Madison. Ona również strzelała z karabinu. Elaine trafiła właśnie nadbiegającego przeciwnika prosto w twarz. Japończyk Kurinami,

uzbrojony w dwa bagnety, kłuł, podcinał gardła, rozpruwał czarne mundury wrogów. Choć pozbawiony broni palnej, pozostawiał za sobą największe spustoszenie.

Karabin Sarah nagle zamilkł. Rosjanie gęstą tyralierą nadbiegali w jej kierunku. John spojrzał znów na Natalię, nie ustając w morderczym pędzie. Przez panujący wokół zgiełk przebił się pojedynczy głos. Głos Natalii:

- Kocham cię!

ROZDZIAŁ XLVII

Karamazow wycofał się i zniknął za plecami swoich żołnierzy. Rourke opróżnił cały magazynek pythona, strzelając do żołnierza chcącego zabić bezbronną Natalię. Uderzenia kul odrzuciły Rosjanina daleko od uwięzionej. Teraz John był tuż przy Rosjance. Wcisnął pythona do kabury, a z innego skórzanego pokrowca przy pasie szybko wyciągnął dużego gerbera.

- Obserwuj moje tyły, Natalia.

Szarpnął nożem za sznur wiążący jej lewą kostkę. Potem jeszcze raz, aż więzy nacięte przy pierwszej próbie opadły wokół jej stóp. Ciało Natalii raptownie się osunęło, kiedy Rourke zaczął manipulować ostrzem przy sznurze zaciśniętym wokół jej prawej kostki. Zawisła na rękach. John wstał i obejrzał się. Sarah i inni byli coraz bliżej. Uwolnił lewy nadgarstek Natalii.

- Oprzyj się o mnie.

Poczuł, jak dziewczyna obejmuje go za szyję. Prawy nadgarstek. Nareszcie Rosjanka była wolna. Dźwigał teraz na sobie cały jej ciężar.

- Jestem tak brudna... - szepnęła.

Rourke objął ją i mocno przytulił. Oderwał Natalię od wilgotnej, skalnej ściany, do której była przywiązana. Schował Gerbera i zdjął torby z bronią oraz amunicją. Zsunął z ramion dwa karabiny. Ściągnął kurtkę. Okrył nią dziewczynę.

- Ja... Ja próbowałam... - wyjąkała. - Prawie go miałam. Ale ktoś od tyłu uderzył mnie i kiedy się obudziłam...

- Później opowiesz mi wszystko. Teraz musimy się stąd wynosić. Popraw na sobie kurtkę.

- Jestem obrzydliwie brudna. Ja...

- Rób, co ci mówię.

- Ciągle mogę strzelać. Daj mi broń.

- Tak już lepiej.

John popchnął torbę w jej kierunku. Natalia była jednak bardzo słaba i musiała oprzeć się na łokciu. Annie, Sarah oraz reszcie udało się na moment zatrzymać Rosjan w stosunkowo bezpiecznej odległości. Z torby Rourke wydobyl małe pudełeczko - część apteczki. Już wcześniej zauważył maleńki ślad na lewym ramieniu dziewczyny i teraz ostrożnie, ale stanowczo przyciągnął jej lewe ramię bliżej. Otarł to miejsce tamponikiem sterylnej waty.

Potem wyjął z pojemniczka strzykawkę i zamierzał jej zrobić nowy zastrzyk, ale Natalia odruchowo cofnęła się.

- To przeciwko tężcowi, a później mieszanka "B", żebyś mogła utrzymać się na nogach.

- Władymir... Dał mi jakiś środek halucynogeny. To... To sprawiło, że widziałam straszne koszmary. Czuję je... Jakies potwory dostały się do mnie... Do środka... I...

Wielkie niebieskie oczy Rosjanki nagle pociemniały. Doktor przerwał jej w pół słowa:

- Zabiję go... To chodzący trup.

Zrobił jej pierwszy zastrzyk. Potarł tamponem skórę powyżej łokcia, wyszukał żyłę i po raz drugi

wbił igłę. Zgiął jej ramię, żeby przytrzymała świeży tampon. Lewy rękaw kurtki miała wysoko podwinięty. John schował apteczkę z powrotem do torby. Ciągłe klęcząc przy Natalii, sięgnął za siebie i podniósł z ziemi jeden z karabinów. Ustawił go na automatyczne działanie. Celną serią skosił kilku najbliższych Rosjan. Tymczasem pierwsza dobiegła do nich Sarah. Rourke zaczął właśnie wymieniać magazynek, kiedy usłyszał niespokojne wołanie żony:

- Michael! Co z nim?

- Żyje, ale konieczna jest transfuzja. Potrzebuję krwi, twojej albo Annie. Ja już oddałem mu, ile mogłem. Jakoś się trzyma. Paul go pilnuje...

- Rozumiem - przerwała mu Sarah. - Chcieliśmy uciec stąd helikopterem. Akiro jest przecież lotnikiem. Zamierzaliśmy przedtem uwolnić Natalię. Teraz ty możesz poprowadzić jedną maszynę, a Kurinami drugą.

Nieoczekiwanie Rosjanka wtrąciła się do rozmowy. Jej głos rozległ się niemal równocześnie z trzaskiem nowego magazynka wskakującego na swoje miejsce w M-16 Johna.

- Nie sądzę, żebym była w tej chwili dobrym piechurem, ale mogę pilotować któryś ze śmigłowców.

U drugiego boku Johna pojawiła się Annie. Nie przestawała strzelać ze swego steczkina.

- Tato, odwróć się na moment! Rourke spojrział na córkę.

- Co, u licha?

- Dam Natalii swoją halkę, żeby choć trochę się okryła. No, nie podglądaj.

Rourke skierował M-16 w stronę największego skupiska nieprzyjaciół. Kątem oka dostrzegł biel materiału.

- Pomóż jej, mamo.

- Podnieś się trochę. Pozwól, że cię w nią sama ubiorę. Oprzyj się o mnie. Do diabła z tym! Oprzyj się o mnie!

Rourke nie patrzył w stronę żony i Natalii. Patrzył na córkę, opuszczającą fałdy szerokiej spódnicy.

- Co, u licha, stało się z twoją twarzą?

- Kolba karabinu... Widziałam skurwysyna, który to zrobił...

- Nie mów tak. Kto cię tego nauczył?

- Zobaczyłam go zaraz po wyjściu z namiotu i strzeliłam mu prosto w głowę. Czuję się teraz doskonale. I mówię tak, jak chcę. Mam już prawie dwadzieścia osiem lat, pamiętasz?

- No cóż... - Rourke znów pociągnął za spust, pomagając Kurinamiemu opędzić się od atakujących Rosjan. - Wynośmy się stąd. Annie! Widzisz te torby? Rozdaj broń.

- Muszę pomóc Natalii podejść do helikopterów! - odkrzyknęła dziewczyna.

Doktor odwrócił się. Spojrział na Sarah i Natalię. Kochał je obie. Rosjanka wyglądała nieco dziwnie. Brązowa kurtka była zapięta z przodu na zamek i o wiele za duża. Spod kurtki wystawała biała halka Annie. Poza tym Natalia była ściśnięta w talii grubym, skórzanym pasem z dwoma kaburami na biodrach. Dziewczyna miała zapadnięte policzki i twarz skrzywioną grymasem bólu. Sarah ubrana była jak zwykle - w niebieskie dżinsy i wypłowiałą błękitną koszulkę. Włosy związała biało-niebieską chustką. Cierpliwie pomagała Natalii podnieść się z klęczek i stanąć na wyprostowanych nogach. Obydwie wyglądały teraz jak piękne kwiaty w zaniedbanym ogrodzie.

- Poczekajcie. Już wam pomagam! - zawołała Annie.

- Zajmij się bronią!

Wcisnęła torbę w lewą rękę Johna. Miała na sobie pas z kaburą na scoremastera. Sarah nie wypuszczała z lewej dłoni swego trappera scorpiona. W końcu Natalia wstała. Lewym ramieniem obejmowała Sarah za szyję. W prawej trzymała jeden ze swoich pistoletów. Rourke potrząsnął głową.

- Do diabła z babami!

Podniósł drugi M-16 i strzelając ruszył przed siebie. Po drodze rzucił torbę w stronę nadbiegającej Elaine.

- Twój pistolet i pistolet Kurinamiego są w środku razem z zapasową amunicją. Zajmij się tym.

Zerknął za siebie. Sarah, Natalia i Annie nie odstępowały Johna na krok. Elaine i Akiro ubezpieczali tyły. Japończyk w prawej ręce trzymał pistolet, ale z lewej dotąd nie wypuścił bagnetu.

- Gdzie, u diabła, podziała się Madison?

Ale zaraz potem Rourke sam ją zobaczył. Była w odległym krańcu obozu, uzbrojona w radziecki karabin. Zaciekle strzelała w stronę nacierających Rosjan.

- Ta dziewczyna gotowa jest zginąć. Razem z moim wnukiem!

- A jeśli to wnuczka? - krzyknęła Sarah, ale Rourke biegnąc prosto w stronę Madison, nie słyszał słów żony.

Nagle ogniki błyskające na końcu lufy karabinu Madison przestały się pokazywać. Padało coraz bardziej. Zerwał się silny wiatr. Doktor był już zmęczony szaleńczym biegiem, osłabieniem po wielogodzinnej operacji, którą zeszłej nocy przeprowadził na swym synu, i późniejszej transfuzji. Gdyby Sarah, Natalia, Annie oraz Madison nie były w niebezpieczeństwie i gdyby John nie musiał mieć dość siły na prowadzenie śmigłowca i zniszczenie wiaduktów, bez wahania oddałby całą swoją krew, żeby tylko uratować życie syna.

Zmusił się do jeszcze większego wysiłku. Madison usiłowała opędzić się od Rosjan kolbą karabinu. W końcu upuściła broń i jeden z atakujących rzucił się na dziewczynę. John był już jednak tuż za ich plecami. Otworzył ogień z obu karabinów jednocześnie. Kilku żołnierzy odwróciło się, ale tylko po to, żeby zobaczyć, z czyich rąk giną.

Magazynek obu M-16 były puste. Amerykanin szybko rzucił bezużyteczną broń na ziemię i lewą ręką walnął najbliższego żołnierza w szczękę. Wnętrzem prawej dłoni uderzył od dołu innego - tak jak zamierzył, trafił w podstawę nosa. Złamana kość wbiła się w mózg zaskoczonego przeciwnika.

Z kabur na biodrach wyszarpnął dwa scoremastery. Pociągnął za spusty. Dwóch następnych Rosjan osunęło się na ziemię. Rourke parł do przodu. Radziecki żołnierz podniósł karabin i kolbą zamierzał uderzyć klęczącą Madison. John widział jej jasne, mokre włosy, przyklepione teraz do gładkiego czoła. I szarpaną przez wiatr spódnicę. Podniosła obie ręce do góry. Ale nie prosiła o litość. Starła się tylko osłonić głowę. Rourke był dumny z synowej. Otworzył ogień do atakującego ją Rosjanina.

Madison patrzyła na Johna swymi niebieskimi, szeroko otwartymi oczami. Rourke stanął tuż przy niej. Podał dziewczynie M-16 i nie tracąc czasu, znów sięgnął po scoremastery.

- Zapasowe magazynki są w torbie - powiedział.

- Co? W torbie?

- Znajdziesz je w płóciennym woreczku.

Opróżnił magazynek pistoletu, który trzymał w prawej ręce, a w chwilę potem zamilkł również ten w lewej.

- Masz, te także załaduj. - Rourke położył pistolety na skałę, przy której klęczała dziewczyna.

- W porządku.

Spojrzał na nią, właśnie przeszukiwała torbę.

Tymczasem John sięgnął do kabur pod pachami. Najpierw prawą ręką do lewej, a zaraz później lewą do prawej. Błyskawicznie odciągnął blokady detoników.

W ostatniej chwili zastrzelił podbiegającego Rosjanina. Kątem oka dostrzegł rozbłyski innego karabinu. Po chwili następny z Rosjan padł ugodzony kulą doktora.

Rourke stał teraz wyprostowany. Madison klęczała tuż przy nim. Z obu pistoletów ogniem ciągłym strzelał do większej grupy nacierających. Nagle pistolety w jego dłoniach zamilkły. Były puste. Wsunął je za pas i sięgnął po M-16, żeby go załadować. Ale zaraz zdał sobie sprawę z tego, że nie zdąży. Zaczął osłaniać Madison swoim ciałem. Dwóch Rosjan było już niebezpiecznie blisko. W tej samej chwili usłyszał dochodzący z dołu warkot karabinu i ujrzał swój M-16, wielki w wątych ramionach dziewczyny. Obaj żołnierze padli niemal równocześnie.

- Twoje pistolety - wykrztusiła, podając mu załadowane scoremastery.

Rourke odebrał broń z małych rak Madison i natychmiast, otworzył ogień. Zaraz potem zawołał do dziewczyny:

- Uważaj, kochanie, trzymaj się blisko mnie!

Nie oglądając się, pobiegł przed siebie. Madison pędziła po jego lewej stronie. Deszcz zacinał coraz gęstszymi strugami. Wielkie krople spływały po ciemnych szklach okularów Johna. Ich ubrania, już i tak przemoczone, jeszcze mocniej przylgnęły do ciał.

- Dobrze, ojciec Rourke - odrzyknęła Madison, już w biegu.

Zerknął na jej poważną twarz i głośno się roześmiał.

- Tak, córko Rourke.

Celnymi strzałami zmiotł kilku następnych Rosjan. Ale wyglądało na to, że ludzie Karamazowa byli także zmęczeni walką. Czarni żołnierze rzucili się w stronę helikopterów. Nie uciekali jednak ani przed Rourke'em, ani przed Sarah i jej grupą. Rourke podniósł głowę i spojrzał w górę. Zachmurzone, szare niebo zaroilo się od obcych śmigłowców bojowych. Na ich czarnych kadłubach widniały znaki, których Amerykanin nie spodziewał się już kiedykolwiek zobaczyć: czarno-białe krzyże Luftwaffe.

ROZDZIAŁ XLVIII

Wolfgang Mann spojrział na swe dystynkcje. Nie był nimi zachwycony. Był co prawda pułkownikiem Wehrmachtu, ale w SS był zaledwie Standartenfuhrerem.

- Atakować Rosjan na ziemi i w powietrzu. Jeśli chodzi o innych walczących, bez mundurów, można próbować wziąć ich do niewoli, ale tylko wtedy, gdy nie będzie to groźne dla ich życia. Na razie nie ma się im przytrafić nic złego.

Skończył wydawanie dyspozycji i skoncentrował się na prowadzeniu helikoptera. Ostro skręcił w lewo i wyrównał maszynę w swym pierwszym regularnym ataku na komunistów. Potem powiedział do mikrofonu:

- Za mną! - Wprowadził pocisk do wyrzutni i dodał: - Strzelać do każdego celu, ale pamiętać o tym, co mówiłem na temat cywilów.

Pułkownik wcisnął guzik wyrzutni. Odpalił raketę. Mleczna smuga przecięła niebo. Startujący właśnie radziecki śmigłowiec zamienił się w żółtą kulę ognia. Szybko pracujące wycieraczkę przeszkadzały w kontrolowaniu sytuacji na zewnątrz maszyny, choć obraz za szybą i tak był niewyraźny za ścianą gęstego deszczu.

- Tu Mann. Chyba widzieliście, czego od was oczekuję. Poderwał maszynę, a reszta Eskadry Kondora podążyła w poszukiwaniu własnych celów.

Jeśli przeżył ktoś jeszcze poza Sowietami (Mann zakładał, że helikopter, który przed chwilą zestrzelił, był pilotowany przez Rosjanina), to mógł przyjąć, że byli to Amerykanie. Amerykanie ze swym odwiecznym umiłowaniem wolności. Mógł wykorzystać ich pragnienia dla swoich celów.

Na horyzoncie pojawiły się następne klucze śmigłowców i Mann zwrócił się do drugiego pilota:

- Przejmij stery na "trzy" - raz, dwa - są twoje - "trzy".

Helikopter lekko drgnął i opadł, by w następnej sekundzie znów się wznieść.

Mann pokręcił gałką radiostacji i powiedział do mikrofonu:

- Tu Standartenfuhrer Wolfgang Mann. Trzeci Korpus pozostanie w odwodzie, Pierwszy i Drugi Korpus, naprzód! Okazało się, że kilka kobiet i dwóch mężczyzn nieznanego pochodzenia prowadzi własną wojnę z Sowietami. Nie ma ich na razie spotkać żadna krzywda. Mają, o ile to będzie możliwe, zostać pojmani i oddani do mojej osobistej dyspozycji. Powtarzam: nie wolno ich zranić. Pierwszy i Drugi Korpus, do ataku!

Spojrzał na drugiego pilota.

- Przejmuję stery, teraz!

Mocno chwycił drążek, przechylił maszynę na lewą burtę i znacznie obniżył pułap lotu. Zaczął z bliska obserwować sytuację na ziemi. Przypuszczalnie Amerykanie wyraźnie kierowali się w stronę

trzech helikopterów stojących na skraju lotniska. Mann przeleciał tuż nad ich głowami. Jedna z kobiet wyglądała co najmniej dziwnie: jedyne, co miała na sobie, to męska kurtka i biała halka. Strzelała do niego z karabinu. Niemiec uśmiechnął się zadowolony. Kimkolwiek byli ci ludzie, potrafili walczyć!

ROZDZIAŁ XLIX

Kurinami pierwszy zdołał wznieść w powietrze zdobyczny helikopter. Miał na pokładzie Annie i Elaine. John wciągnął właśnie Madison do wnętrza drugiej maszyny i mógł widzieć Natalię zajmującą miejsce za sterami trzeciego śmigłowca. W jego otwartych drzwiach stała Sarah, strzelając do zdezorientowanych sowieckich żołnierzy.

Rourke zawołał do Madison:

- Schyl się! Spróbuj powstrzymać każdego, kto próbowałby przeszkodzić nam w wyrwaniu się z tego piekła.

Zaczął pospiesznie uruchamiać silnik. Popędzał w duchu wskaźniki temperatury i ciśnienia. Wysunął lufę pistoletu przez otwór wentylacji i na oślep zaczął strzelać w stronę nadbiegających Rosjan.

Wiedział, że pułkownik znów mu umknął. Ale wiedział też, gdzie go szukać. Karamazow z pewnością nie odmówił sobie przyjemności natychmiastowego rewanżu za niepowodzenie z Natalią. Zabrał tyle sił, ile mógł wycofać z walki z nazistami i poleciał do obozu przy drodze, żeby dobić Michaela i zabić Paula, żeby jak najszybciej dopełnić zemsty za wszystkie upokorzenia.

Rourke przygotował mieszankę paliwa. Wskaźnik RPM głównego silnika zbliżył się do wymaganego poziomu. Maszyna Natalii była już w powietrzu. Sarah przykucnęła w otwartych drzwiach helikoptera i ani na moment nie przestała strzelać.

- Trzymaj się, Madison. Zaczynamy nasz taniec, kochanie.

Rourke zaczął trząskać przełącznikami. Silnik pracował na wystarczająco wysokich obrotach i był dostatecznie rozgrzany. Amerykanin uruchomił komputer obsługujący stanowiska rakiet. Zablokował celownik elektroniczny i mógł teraz ręcznie naprowadzać rakiety na wybrane cele. Poczuli pionowy ruch maszyny. Oni też oderwali się od ziemi. Z jakichś powodów nazistowskie śmigłowce nie zaatakowały ani Natalii, ani Kurinamiego. John nie potrafił tego zrozumieć, ale poddał się tej regule i też nie zamierzał atakować nazistów, w pełni koncentrując się na wyszukiwaniu celownikami radzieckich helikopterów.

Wypatrzył jeden z lewej. Trafił od razu. Maszyna zniknęła, a na jej miejscu pojawiła się na niebie czarno-pomarańczowa kula. Deszcz odłamków mieszał się z wielkimi kroplami prawdziwej ulewy.

Rourke zadrżał z zimna. Był zupełnie mokry. Za plecami wyczuł bliskość Madison.

- Koc, ojcie Rourke.

Narzuciła mu koc na ramiona. Rourke już miał jej powiedzieć, żeby dziewczyna zatrzymała okrycie dla siebie, ale zamiast tego spojrzął na nią i odparł z uśmiechem:

- Dziękuję.

Pierwsze nazistowskie helikoptery transportowe zaczęły lądować na radzieckim lotnisku polowym. Wyskakiwali z nich niemieccy piechurzy. Inne maszyny wciąż krążyły nad lądowiskiem. Strzelanina nie ustawała. Niemcy przejęli inicjatywę bojową. Opór Rosjan słabł.

Ale daleko, na horyzoncie, Rourke wypatrzył co najmniej kilkanaście maszyn. Nie miał wątpliwości, że to Sowieci. Kierowali się dokładnie na południowy zachód, w stronę obozowiska.

John powiedział do mikrofonu:

- Natalia, Kurinami, odezwijcie się, jeśli mnie słyszycie. Odbiór!

- Słyszę cię, John. U ciebie wszystko w porządku? Odbiór!

- Tu Kurinami. Co u pana, doktorze?

- Wszystko w porządku. Te helikoptery, które właśnie zniknęły za horyzontem... Musimy je zatrzymać! To Karamazow. Leci w stronę naszego obozu. Chce dostać Michaela! Bez odbioru!

- Jak szybko możemy lecieć tą maszyną, ojczy Rourke? - zapytała Madison, zajmując miejsce w fotelu drugiego pilota.

Spojrzał na synową i uśmiechnął się.

- Zaraz się okaże, kochanie. Zapnij pasy.

Rourke wyciągnął cienkie, brązowe cygaro. Było wilgotne, ale zdołał je zapalić. Uniósł się z niego dymek o zapachu tłącego się sznurka - to dlatego, że było zbyt mokre.

Maszyna drżała, pracując na najwyższych obrotach. Zaciągnął się mocno.

Być może czekała go rozprawa z Karamazowem.

ROZDZIAŁ I

- Kapitanie Popowski, proszę przekazać reszcie eskadry, żeby jak najszybciej leciała w stronę obozowiska, ale potem niech zatrzyma się w odległości pięciu mil od obozu - powiedział Karamazow do siedzącego obok mężczyzny.

- Towarzyszu pułkowniku... Może w związku z obecnością wroga na tym obszarze...

Karamazow spojrział na mówiącego.

- Kwestionujecie słuszność moich poleceń, Popowski?

- Nie, towarzyszu pułkowniku, nie miałem zamiaru...

- Gdybym zabił jego syna, zacząłby mnie ścigać natychmiast po uwolnieniu mojej żony. Tak więc jego syn wciąż żyje. To dlatego Natalia przybyła do naszej bazy sama. W tym czasie Rourke i ten Żyd ratowali chłopaka. Ale tym razem go naprawdę zabijemy.

Karamazow zorientował się, że Popowski mruczy coś do siebie. Po krótkiej chwili kapitan obrócił się w jego stronę. Karamazow nie patrzył na niego. Spoglądał na ziemię albo przypatrywał się fontannie deszczu rozpryskującej się kuliście wokół wirnika helikoptera.

- O co chodzi?

- Towarzyszu pułkowniku, wiadomość z Podziemnego Miasta w sprawie "Projektu Eden". Jeden z sześciu promów zaczyna schodzić z orbity... Chwileczkę, jest tu coś więcej.

Karamazow znów spojrział na Popowskiego. Kapitan starał się zrozumieć komunikat radiowy.

- Towarzyszu pułkowniku, jeden ze statków "Projektu Eden", ten który kontaktował się z obozowiskiem Amerykanów we Wschodniej Georgii, wkrótce wylądaje. Ma to się odbyć w ciągu najbliższej godziny. Zarejestrowano łączność radiową.

- Dobrze. - Przerwał mu Karamazow. - Zniszczymy "Eden jeden" przy pomocy naszych śmigłowców bojowych, a dopiero potem zabijemy syna Rourke'a i tego Żyda. Później opuścimy lądowisko, połączymy się z naszymi odwodami i przygotujemy regularny atak na Rourke'a i jego ludzi.

- Ależ... ale, towarzyszu pułkowniku... czy naziści... Czy to nie ze strony nazistów grozi nam teraz największe niebezpieczeństwo?

- To ty zaczynasz wchodzić na niebezpieczny grunt, Popowski - powiedział surowo Karamazow i odwrócił się od niepokornego oficera. Zaczął studiować wzory rysowane na szybie śmigłowca przez rozbijające się o nią ciężkie krople deszczu. Gdyby wierzył w istnienie Boga, pomyślałby, że to Bóg płacze. Ale gdyby Bóg rzeczywiście istniał, to on, Karamazow, zamierzał właśnie dać mu prawdziwy powód do łez. - Szybciej! Nie możemy ani sekundę spóźnić się na to spotkanie, Popowski.

Potarł lewe, niedawno zranione przedramię. To następna rzecz, za którą Natalia i jej kochanek muszą mu zapłacić.

Słyszał, jak Popowski przekazuje rozkaz pilotom innych helikopterów. Ale nie przysłuchiwał się temu uważnie. Myślami był już zupełnie gdzie indziej.

ROZDZIAŁ LI

Paul pochylił się nad Michaelem. Chłopiec - Paul nie wiadomo dlaczego zawsze go tak nazywał w myślach, chociaż Michael był od niego trochę starszy - oddychał z trudem.

- Nie martw się, Michael. Oni wkrótce tu będą, a komandor Dodd ma tę samą grupę krwi, co ty i twoja rodzina. Oficer naukowy powiedział, że poradzi sobie z transfuzją. Będziesz żył, Michael. Masz żyć!

Paul wyprostował się. Nagle ogarnął go chłód. Szczelniej owinał się swoją brudną, zatłuszczoną od smarów kurtką.

- Będziesz żył... - szepnął. Potem znów pochylił się nad nieprzytomnym i poprawił koc.

Rubenstein odwrócił się, wziął do ręki schmeissera i wyszedł z namiotu. Deszcz zdecydowanie pogorszył warunki lądowania. Oczyszczona z piachu nawierzchnia drogi zrobiła się niebezpiecznie śliska.

Już wcześniej nastawił radio radzieckiego helikoptera na kanał umożliwiający natychmiastową łączność z "Edenem jeden". Teraz biegł w stronę śmigłowca, w strugach deszczu przeskakując największe kałuże, z głową wciśniętą w postawiony kołnierz. Wymontował z maszyny karabin maszynowy, ale w żaden sposób nie mógł wykorzystać wyrzutni rakiet.

W końcu się zdecydował. Często widział, jak John i Natalia pilotują śmigłowce i na pewno uda mu się wznieść maszynę w powietrze. Oczywiście, nie potrafił nią manewrować, nie miał najmniejszego pojęcia, jak później wylądować, ale chyba poradzi sobie z takim ustawieniem śmigłowca, żeby użyć w powietrzu wyrzutni. Gdyby umarł - tu pomyślał o Annie, która być może sama już nie żyła - gdyby umarł, dziewczyna z pewnością znajdzie sobie innego mężczyznę. Poczuł, że łzy napływają mu do oczu i mocno pociągnął nosem. Kochać ją było szaleństwem, ale był bezsilny wobec uczucia, które żywił do córki Johna. Ocalenie życia jej brata było dla niego o wiele ważniejsze niż własne bezpieczeństwo.

Musiał ocalić dwudziestu kosmonautów pogrążonych we śnie narkotycznym i członków załogi "Edenu jeden". Uratowanie tylu istnień ludzkich było o wiele ważniejsze niż bezpieczeństwo jednej, jedynej istoty.

Ani sekundę nie zatrzymał się w biegu do radzieckiego helikoptera. "Eden" był coraz bliżej Ziemi.

ROZDZIAŁ LII

Natalia Tiemierowna usiłowała opanować mdłości. Nie mogła znieść nieprzyjemnej woni swego brudnego ciała. Skrzyła helikopterem ostro w lewo, podążając śladem maszyny pilotowanej przez

Johna. Za nią leciał Kurinami, zamykając ich mały konwój w drodze na miejsce ostatecznej rozprawy z okrutnym pułkownikiem. Za wszelką cenę musieli powstrzymać Karamazowa przed zamordowaniem Michaela i Paula.

Sarah siedziała przypięta pasami do fotela drugiego pilota.

- Pamiętasz, co krzyknęłaś, kiedy John strzelił do twojego męża?

- Nie, nie sędzę. Co to było?

Spojrzała na Sarah, zazdroszcząc jej w tej chwili tego, że jest taka czysta.

- Zawołałaś do Johna: "Kocham cię!", dokładnie to. Natalia znów oderwała wzrok od instrumentów pokładowych i popatrzyła prosto w zielone oczy siedzącej obok kobiety.

- Więc dlaczego ty, Annie i cała reszta narażaliście się, żeby mnie uratować?

Zobaczyła, że Sarah uśmiecha się.

- Ty też chciałaś nas ratować, mam rację?

- To... to była moja wina. To przeze mnie dostaliście się w ręce Władymira. To wszystko...

- To nie była twoja wina. Przestań się obciążać cudzymi grzechami. Kochasz mojego męża i Karamazow, twój mąż, wie o tym. A Karamazow to bestia. Tym, czym jest teraz, byłby nawet bez ciebie i bez Johna. Nienawidzi was obojga, no i przy tym nas wszystkich, dlatego, że w ogóle tutaj jesteśmy. Być może powinnam cię nienawidzieć, bo John cię kocha i ty go kochasz, i ponieważ pozwolił dorosnąć naszym dzieciom tylko po to, żeby wydać cię za Michaela i w ten sposób wybrnąć z niezręcznej sytuacji. Może powinnam go kochać za to, że chciał odsunąć od siebie kobietę, której pragnął, tylko dlatego, żeby nie robić mi krzywdy. Nie mam pojęcia, jakie powinny być moje uczucia w stosunku do któregośkolwiek z was. W każdym razie, myślę, że jesteś w porządku, poza tym ciągłym obwinianiem się o wszystko. Zresztą, niewykluczone, że sama zachowuję się w ten sposób. No cóż, myślę, że jesteśmy do siebie trochę podobne. Gdyby role się odwróciły, ja też bym po ciebie przyszła.

Natalia nagle uświadomiła sobie, że już od dłuższej chwili nie patrzy na pulpit sterowniczy.

- A swoją drogą - mówiła Sarah - powinnaś się przebrać, jak tylko wylądujemy. Szkoda, że teraz nie widzisz siebie. Wyglądasz naprawdę zabawnie w tej halce Annie, wielkiej kurtce Johna i z bosymi nogami. - Sarah Rourke roześmiała się.

Natalia czując, że jej też chce się śmiać, wyszeptała tylko:

- Mnie też to bawi.

- Słucham?

- Czuję się raczej dziwnie - dodała głośnie. Spojrzała na siebie. Stopy i nogi miała całe w zaschniętym błocie. Halka przylepiła się do ud, a kurtka była tak obszerna, że Rosjanka wielokrotnie musiała podwinąć rękawy, żeby nie przeszkadzały jej w pilotowaniu. Nie zdołała powstrzymać wybuchu rozbawienia.

- Zabawne! - zawołała Sarah i Natalia śmiała się teraz razem z nią.

ROZDZIAŁ LIII

- Na mój znak wychodzimy z komunikacyjnej dziury wlotowo-wylotowej granicy faz! - zawołał Dodd.

- Moje przyrządy sprawdzone - odparł na to Craig Lerner.

- Poszycie kadłuba jest schłodzone do odpowiedniej temperatury - krzyknął Styles.

- Teraz! - Kiedy nacisnął guzik, zakłócenia były tak silne, że dowódca "Edenu" ledwo rozpoznał dochodzący przez radio głos Paula Rubensteina. Dodd uruchomił mikrofon.

- Jesteśmy z panem, panie Rubenstein. - Dodd spojrział na wskaźniki. - Wysokość: trzydzieści cztery mile. Prędkość: osiem tysięcy dwieście siedemdziesiąt, ale spada do niezbędnego poziomu. ETA: dwadzieścia minut. Jesteśmy skazani na wasze lądowisko. Porozmawiamy później! Bez odbioru.

Dodd studiował wydruki na ekranach monitorów zainstalowanych wokół pulpitu sterowniczego.

- Na mój znak włącz CRTS, Craig.

- Gotów do rozpoczęcia ostatecznego rozproszania energii końcowej! - zawołał Styles.

- Teraz! - krzyknął Dodd.

- Profil lotu wejściowego prawidłowy, kapitanie! - odkrzyknął Styles.

- Profil lotu wejściowego prawidłowy - powtórzył Dodd. - Szukamy pierwszego wyznacznika.

- Pierwszy zbiornik paliwa na lewo. - Styles roześmiał się.

- Dzięki! Robimy manewr "S".

- Manewr do pierwszego wyznacznika! - krzyknął Lerner.

- CRTS wygląda nieźle, kapitanie. Jeżeli zdążymy, zagramy jeszcze w jakąś grę komputerową.

- Już na Ziemi - odrzekł Dodd.

- Nie mów "na Ziemi", powiedz "po wylądowaniu"! - zawołał Lerner.

- Podchodzimy do pierwszego wyznacznika! - krzyknął komandor.

- Wygląda dobrze na CRTS, komandorze.

- Zrozumiałem, Jeff - powiedział Dodd. - Idealna trajektoria, jak dotąd.

- Proszę mnie tak dalej podtrzymywać na duchu - śmiał się Lerner.

- Wskaźnik orientacji w przestrzeni pokazuje lekkie odchylenie czołowe.

- WOP dokładnie na linii!

- Wskaźnik położenia poziomego sygnalizuje kierowanie nas nieco w prawo, tam gdzie powinniśmy się teraz znajdować - powiedział Dodd. - Oczekuję potwierdzenia, Jeff.

- Zdecydowane potwierdzenie na WPP. - To wyglądało jak lot symulacyjny.

- Skończcie z tym wreszcie, chłopaki. Wiecie, że zawsze denerwuję się przy lądowaniu - skarżył

się Lerner.

- Twój pionowy wskaźnik prędkości w porządku, Jeff?

- Jezu, ludzie! - przerwał mu Lerner.

Dodd studiował miernik Macha zamontowany na lewo od WOP i WPP.

- Na mój znak będziemy pięć minut od pierwszego wyznacznika - powiedział, przyglądając się CRTS. Ekran pokazywał ich położenie w najbliższej przyszłości. - Teraz! Pięć minut do pierwszego wskaźnika.

- Chłopaki! Zaczniemy pakować nasze szczoteczki do zębów. - Lerner roześmiał się.

- W porządku, niech tak będzie - wymamrotał Styles.

- Hamulec sześćdziesiąt pięć procent! - zawołał Dodd.

Komandor wszedł do cylindra. Robił to już kiedyś w symulatorze, a jeszcze wcześniej dwa razy przy lądowaniu statkami orbitalnymi. Co prawda, nigdy nie dowodził samodzielnie manewrem lądowania, przyjmując na siebie odpowiedzialność za korektę danych, ale tym razem uważał to za oczywiste. Nie było czasu na podziwianie krajobrazów i właściwą kontrolę przyrządów równocześnie. Poczul, że jego dłonie są mokre od potu. Pomyślał o Craigu Lernerze, swoim oficerze pokładowym i powiedział z naciskiem:

- Czy ktoś ma pod ręką ulotkę informacyjną? Zdaje się, że kilka minut temu o czymś zapomniałem.

ROZDZIAŁ LIV

Kapitan Popowski siedział na bocznym fotelu śmigłowca. Teraz zwrócił się do Karamazowa:

- Towarzyszu pułkowniku, "Eden jeden" najprawdopodobniej za pięć minut wyląduje na

przygotowanym specjalnie dla niego odcinku autostrady.

Karamazow krzyknął do pilota:

- ETA do obozowiska Rourke'a? Szybko!

- Towarzyszu pułkowniku, prawie cztery minuty.

- Towarzyszu pułkowniku - wtrącił Popowski - dowództwo przewiduje, że samo lądowanie od rozpoczęcia manewru lądowania aż do zupełnego zakończenia akcji, potrwa jakieś osiemdziesiąt sekund.

- Jeśli pilot pójdzie tym samym kursem, co oni i przyczepimy się im do ogona, będziemy ich mieli jak na strzelnicy. Popularna rzecz kiedyś w Ameryce. Próbowalesz, Popowski?

- Nie, towarzyszu pułkowniku... ja...

- To fascynujące.

Karamazow uniósł wymaginowany karabin i przyłożył go do ramienia, skierował wymaginowaną lufę przed siebie, w stronę wymaginowanego celu. Nie widział lejącego deszczu. Widział białą smugę, a na jej końcu mały kontur promu. Zmrużył oko i odszukał wymaginowany punkt centralny statku. Zgiął palec wskazujący.

- Pifl Paf! - zawołał. Spojrzał na kapitana. - Zupełnie jak na strzelnicy, Popowski. A potem, kiedy prom stanie w ogniu i będziemy pewni, że nikt z jego załogi nie wyjdzie z tego cało, zbombardujemy obóz Rourke'a. Zabijemy Michaela i Żyda Rubensteina. A na koniec zniszczymy naszymi pociskami nawierzchnię lądowiska. W ten sposób uniemożliwimy lądowanie pozostałych statków floty. A ci astronauty nie mają, o ile się dobrze orientuję, wyboru. Prawdopodobnie załogi statków zginą w zimnym Kosmosie. Pewnego dnia ciemne, nocne niebo rozświetli się wielką iluminacją pięciu promów wyrzuconych z orbity i płonących w atmosferze. Ostatni głupcy, którzy wciąż wierzyli w demokrację, spłoną wraz z nimi. A my zaczniemy polowanie na Johna Rourke'a, moją żonę, jego żonę i córkę, i drugą dziewczynę, czarną kobietę i Japończyka. Wytropimy ich i zniszczymy!

ROZDZIAŁ LV

Radio było nastawione na częstotliwość łączącą go z radiostacją na pokładzie "Edenu jeden". John mówił do mikrofonu:

- Tu Rourke, kapitanie, zgłaszam się. Odbiór!
- Doktorze, jestem trochę zajęty. Lądowanie w ciągu kilku najbliższych minut. Odbiór!
- Wiem o waszych planach dokładnie tyle, ile wy sami. Pilotuję jeden z radzieckich śmigłowców bojowych. Podśluchiwałem ich rozmowy radiowe. Jestem pewien, że Natalia i wasz porucznik, Kurinami, robili to samo w swoich helikopterach. Klucz liczący około ośmiu radzieckich maszyn szturmowych zamierza przeszkodzić wam w zejściu na Ziemię. Zaatakują za mniej więcej trzy minuty, czyli wtedy, gdy najłatwiej was będzie zestrzelić. Czy możecie zlikwidować zagrożenie? Odbiór!

Rourke znał odpowiedź, którą otrzyma. Brzmiała ona: nie.

- Powinien pan orientować się w obowiązującej nas procedurze, doktorze Rourke. Z pewnością potrafi pan sobie odpowiedzieć na to pytanie. Na pokładzie mamy sześć zapasowych M-16 i trzy pistolety. Szkoda, że nie możemy strzelać z nich przez otwarte okna, ale to naprawdę niemożliwe. Czy jest jakaś szansa, że nas po prostu nie trafią?

- Na to bym zbyt nie liczył, kapitanie. Lecimy do lądowiska z maksymalną prędkością. Paliwo wychodzi nam jak sto diabłów. No cóż, pomódlcie się trochę, jeśli znajdziecie na to chwilę czasu. Bez odbioru.

- Niech Bóg ma nas w swojej opiece, doktorze. Bez odbioru.

Rourke nie zmienił częstotliwości.

- Paul, odezwij się. Odbiór!

Przez kilka sekund trzaski, a potem głos Rubensteina:

- Słyszałem was, John. Ciebie i Dodda. Mam broń maszynową przygotowaną do odparcia każdego ataku powietrznego. I na wszelki wypadek jeszcze coś w zanadrzu. Michael jakoś się trzyma. Dodd ma taką samą grupę krwi, jak wy, a oficer naukowy potrafi przeprowadzić transfuzję. Michael wyjdzie z tego. Odbiór!

- Paul, przenieś Michaela do forda i uciekajcie.

- Co z Annie? Co z innymi? Odbiór!

- Z Annie wszystko w porządku. Z innymi też. Wynieście się stamtąd. Odbiór!

- To niemożliwe, John. Michael jest tutaj bezpieczny, a do tego jest zbyt słaby, żeby go ruszać. Jeśli będę musiał, wystartuję helikopterem i będę bronił "Edenu" z powietrza. Odbiór!

- Do cholery, Paul. Nie jesteś przecież pilotem! Odbiór!

- Każdy by potrafił poprowadzić taką maszynę i wcisnąć guzik systemu bojowego. Gorzej z

lądowaniem. Widzę "Eden jeden", słyszę, jak podchodzi do lądowania. Muszę iść. Powiedz Annie, że ją kocham. Bez odbioru.

Rourke chciał coś mówić, ale uprzedziła go Annie:

- Paul, zabijesz się. Zrób to, co ci radzi tata. Kocham cię. Nie chcę, żebyś zginął. Nie chcę cię stracić.

Cisza. Potem głos Rubensteina:

- Jeśli mi się uda, poprosimy kapitana Dodda, żeby udzielił nam ślubu. A jeśli nie, masz o mnie zapomnieć. Kocham cię! Kocham was wszystkich. Do diabła! Myślicie, że dlaczego to robię? Bez odbioru.

Rourke prawie krzyknął do mikrofonu:

- Paul, nawet tego nie próbuj! Paul! Powtarzam: nie próbuj latać, Paul! - John teraz naprawdę krzyczał: - Paul!

Cisza.

John zerknął na szybkościomierz. Wskazówka dawno przekroczyła granicę prędkości zalecanej. Jego głos przeszedł w szept, kiedy znów zaczął mówić do mikrofonu:

- Natalia, poruczniku, mam zamiar sprawdzić możliwości tej maszyny. Dajcie swoim maksymalne przyspieszenie, ale nie szarżujcie. Gdyby się okazało, że przeholowałem, przynajmniej wasze helikoptery pozostaną sprawne. Bez odbioru.

Rourke wyłączył radio. Nie chciał słuchać perswazji Natalii i Sarah, żeby nie robił tego, co sobie zaplanował. Spojrzał na Madison i powiedział:

- Przykro mi, ale musiałem... To znaczy...

- Ojcie Rourke, wiem, jak bardzo kochasz Paula. To jedyna decyzja, której od ciebie oczekiwałam.

Jej jasne, błękitne oczy uśmiechały się do niego i John w spontanicznym odruchu uściskał jej drobne dłonie. A kiedy je puścił, całkowicie zwolnił blokadę zaworu silników. Zaczął się modlić...

ROZDZIAŁ LVI

Rubenstein usłyszał przez radio, że "Eden jeden" wkroczył w fazę, którą specjaliści nazywali lądowaniem automatycznym. Paul mógł tylko marzyć o tym, że jego maszyna też posiada takie możliwości. Tymczasem uruchomił silniki radzieckiego śmigłowca. Drżącymi rękami przypiął się pasami do fotela pilota.

- Fotel pilota. - Roześmiał się. - Miejsce zupełnie nie dla mnie.

Zabrał dwa M-16 z zapasową amunicją, chociaż mocno wątpił, czy będzie miał czas na wymianę magazynków.

Po wystrzeleniu wszystkich pocisków raketowych zamierzał prowadzić ogień z pokładowej broni maszynowej. Zainstalował ją z powrotem na dawnych stanowiskach. Potem M-16, potem schmeisser, a na koniec browning. Będzie walczył tak długo, aż się rozbije albo aż skończy mu się amunicja. Cokolwiek się stanie, będzie walczył.

Nawet gdyby John, Natalia oraz porucznik Kurinami przybyli na czas ze swoimi śmigłowcami i tak razem będą mieli przeciwko sobie dwukrotnie większe siły wroga.

"A może... A może uda mi się to zmienić?" - mówił sobie Rubenstein. Sięgnął ręką do nosa i potarł miejsce, w którym kiedyś opierały się na nim okulary. Oczywiście teraz ich tam nie było. Odkąd obudził się po śnie narkotycznym, nie potrzebował już nosić szkieł. Ale trudno mu było pozbyć się wieloletniego nawyku. Miał jednak zamiar zwalczyć wszystkie stare przyzwyczajenia. Spojrzał w lewo, w stronę namiotu stojącego z dala od drogi, na której on sam się teraz znajdował. Zamknął oczy i pomodlił się za Michaela. Przed Nocą Wojny każda wymówka była dla niego dobra, żeby nie iść do synagogi. Po Nocy Wojny zaś często marzył o tym, żeby w ogóle była jakaś świątynia, do której mógłby chodzić. Pomyślał o rodzicach. Przypomniawszy sobie dzień, w którym po raz pierwszy pozwolono mu zapalić szabasowe świece.

Łzy napłynęły mu do oczu. Otarł je wierzchem dłoni, bo przestawał dobrze widzieć. Helikopter wolno zaczął wznosić się w powietrze.

Daleko po prawej stronie widział już wahadłowiec rozpoczynający ostatnią fazę lądowania. Wiele razy oglądał przedtem lądowanie różnych promów od początku ery lotów kosmicznych. Zawsze go to fascynowało.

Tym razem jednak nie ustawał w modlitwie. Popatrzył w lewo. Osiem czarnych kształtów.

Radzieckie siły z Władymirem Karamazowem na czele. Coś mówiło Paulowi, że i Karamazow go nie przeoczy. Rubenstein stopniowo zapoznawał się z kontrolkami pulpitu sterowniczego. Maszyna powoli obróciła się dziobem w stronę nadlatujących śmigłowców. Odnalazł przełącznik wyrzutni i ekranu komputera naprowadzającego rakiety.

- W porządku, dranie - rzucił do ośmiu zbliżających się helikopterów przeciwnika, a przede wszystkim do człowieka, który nimi dowodził. - No, dalej, chodźcie tutaj.

Był już gotów na wszystko.

ROZDZIAŁ LVII

Helikopter ani na sekundę nie przestawał wibrować. Głos Madison był nadspodziewanie spokojny, kiedy powiedziała:

- Myślę, że ta maszyna rozleci się na kawałki, ojcze Rourke!

John nawet nie spojrzał na dziewczynę. Nie odrywał oczu od ośmiu czarnych kształtów widocznych ponad horyzontem.

- Jeśli dotąd tego nie zrobiła, mam nadzieję, że już nam to nie grozi.

- Dlaczego maszyna jest rodzaju żeńskiego?

- Bo zwykle kojarzy się z energią, która często jest czymś nieobliczalnym. Tak jak kobieta.

- Zawsze uważano mnie za osobę zrównoważoną.

- No cóż, nie można traktować tego tak jednoznacznie. Mężczyźni też mogą być energiczni i nie zawsze można przewidzieć ich reakcje, tylko że mężczyźni częściej niż kobiety kryją się ze swoimi uczuciami. Mówienie o maszynie jak o kobiecie jest po prostu wytworem epoki męskiego szowinizmu.

- Co to jest: szow... szow...

- Szowinizm "męski s-z-o-w-i-n-i-z-m", to przekonanie, że kobiety zawsze potrzebują pomocy mężczyzn, że trzeba się nimi opiekować i ochraniać je.

- Czy ty jesteś męskim szow... Czy ty jesteś jednym z nich? John spojrzał na Madison i uśmiechnął się.

- Jak możesz w ogóle o to pytać?

Doktor znów skoncentrował się na rosnących przed nimi kształtach. Oprócz śmigłowców widział także prom kosmiczny.

Prędkość wahadłowca oceniał na mniej więcej pięćset mil na godzinę. Przypuszczał, że zostały dwie minuty do zetknięcia się promu z powierzchnią lądowiska. Osiem czarnych śmigłowców zaczęło tworzyć coś w rodzaju szyku ofensywnego. John zerknął na kontrolki uzbrojenia. Nie patrząc na Madison, powiedział:

- Trzymaj pod ręką swój M-16 i resztę broni. - Karabiny i pistolety leżały obok niej na wolnym fotelu. - Kiedy się zacnie, możesz wypchnąć któryś z automatów przez otwór wentylacyjny. Będziemy musieli wykorzystać każdą możliwość ostrzału. Celuj w wirniki. To te skrzydła na dachu maszyn. Albo celuj w otwarte drzwi. Może uda ci się trafić jakiegoś Rosjanina. Będziemy w ciągłym ruchu i to szybkim, uważaj więc, żebyś nie uderzyła o coś głową. Jeśli trafi nas rosyjski pocisk, zginiemy w ciągu sekundy, a więc nie ma się czym przejmować.

- Ja się nie przejmuję, ojcze Rourke.

Amerykanin wziął na cel najbliższy helikopter z czerwoną gwiazdą. Wtem zobaczył pojedynczy śmigłowiec wiszący nad drogą. Wiedział już, kto siedzi za sterami tej maszyny.

ROZDZIAŁ LVIII

Osiem helikopterów wroga sformowało szyk ofensywny. Paul wiedział, że atak nastąpi lada chwila.

Na horyzoncie pojawił się inny śmigłowiec. To z pewnością był Rourke. Tylko że John przybędzie za późno, o ile Rubenstein nie powstrzyma Rosjan.

Paul miał na celowniku najbliższy śmigłowiec. Włączył komputer naprowadzający. "Eden" był coraz niżej.

Rubenstein uruchomił mechanizm przedniej wyrzutni. Paul poczuł, że jego śmigłowiec lekko drgnął i z prawej strony ujrzał odchodzącą od niego białą smugę.

Podążył wzrokiem za białą wstęgą aż do chwili, gdy dosięgła ona jednej z maszyn prowadzących wrogą eskadrę. Przez ułamek sekundy wydawało mu się, że maszyna stanęła i w tej samej chwili zniknęła w kuli ognia. Widok był fascynujący. Ale i w kierunku Paula podążyła mleczna smuga. Rubenstein odpalił kolejną rakietę. Mógł widzieć, jak dwie smugi mijają się w odległości nie większej niż dwanaście jardów. Jego maszyna zadrżała. Rakietą przeleciała o kilka cali od jego kadłuba. Rubenstein głośno się roześmiał. Rosjanie nie sądzili, że helikopter Paula nie ruszy się z miejsca.

Drugi pocisk, który wystrzelił, również trafił do celu. Kolejny śmigłowiec został strącony. Rubenstein zamierzał właśnie odpalić trzeci pocisk, kiedy ogłuszyła go kanonada dochodząca z prawej strony. Wrogi helikopter zawisł tam na jego wysokości. Strzelano do niego z broni maszynowej. Rubenstein próbował wykonać zwrot. Pleksiglas tworzący skorupę kabiny pilota roztrzaskał się pod gradem kul. Paul Rubenstein poczuł w ciele żywy ogień i zgiął się wpół. Tak pochylony, prawą ręką ścisnął drążek steru, a lewą szukał przycisku, którym mógł zwolnić wszystkie pozostałe rakietę. Znalazł. Resztką sił nadusił guzik. Helikopter zaczął szaleńczo wibrować. Rozległ się ogłuszający świst pracujących wyrzutni. Było tak głośno, że prawie nie słyszał własnego krzyku. Krzyczał z bólu, czuł, że niewidzialne zęby rozrywają jego wnętrzności.

A potem ogarnęła go ciemność.

ROZDZIAŁ LIX

John wystrzelił dwa pociski naraz. Po jednym z prawej i lewej burty. Oba posłał w kierunku śmigłowca, który zaatakował Paula. Maszyna Rubensteina jakimś cudem wciąż unosiła się w powietrzu. Pleksiglas wokół kabiny pilota był roztrzaskany. Helikopter dymił.

- Do diabła z wami! - krzyknął Rourke do mikrofonu. Radio nastawił przedtem na częstotliwość używaną przez Rosjan.

Kiedy białe smugi popłynęły do celu, pozostałe śmigłowce zaczęły zmieniać szyk. Rourke usłyszał głos Karamazowa:

- Czy to był ten Żyd?

Eksplozja, zaraz potem następna i maszyna, z której strzelano do Rubensteina, zamieniła się w kłęb ognia. Wiatr poniósł ostre odłamki i najbliższy śmigłowiec szarpnął się w powietrzu, próbując uciec przed tym niebezpiecznym deszczem. Prawdziwy deszcz był teraz tak gęsty, że wycieraczki na przedniej szybie nie gwarantowały dobrej widoczności. A od wewnątrz pleksiglas bez przerwy był zaszroniony, mimo iż pracowały specjalne urządzenia odmrażające.

- Madison, weź jakąś szmatę i przetrzyj mi szybę, żebym cokolwiek przez nią widział - polecił Rourke, zwracając helikopter o sto osiemdziesiąt stopni w prawo. Maszyna Rubensteina wciąż tkwiła na tej samej wysokości. Rourke przestawił radio na częstotliwość radiostacji wahadłowca. Wiedział, że radio Paula też jest na nią nastawione.

- Paul, odezwij się! Paul! Żadnej odpowiedzi.

- Paul!

Szumy i trzaski, a potem głos Natalii:

- On pewnie już nie żyje, John. Szkoda...

- Włączcie się wreszcie do walki. Rozprawimy się z tymi draniami. Teraz!

Rourke ponownie wcisnął guzik zwalniający blokadę wyrzutni. Rakietę wystrzeloną z prawej burty tym razem chybiła.

John popatrzył w lewo. "Eden" podchodził do lądowania. Dwa helikoptery leciały wprost na lądujący prom. Doktor zrobił ostry zwrot i podążył śladem maszyn.

- Natalia, ty i Kurinami zajmijcie się pozostałą trójką Rosjan. Ja wezmę się za te dwa helikoptery, które lecą w stronę wahadłowca.

Doktor zerknął na Madison.

- Trzymaj się, dziecińco. - Przyspieszył maszynę i rzucił się w pościg.

- Trzymam się, ojcze Rourke.

Nie odpowiedział. Prom niemal dotykał powierzchni lądowiska.

- Cholera - warknął przez zęby, jeszcze zwiększając prześwit otworu dławiącego. Wrogie maszyny wzięły prom w krzyżowy ogień.

Biała wstęga rozwijająca się od jednej z wyrzutni Rourke'a. Pudło. Wybuch wstrząsnął ziemią daleko na prawo od "Edenu", wzbijając fontannę mokrego piasku. John nie zamierzał więcej

ryzykować ataków raketowych. Zdecydował, że teraz kolej na broń maszynową.

Wzniósł się ponad prom i leciał dokładnie za nim. Czuł się ciągnięty przez prąd powietrza wirującego wokół wielkich odrzutowych turbin wahadłowca. Zaczął strzelać do helikoptera lecącego poniżej, z lewej strony.

Rosjanin posłał mu raketę, ale John celnym strzałem zdetonował ją w locie. Odłamki zarysowały szybę maszyny Rourke'a. Z nieba lały się potoki wody. "Eden" z piskiem hamulców pędził przez lądowisko, ostrzeliwany przez Rosjan. Doktor w ostatniej chwili zrobił unik. Kolejna rosyjska raketa chybiła celu. Systematyczny ostrzał szosy przez Sowietów zniszczył jej nawierzchnię. Znacznie utrudniło to lądowanie wahadłowca.

- Trzymaj się, Madison - rzucił John. Dziewczyna wytarła szybę śmigłowca. Teraz strzelała ze swego M-16 przez okienko od strony drugiego pilota.

- Poczekaj. - Doktor wyłączył celownik komputerowy i nadusił guzik ręcznej obsługi stanowisk broni maszynowej. Radziecki śmigłowiec był zbyt blisko promu, żeby w ogóle myśleć o odpaleniu rakiet.

Usłyszał w radiu głos Rosjanina. Szybko wrócił na częstotliwość używaną przez ludzi Karamazowa.

- Czy możemy oderwać się od przeciwnika? Towarzyszu pułkowniku, Amerykanin nie przestaje nas ścigać. Odbiór!

Przez chwilę panowała cisza, a potem nadeszła odpowiedź Karamazowa. Mówił wolno, niemal szeptem:

- Tu pułkownik Karamazow. Macie zniszczyć wahadłowiec. Będziecie osobiście odpowiadać za niewykonanie tego rozkazu.

Rourke wcisnął guzik mikrofonu.

- Rourke do Karamazowa. Pocałuj mnie w dupę! Chwycił drążek kierujący ogniem broni maszynowej i nie zdejmował palca z przycisku uruchamiającego automaty. Strzelał ciągłymi seriami z obu burt. Od wrogiej maszyny dzieliło go w tej chwili kilka jardów. Deszcz ograniczał widoczność. Strzelał przez skrzydła wirnika prosto w kabinę radzieckiego pilota. Tamten odbił w lewo.

Rourke tylko na to czekał. Znow nadszedł czas na odpalenie rakiet. Ruch palca. Biała smuga. Kolejny radziecki śmigłowiec zamienił się w wielką kulę ognia. Rourke włączył radio i odszukał częstotliwość wahadłowca.

- W porządku, chłopaki, macie ich z głowy. Bez odbioru.

Ostro skręcił maszynę w prawo. Przeleciał ponad promem, zrobił zwrot pod kątem prostym i poleciał na pomoc przyjaciołom. Natalia i Kurinami dzielnie zmagali się z małą flotyllą śmigłowców.

John przełączył się na pasmo używane przez Rosjan. Karamazow mówił:

- Ogień musi być ciągły. Zapamiętajcie ten dzień. Zostaniecie srogo ukarani za tchórzostwo.

Jedna z trzech maszyn przeciwnika najwyraźniej odłączyła się od dwóch innych i wzięła kurs na południowy wschód. Zaraz potem jedna z pozostałych została trafiona pociskiem Natalii. Rourke pamiętał numery taktyczne śmigłowców Natalii i Kurinamiego, żeby nie pomylić ich w zamieszaniu z maszynami wroga.

John zaczął zwalniać ostatnie ze swych pocisków, Kurinami i Natalia nie przestawali strzelać z broni maszynowej. Kabina pilota jedyne go pozostałego sowieckiego śmigłowca została

podziurawiona niczym sito. Buchnęły płomienie, a z wnętrza maszyny wyleciał trup pilota. W następnej sekundzie potężny wybuch rozerwał uszkodzony kadłub i ciało zostało pochłonięte przez ogień.

Rourke skręcił ostro w prawo. Śmigłowiec Karamazowa zniknął za horyzontem. Deszcz cały czas padał tak samo gęsty. Patrząc za oddalającym się Karamazowem, John nie mógł wyobrazić sobie większej ulewy.

Spojrzał w prawo. "Eden" już się zatrzymał. Potem spojrzał w lewo. Namiot, w którym leżał jego syn, na skraju obozowiska, z dala od drogi, wydawał się nie naruszony.

Na koniec John obrócił śmigłowiec o sto osiemdziesiąt stopni. Nie wiadomo, jakim cudem zniszczona maszyna Paula Rubensteina ciągle wisiała około osiemset stóp nad pustynią.

Rourke włączył radio na częstotliwość wspólną z odbiornikami Natalii i Kurinamiego.

- Natalia, wiesz, jak przeprowadzić transfuzję. Sarah też potrafi. Lądujcie i zaczynajcie podawać Michaelowi krew Sarah. Niech Annie dołączy do was najszybciej, jak to możliwe; będzie mogła zastąpić Sarah jako dawczyni. Odbiór!

- A co z...? Cisza.

Rourke znów się odezwał:

- Powiedziałem, że go dostanę i tak będzie. Zajmijcie się Michaeliem. Niech Kurinami na mnie czeka. Pospieszcie się. Odbiór!

John zaczął obniżać pułap lotu.

- Madison, poszukaj kotwiczki, jeśli coś takiego w ogóle jest tu na wyposażeniu.

- Słucham? - zapytała dziewczyna.

- Duży, potrójny hak na mocnej linii.

- Gdzieś widziałam coś takiego... Wiem, zupełnie z tyłu.

- Dobrze, przynieś mi to. Szybko. Kiedy tylko wyląduję, wysiadaj i pakuj się do Kurinamiego.

- Chcesz ratować pana Rubensteina?

Rourke spojrzał na nią. Nagle zdał sobie sprawę, że cygaro, które przez cały czas trzymał w ustach, jest już zupełnie przeżute. Wypluł je.

- Tak, chcę. - Zaczął podchodzić do lądowania. - Chcę - powtórzył.

ROZDZIAŁ LX

John zgasił silnik i z kabiny pilota przeszedł do środkowej sekcji kadłuba. Przesuwane drzwi śmigłowca były częściowo otwarte. Przez szparę Rourke patrzył na Madison biegnącą w stronę helikoptera Kurinamię. Ziemia zamieniła się w błotnistą maź. Deszcz ustawał. Doktor przykucnął i sprawdził, czy kotwiczka oraz lina są ze sobą właściwie połączone. Oceniał długość liny, wiążąc jednocześnie potężny węzeł przy jej końcu. Potem wstał i znów wyjrzał na zewnątrz. Kurinami i Madison rozmawiali ze sobą.

Doktor odpiął pas, którym był ściśnięty w talii i wcisnął go pod jeden z foteli. Później zdjął z ramion paski szelek przytrzymujących kabury pod pachami, wziął je do ręki razem z torbą na amunicję i lornetką. Wsunął to wszystko pod ten sam fotel, co pas z pythonem. Detoniki scoremastery wyjął z kabur i odłożył je. Z innej torby wyciągnął parę zapasowych sznurowadeł. Małe czarne ostrze chromowe A.G. Russell. Z niego także zrezygnował. Z powrotem wziął do ręki pas. Odczepił od niego kaburę na broń oraz ładownice, by w końcu dostać się do pochwy na nóż. To było wszystko, czego potrzebował. Długą skórzaną pochwę przytroczył do pasa. W środku tkwił wielki Gerber.

Rourke podniósł wzrok. Zobaczył zbliżającego się szybko Japończyka. Kurinami podciągnął się na rękach, wskoczył na pokład śmigłowca, zasunął za sobą drzwi i zamknął je.

- Madison twierdzi, że potrzebuje pan mojej pomocy, doktorze.
- Jesteś dobrym pilotem i tu, na dole, na nic się nie przydasz ze swoją grupą krwi. Podlecimy tym gruchotem jak najbliżej helikoptera, w którym teraz znajduje się Paul Rubenstein.
- On się pali. W każdej chwili może nastąpić eksplozja.
- To pożar instalacji elektrycznej. Mamy sporo czasu. Rourke podążył wzrokiem za spojrzeniem porucznika. Japończyk przyglądał się kotwiczce.

- Chce pan...
- Zgadłeś. Zaczepię tym o maszynę Paula i po linie wejdem na pokład śmigłowca. Tam przywiążę nas obu do końca liny i odetnę ją od kotwiczki. My polecimy w dół, a ty szybko wzniesiesz swój helikopter, żeby do minimum ograniczyć nasz ruch wahadłowy. Kiedy to zadanie zostanie już wykonane, użyjesz swojej broni maszynowej i postrzelasz z niej do głównego wirnika uszkodzonego śmigłowca. Trzeba go zdjąć z nieba, zanim podryfuje nad obozowisko albo nad "Eden jeden". Wszystko jasne?

Rourke nie czekał na odpowiedź, tylko odwrócił się w stronę kabiny.

- Zajmij fotel pierwszego pilota, ja poprowadzę na miejscu drugiego. Zastąpisz mnie, jak już będziemy blisko Paula.
- Ależ, doktorze... Pański przyjaciel prawdopodobnie nie żyje.

Amerykanin zaczął zapinać pasy.

- Jeśli to prawda, przyniosę jego ciało. Wiem, że wśród ludzi znajdujących się na promach "Projekt Eden" kilkoro pochodzi z Izraela. A to znaczy, że są Żydami. Paul zasłużył na przyzwoity żydowski pogrzeb. Pospieszmy się. Sam mówiłeś, że w każdej chwili można się spodziewać eksplozji.

John podniósł maszynę w powietrze, a porucznik usadowił się wreszcie na fotelu pilota i zapiął pasy.

ROZDZIAŁ LXI

Rourke ocenił długość pojedynczej łopaty głównego wirnika radzieckiego śmigłowca na trzydzieści sześć i pół stopy. Helikopter pilotowany przez Kurinamiego oraz ten, w którym znajdował się Paul, dymiący i osmalony, zawisły w odległości dwukrotnie większej. A dokładniej - dwa razy długość jednej łopaty plus około dwanaście stóp. Jeden z pasów bezpieczeństwa przy fotelu dla pasażerów został maksymalnie wyciągnięty i Rourke owinał się nim teraz w tali. Amerykanin, zaczepiony stopami o prowadnicę zewnętrznych drzwi, wychylał się tak daleko, jak pozwalał mu naprężony pas. W lewej ręce trzymał zwiniętą linę, a w prawej - jej koniec ze stalową kotwiczką. Drugi koniec liny przywiązany był do prowadnicy pod jego stopami. John wolno opuszczał kotwiczkę.

Rozhuśtanie kotwiczki nie byłoby trudne, gdyby nie należało jej rozkołysać na tyle dokładnie i nisko, żeby nie wkręciła się wraz z liną w wirnik dryfującej maszyny. A to już była sztuka i Rourke o tym wiedział. Deszcz zacinał ostrymi strugami i zalewał Amerykaninowi oczy.

Kolejne wahnięcie. Pudło. Zaczął zwijać linę. W głośnikach hełmofonu usłyszał głos Kurinamiego:

- Doktorze, w ten sposób nigdy się panu nie uda zaczepić kotwiczki. Mam inny pomysł. To będzie niebezpieczne, ale biorąc pod uwagę to, co mamy już za sobą, tylko trochę bardziej niebezpieczne od naszych dotychczasowych poczynań.

- Wal śmiało - wysapał Rourke do mikrofonu. Usta miał pełne wody.

- Sprowadzę nasz helikopter dokładnie pod maszynę Rubensteina. Kiedy będę pod nią przelatował, położę się ostro na prawą burtę. Zostanie pan wciśnięty w głąb kadłuba. Ale wtedy będzie pan mógł rzucić kotwiczkę prosto do góry. Nie gwarantuję więcej niż jedną szansę, nie jestem pewien, czy będę mógł powtórzyć ten manewr. Chce pan spróbować?

- Zrobmy, jak mówisz. Uprzedź mnie, kiedy będziesz się kładł na bok. Powodzenia!

- *Hai! go seiko wo inorimasu!*

Rourke uśmiechnął się. Dokończył zwijanie liny i czekał. Był gotów.

Kurinami zrobił jedną krótką próbę. Dużym łukiem przeleciał nad helikopterem Paula, potem pod nim i wrócił do punktu wyjścia.

- Jestem gotów, doktorze. A co z panem?

- Najlepszy pilot sił lotniczych japońskiej marynarki wojennej, hę?

- Pilotaż helikoptera nie był moją specjalnością.

- Wielkie dzięki. Zaczynamy! Tylko pamiętaj, że moja lina nie jest z gumy. Po zaczepieniu kotwiczki nie możesz odlecieć dalej niż na sto pięćdziesiąt stóp, w przeciwnym razie zerwiesz linę

albo zniszczysz maszynę.

- Wiem o tym. Hej, zaczyna pan czarno widzieć?

- Ty to powiedziałeś. Do roboty!

Rourke ścisnął kotwiczkę w prawej ręce. Helikopter pokonywał górny odcinek łuku. John znów odezwał się do mikrofonu:

- Nieźle ci idzie, poruczniku.

- Dzięki, doktorze. Ja też tak uważam.

Byli teraz dokładnie nad śmigłowcem Rubensteina. Dym wydobywający się z otwartych drzwi maszyny był coraz gęstszy i ciemniejszy. Tam, gdzie się rozpraszał, widoczne były jasne języczki ognia ogarniające kabinę pilota. Rourke zobaczył też przyjaciela. Chłopak bezwładnie opierał się o pulpit układu sterowniczego.

John przełożył kotwiczkę do lewej ręki, a prawą przeżegnał się. Zaraz jednak z powrotem chwycił kotwiczkę w prawą dłoń.

Kurinami minął maszynę Paula i zaczął obniżać pułap lotu. Nagle przyspieszył, jednocześnie kładąc śmigłowiec na prawą burtę. Rourke, żeby utrzymać równowagę, musiał mocno przechylić się w przeciwnym kierunku. Pas boleśnie wrzynał mu się w brzuch. Nadgarstki znów mu krwawiły, bo deszcz rozmoczył zaschnięte ranki.

Helikopter skręcił w prawo. Rourke robił, co mógł, żeby utrzymać się na nogach, a jednak uderzył plecami o twardy kadłub. Ucisk na brzuchu zniknął i zaszumiało mu w głowie. Szybko jednak odzyskał przytomność. Byli teraz dokładnie pod śmigłowcem Paula.

- Teraz, doktorze. Teraz!

Rourke rozkołysał kotwiczkę. Wymagało to sporego wysiłku i krew obficie popłynęła z pokaleczonej dłoni Johna. W końcu Amerykanin wypuścił linę, kiedy hak znalazł się dokładnie ponad jego twarzą i skierował go wprost na prowadnicę maszyny Paula.

Nie spuszczał wzroku z malejącej kotwiczki. Ta poruszała się jakby w zwolnionym tempie. Uderzyła obok kadłuba, zaczęła się po nim zsuwać. Jedno ostrze porysowało metal, a potem zaczęło o prowadnicę. Amerykanin poczuł mocne szarpnięcie - omal nie wyrwało mu prawego ramienia. Rozwijająca się lina ocierała mu dłoń. Silnik helikoptera zaczął się dławić.

- Doktorze, maszyna przestaje mnie słuchać.

- To niech znów zacznie, już jesteśmy połączeni.

- Muszę zwiększyć prędkość. Jeśli nie uda mi się wyprowadzić nas tą drogą, będzie pan musiał przeciąć linę.

- Cholera! - zaklął Rourke do mikrofonu.

Silnik wciąż pracował nierówno, maszyna ciągle przechylona na prawą burtę zaczęła wibrować. Potem silnik krótko warknął, a wirnik zaczął powracać do poziomu. Deszcz siekł teraz gwałtownie. Helikopter nie przestawał się wznosić. W lewej ręce Johna nie pozostał już ani jeden zwój liny.

- Udało się! - zawołał Kurinami. Śmigłowiec wrócił do normalnego położenia i zawisł w miejscu. - Obaj jesteśmy prawdziwymi szczęściarzami, doktorze.

- To ty masz talent. Szczęście to kwestia zdolności - powiedział John, sięgając do kieszeni po rękawiczki. - Zdejmuję hełmofon i wchodzę na linę. Jak tylko zauważę, że z maszyną Paula dzieje się coś niedobrego, natychmiast odetnę linę i masz się stąd wynosić.

- Dziękuję, ale zostanę. To i tak pożyczony helikopter. Lepiej się jednak pospiesz!

- Masz rację.

Rourke zdjął hełmofon i rzucił go za siebie w głąb maszyny. Wolno przykucnął i pochylił się w stronę liny, która pełniła w tej chwili rolę pępowiny, łączącej Paula ze światem żywych.

Doktor chwycił linę prawą ręką. Okrywająca ją rękawica była mokra i ciemniejsza w miejscach odpowiadających kłykciom. Amerykanin nie wiedział, czy to krew płynąca z otwartych ran, czy deszcz. Powiedział sobie, że to z pewnością woda. Całym ciężarem zawisł na linie.

Niepotrzebnie zerknął w dół.

- O, cholera! - jęknął.

Był na wysokości co najmniej ośmiuset stóp. Kiedy z kolei spojrzął w górę, deszcz rozbijany łopatami wirnika zalał mu oczy. Mocno zacisnął powieki, nie mógł zetrzeć wody z twarzy, musiał poczekać chwilę, aż woda sama spłynie. Powoli, cal po calu wspinał się w stronę maszyny Paula. Nie było to łatwe. Bolały go dłonie, ramiona sztywniały od ciągłego napinania mięśni, nogi mdlały.

"Paul, zaraz tam będę. Jestem już w drodze, Paul, trzymaj się. Nie ruszaj się i nie dotykaj kontrolki. Już idę, trzymaj się" - myślał John.

Rourke zamknął oczy przed następną falą deszczu. Zobaczył twarz Natalii, przerażenie w jej błękitnych oczach, wspomnienie koszmaru, który musiały oglądać Karamazow.

- Karamazow - syknął przez zaciśnięte zęby, pokonując kolejnych kilka cali. Będzie go ścigał, choćby Karamazow uciekł przed nim aż do Rosji, choćby schował się gdzieś na krańcu świata i tak go odnajdzie. Tym razem nie chybi.

- Paul! - krzyknął rozpaczliwie, walcząc z ogarniającym go gniewem. To, że Natalia była dręczona i znieważana, że Michael został ranny, że być może nawet teraz umiera, że Paul został właściwie zmuszony do samobójczej akcji i prawdopodobnie nie żyje. To wszystko nie wzbudzało w nim tyle nienawiści, co wspomnienie Karamazowa. A John wiedział, że nienawiść pochłania wiele energii i nie pozwala trzeźwo myśleć. Nie mógł sobie w tej chwili na nią pozwolić.

Jedna ręka do przodu, potem druga. I znów to samo. Prawa. Lewa. Ból jakby złagodniał, pewnie skutkiem zimna.

Amerykanin jeszcze raz popatrzył przed siebie. Do śmigłowca Rubensteina pozostało już mniej niż dwadzieścia stóp. Prawa ręka. Lewa ręka. Podciągnął nogi. Prawa ręka. Lewa ręka. Nogi. Prawa ręka. Lewa ręka. Nogi.

Dziesięć stóp.

Prawa. Lewa. Prawa. Lewa. Prawa. Lewa. Lewa ręka natrafiła na coś twardego. Wielki węzeł, a dokładniej, sześć supłów w jednym miejscu. Prowadnica musiała znajdować się osiem cali wyżej. Wystarczy już jeden rzut ciała, żeby znaleźć się w środku.

John musiał zmrużyć oczy, żeby cokolwiek zobaczyć przez ścianę deszczu zalewającego pozbawioną szybyabinę. Najpierw prawym, potem lewym nadgarstkiem zahaczył o prowadnicę. Potem zaczepił się o nią łokciami, wziął głęboki wdech. Pomodlił się, żeby ramiona i palce zechciały jeszcze przez jakiś czas być posłuszne jego woli.

Kolejny ruch. Wolno ułożył prawe przedramię wzdłuż prowadnicy, zrobił to samo z lewym. Obie dłonie z całej siły zacisnął na grubym pręcie. W zmęczonych mięśniach odezwał się ból.

Z wysiłkiem szarpnął całym ciałem do góry. Prawą ręką chwycił za krawędź drzwi, zgiętą w kolanie prawą nogę wcisnął pod siebie, lewą nogę wsparł na pręcie prowadnicy i całym ciałem rzucił się przed siebie.

Oczy zaczęły mu łzawić. Dym płonących instalacji był bardzo gryzący. Co chwilę z trzaskiem pojawiał się nowy ogienek, wszystko wokół skwierczało i iskrzyło. Unosił się silny zapach benzyny.

Rourke wstał. Jednym susem znalazł się przy nieprzytomnym Rubensteinie.

- Paul!

Przyklęknął przy fotelu pilota. Twarz Paula była szara i ściągnięta grymasem bólu. Z prawego kąca jego ust ciekła strużka krwi. Rourke łagodnie odchylił ciało Rubensteina. Oparł Paula plecami o fotel. Prawą ręką szybko sięgnął do pulpitu. Ciało Rubensteina blokowało dotąd stery i ich nagłe uwolnienie mogło w każdej chwili spowodować upadek maszyny.

John odszukał układ pilotowania automatycznego, sprawdził, że jego przewód nie jest przepalony i nadusił odpowiedni przycisk, żeby uruchomić automatycznego pilota. Silnik zaczął się krztusić, zwiększył obroty, przez chwilę pracował nierówno, ale wkrótce zaczął działać normalnie.

Rourke szybko odwrócił się w stronę Paula. Sprawdził puls przyjaciela. Był słaby, ale wyczuwalny na tętnicy szyjnej.

Założył Rubensteinowi prowizoryczne opatrunki.

- Wynosimy się stąd, Paul. - John wziął do ręki gerbera i najpierw uwolnił Rubensteina z pasów, którymi był przypięty do fotela, a potem z drugiej strony odciął same pasy. Mogły się jeszcze przydać. Odwrócił się jeszcze do fotela drugiego pilota i od niego także odciął pasy. Nie zwracał uwagi na strumienie wody ściekającej mu z włosów prosto na twarz.

Związał pasy w jeden, dłuższy i przełożył je na plecy, przymierzając wokół siebie ich obwód. Czemuś w duchu przytaknął, bo sam sobie skinął głową. Poszedł do kabiny dla pasażerów. Znajdujące się tam fotele również pozbawił pasów i przywiązał je do dwóch już złączonych. Te od siedzeń obu pilotów miały gotowe pętle, miejsce na ramiona.

Amerykanin wrócił do kabiny pilota i znów uklęknął przy Paulu. Dym był tu teraz gęstszy niż przed chwilą, a języki ognia coraz większe. Płonęły już prawie wszystkie instalacje - było oczywiste, że płomienie lada moment dojdą i do urządzeń pilota automatycznego.

Rourke ostrożnie podniósł Paula, oparł jego ciało o swoje, wsunął mu pod plecy zrobioną przez siebie "uprzęż" i z powrotem ułożył go na wznak. Potem powoli po kolei przełożył nogi Rubensteina przez gotowe pętle. Paul jęknął i otworzył oczy.

- John? Czy ty... Czy ty też umarłeś?

- Żaden z nas jeszcze nie umarł, Paul. Po prostu się nie ruszaj. Za minutę będziemy bezpieczni.

- Ty nie możesz... - Zamknął oczy, ale zaraz znów rozchylił powieki. - Nie chciałem tego... Ale zrobiłem to, co...

- Bez tego, co zrobiłeś, Michael już by nie żył, a "Eden jeden" zostałby zniszczony. Jesteś bohaterem dnia, ale muszę cię stąd wydostać. Bądź spokojny, przyjacielu.

Rubenstein skinął głową i zamknął oczy. Doktor sprawdził jego puls. Był jakby nieco wyraźniejszy.

- Odpoczywaj. Annie czeka na ciebie.

Rourke wyprostował się, niemal uderzając głową o resztki konstrukcji dachu kabiny. Wsunął ramiona w dwie pętle "uprzęży" połączone paskiem biegnącym wokół jego klatki piersiowej. Pochylił się nad fotelem i tym razem uniósł do góry całe ciało Paula. Nie było ono lekkie i John poczuł silny ból w karku. Dopiero teraz uświadomił sobie, jak jest zmęczony. Dwoma dodatkowymi supłami przywiązał do siebie prowizoryczne nosidło i nieprzytomnego Rubensteina.

Tak obciążony, lekko się potykając, Amerykanin wychodził z płonącej kabiny. Już prawie nic nie było widać przez ścianę czarnego dymu, a ogień zaczynał mu lizać ramiona i nogi.

Drzwi. Jakoś do nich dotarli. Na ramieniu Paula kołysał się schmeisser. Zbędny ciężar. Rourke

sięgnął nożem do rzemienia, na którym był zawieszony karabin. Ale Paul był bardzo przywiązany do swojego schmeissera. Rourke cofnął rękę. Broń pozostała na miejscu.

John sięgnął do lewej, przedniej kieszeni lewisów. Wydobył z niej zapasowe sznurówki. Szybko związał ich końce, podwajając ich grubość. Przytrzymał się krawędzi drzwi i wolno, ostrożnie oparł prawą nogę na prowadnicy. Helikopter lekko, ale zauważalnie przechylił się na tę burtę pod połączonym ciężarem dwóch dobrze zbudowanych mężczyzn. Lewą stopą doktor zahaczył o framugę drzwi. Równowagę utrzymywał teraz tylko przy pomocy ramion. Krople deszczu wściekle biły go po twarzy, ściekały po włosach, kłuły ciało jak ostre szpilki.

Amerykanin schylił się. Prawą ręką sięgnął do kotwiczki. Czuł, że nogi ślizgają mu się po mokrym metalu. Podwójnie związane sznurówki przełożył przez linę za wielkim węzłem, osiem cali od kotwiczki. Potem jeden ich koniec wsunął pomiędzy sznurówki z ich drugiej strony i w ten sposób jedna pętla zacisnęła się za węzłem wokół liny, a drugą trzymał w prawym ręku. Teraz wysunął na zewnątrz prawą nogę i owinał pętlę wokół buta. To była jego jedyna szansa. Lewą rękę wsunął w rzemienne pętlę przymocowaną do uchwyty gerbera. Rzemień zaczepił się o bransoletę wodoszczelnego rolexa. Prawą ręką objął linę. Połączone ciała dwóch mężczyzn wychyliły się poza kadłub śmigłowca. John miał nadzieję, że Kurinami ich obserwuje.

Prawą ręką złapał linę tak daleko, jak tylko mógł sięgnąć. Usłyszał pierwsze odgłosy małych eksplozji dobiegające z wnętrza latającego wraka. Czuł ciepło bijące od rozgrzanych blach kadłuba.

John zamknął oczy i zaczął zbierać w sobie całą energię, która mu jeszcze pozostała. Miał przed sobą do zrobienia już tylko jedną rzecz: skoczyć w dół.

Lewą dłoń, uzbrojoną w gerbera, zbliżył do kotwiczki. Ostrze noża przecięło pierwsze włókna liny tuż przy jej końcu. Włókna pękały jedno za drugim. Ostatnie cięcie. Rourke całym ciałem rzucił się naprzód. Pospiesznie objął linę lewą ręką, kiedy ta oderwała go od śmigłowca. Po raz drugi tego dnia miał wrażenie, że siła ciężenia wyrwie mu prawe ramię.

Gerber zawisł luźno na rzemieniu obiegającym lewy nadgarstek Johna. Lecieli w dół. Poczł się dziwnie lekko - ciało Paula zupełnie przestało mu ciążyć. Wyobraził sobie, że obaj lecą; tylko nieznośne sztywnienie prawej nogi zakłóciło harmonię wyobrażeń. Kołysanie i lekkość.

Nagle szarpnięcie. Żołądek podskoczył mu do gardła, głowa odskoczyła. Ramiona zareagowały ostrym bólem i znów poczuł na sobie ciężar ciała Paula.

Zmrużył oczy. Spojrzał w górę. Helikopter Kurinamiego wyraźnie się wznosił, Rourke po raz pierwszy w życiu przekonał się, że wiatr też potrafi krzyczeć.

Jakaś strzelanina. Ledwie ją usłyszał. Popatrzył w lewo. W tym samym momencie dryfująca maszyna Paula eksplodowała, trafiona przez pociski Kurinamiego.

ROZDZIAŁ LXII

John osunął się na kolana, a potem upadł w błoto. Natalia uklękła przy nim, a Sarah ostrożnie uniosła jego głowę. A potem zniknął ciężar Paula i Rourke usłyszał nieznany głos, który wołał:

- Jesteśmy cali i zdrowi, doktorze!

A jednak John skądś znał ten głos. Amerykanin przetoczył się na plecy. Natalia zdjęła mu rękawice, podniosła do ust jego dłonie i delikatnie je pocałowała. Sarah oparła głowę męża na kolanach.

- Kapitan Dodd - szepnął John. Miał przed sobą wysokiego, przedwcześnie posiwiąłego mężczyznę w mokrym, kiedyś zapewne białym kombinezonie.

- Dzięki Bogu, że po tym wszystkim chce pan mnie w ogóle oglądać, doktorze Rourke. Chciałbym uścisnąć panu rękę, ale obawiam się, że pańskie dłonie nie zniosłyby tego w tej chwili najlepiej.

- Michael... Co z...

- Pan Styles twierdzi, że Michael najgorsze ma za sobą. Już zaczęli budzić ze snu narkotycznego lekarza, którego mają na pokładzie. Obie z Annie oddaliśmy Michaelowi krew.

- Nasz lekarz wkrótce przyjdzie do siebie, doktorze Rourke.

- Paul, on potrzebuje...

Teraz John rozpoznał głos Stylesa.

- Może mi pan mówić, co mam robić. Możemy razem przygotowywać pana Rubensteina do operacji, którą przeprowadzi potem nasz fachowiec.

- Kiedy byłem w Wietnamie... - powiedział Dodd i dziwnie się przy tym skrzywił. Może z powodu deszczu. - No cóż, widziałem ludzi postrzelonych jak sito, którzy jednak przeżyli. Jestem pewien, że pan Rubenstein wyjdzie z tego.

Rourke tylko przytaknął. Natalia i Sarah pomogły mu usiąść. Miał sztywne mięśnie, ale mógł oddychać. Zobaczył Paula. Annie ocierała mu twarz i podtrzymywała głowę, podczas gdy Elaine, Madison i nieznany mu mężczyzna, zapewne oficer pokładowy Craig Lerner, układali go na kocu.

- Proszę mi wybaczyć. Muszę sprawdzić, co z naszym pacjentem. - Styles uśmiechnął się.

Rourke zdołał wreszcie usiąść. Powiedział do Sarah i Natalii:

- Niech Kurinami trzyma jeden ze śmigłowców w ciągłym pogotowiu. A wy - spojrzal na Sarah, potem na Natalię - zorganizujecie coś w rodzaju systemu obrony obozowiska. Gdzieś na północy mają swoją bazę naziści. Są dobrze uzbrojeni. W każdej chwili możemy też mieć na karku niedobitki sił Karamazowa.

Rourke próbował wstać.

- Poczekaj - szepnęła Sarah. Uścisnęła dłoń Natalii, a potem pochyliła się i mocno pocałowała Johna w usta. - No cóż... Na jakiś czas zapomniałam o czymś, za co cię zawsze kochałam i za co zawsze będę cię kochać, bez względu na to, jak nam się w trójkę ułoży. To, co zrobiłeś dla Paula...

Szybko wstała, wzięła do ręki M-16 i pobiegła w stronę helikoptera Kurinamiego, podchodzącego właśnie do lądowania.

ROZDZIAŁ LXIII

Wolfgang Mann zacisnął pas wojskowego płaszcza, a czapkę z daszkiem zsunął niżej na czoło. Wyskoczył ze śmigłowca.

Jakiś żołnierz biegł w jego stronę. Mann rozpoznał w nim Hauptsturmführera Trzeciego Korpusu. - Weil, wasz raport - powiedział i dłonią w skórzanej rękawiczce osłonił ogienek zapalniczki. Przypalał długiego papierosa. Kiedyś próbował palić tytoń uprawiany przy sztucznym świetle podziemnych laboratoriów, ale nie potrafił przywyknąć do jego okropnego zapachu. Kiedy tylko stało się to możliwe, naukowcy przenieśli uprawę tytoniu na zewnątrz Complexu i nowy gatunek stał się prawdziwym sukcesem hodowlanym niemieckich agrotechników. Mann pomyślał, że to najlepsze papierosy, jakie kiedykolwiek palił.

- Rosjanie, którzy nie zdążyli uciec helikopterami, zostali schwytani, Herr Standartenführer. Mann skinął głową.

- Jacyś jeńcy?

- Niestety, Herr Standartenführer, trzech Sowietów popełniło samobójstwo.

- A co z innymi? Co z tymi, którym udało się opuścić lądowisko?

- Radzieckie śmigłowce nie wymkną się spod naszej kontroli, Herr Standartenführer. Była bitwa i wtedy... Ale to może się panu wydać niemożliwe.

- Co takiego, Weil?

- Jeden z promów kosmicznych, o których można przeczytać w podręcznikach do nauki historii, tych zbudowanych przez Amerykanów jeszcze przed wojną między supermocarstwami... No więc, jeden z nich... wylądował, Herr Standartenführer.

Mann zaciągnął się papierosem. Tytoń oczywiście był już mokry.

- Nie podejmujcie żadnych działań. Weźcie zajęty przez nich obszar pod ciągłą obserwację, ale nie ujawniajcie swojej obecności w jego najbliższym otoczeniu. Zrozumiano?

- Tak jest, Herr Standartenführer!

Hauptsturmführer służbiście zsalutował. Mann znów tylko skinął głową. Weil odwrócił się w miejscu na pięcie i pobiegł w tym samym tempie, w jakim się zbliżył.

Wolfgang Mann obserwował żarzący się koniec papierosa. Deszcz ściekał z daszka czapki, nogawki jego spodni były zupełnie przemoczone.

Prom kosmiczny. Amerykanie. Wciąż żyjący i walczący z Rosjanami. No i sami Rosjanie.

”Kluczową sprawą - pomyślał oficer, kryjąc się z powrotem we wnętrzu helikoptera - będzie wykorzystanie dzielących ich różnic na naszą korzyść. Pierwszy i Drugi Korpus musi zająć się pościgiem za Rosjanami, a z Amerykanami należałoby może zawrzeć coś w rodzaju przymierza”.

Mann przypomniał sobie słowa jednego z brytyjskich premierów, sir Winstona Churchilla i cicho się roześmiał. Nawet przodek Wolfganga Manna, należący do elity najwyższych rangą oficerów SS, przeżył II wojnę światową. Mann starał się jak najdokładniej przywołać z pamięci przemówienia Churchilla. Stwierdził w duchu, że ten polityk był naprawdę zabawny ze swymi pomyłkami w przewidywaniu biegu historii. Ale nie ze swymi deklaracjami, w których w walce przeciwko Hitlerowi gotów był do zawarcia paktu choćby z samym diabłem. Przynajmniej nie dla Manna.

Wzruszył ramionami i rzucił papierosa na ziemię. On sam zamierzał stworzyć sojusz, którego celem byłoby pokonanie dwudziestej piątej generacji sukcesorów szaleńczych idei Hitlera. I on też nie cofnąłby się przed sojuszem z samym diabłem, choć wolałby sprzymierzyć się z ludźmi, którzy wierzyli w wolność, tak jak on.

Przez chwilę stał w otwartych drzwiach śmigłowca. Patrzył na deszcz.

- [1] ETA - przewidywany czas przybycia samolotu